

ANNE HERRI ES

Dwie siostry

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Październik 1811 roku

- Odwagi, Beatrice! Czy pozwolisz, by wystraszyły cię bajki o smokach i czarownicach? O, nie, nie dam im wiary! - Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że rozmyśla na głos. - To przecież bzdura, niewyobrażalna bzdura! Ojciec by się za ciebie wstydził.

Przebiegł ją dreszcz, więc ciaśniej otuliła się peleryną, którą wiatr zdierał jej z ramion. Zbliżała się do bram opactwa Steepwood od wschodu, od strony wsi Steep Abbot, która przycupnęła pod kruszejącymi murami w miejscu, gdzie na granty posiadłości wpływała rzeka.

We wsi za jej plecami panował absolutny spokój, niebieskawozielone gałęzie smukłych drzew muskały wody małego zalewu utworzonego przez rzekę. Przed nią na tle zmierzchającego nieba majaczyły masywne kształty starodawnego opactwa, którego grunty już od dawna niemal w całości leżały odłogiem. Nawet za najlepszych czasów opactwo trudno było uznać za sympatyczne miejsce, ale u schyłku dnia robiło się tu wręcz złowieszczo, za co winę w dużej mierze ponosiła karmiona przesądami ludzka wyobraźnia.

- Nie ma najmniejszego powodu do niepokoju - powiedziała sobie Beatrice, przyglądając się grze cieni. - Jak to ujął mistrz Szekspir? O, właśnie: „Bojaźń tak dobrze czyni zdrajcą, jak i zdrada”. Nie zdradzaj własnych przekonań, Beatrice. Nie dawaj wiary gadaniu i zabobonom.

Z opactwem jednak wiązało się mnóstwo opowieści, a wszystkie mrozące krew w żyłach.

Mnisi otrzymali tę ziemię w XIII wieku. Zabudowania wzniesiono na pięknym zalesionym terenie nad rzeką Steep. Początki opactwa spowiła mgła zapomnienia, powszechnie uważano jednak, że przed wieloma, wieloma wiekami na jego gruntach stała rzymska świątynia. Niektóre z historii o opactwie były tak straszne, że bledli przy nich nawet dzielni mężczyźni.

Może więc drżenie i chłód, które ogarnęły ciało Beatrice, gdy przystanęła, by rozejrzeć się dookoła, nie były wyłącznie skutkiem jesiennej pogody.

- Głupia, trzeba było pamiętać, że już jesień i wcześniej się ściemnia! - skarciła się Beatrice. - Cemu nie wyruszyłaś w drogę powrotną pół godziny wcześniej?

Był czwarty tydzień października 1811 roku i okazało się, że wieczór zapada znacznie szybciej, niż spodziewała się Beatrice. Rozsądek tym razem ją zawiódł, bo do wioski Abbot Giles był ładny kawałek drogi.

Większość rozważnych kobiet, mieszanek czterech wsi otaczających opactwo ze wszystkich stron świata, nawet nie pomyślałaby o wejściu na jego teren po zmroku, a odkąd osiemnaście lat temu posiadłość tę

przejął markiz Sywell, nie odważyłaby się na to również za dnia.

Beatrice Roade należała do zuchwałej mniejszości. W wieku dwudziestu trzech lat była naturalnie starą panną, a okres wstydliwych rumieńców miała już za sobą (choć nie do końca o nich zapomniała). W każdym razie zdążyła porzucić wszelką nadzieję na wyjście za mąż. Wysoka, zgrabna, poruszała się swobodnym, sprężystym krokiem dziarskiej, rzeczowej kobiety, jaką w istocie była. Miała wyraziste, klasyczne rysy, hipnotyzujące zielone oczy i włosy koloru lśniących kasztanów, no i trochę onieśmiałała okolicznych właścicieli ziemskich, którym nie w smak była jej bystrość ani poczucie humoru, często zbijające ich z tropu.

„Panna Roade - mówili o niej, widząc ją na drodze ze wsi do wsi - ten mól książkowy. A urodą nawet się nie umywa do swojej siostry, panny Oliwii. O, ta jest piękna!”

Jednak ci sami mężczyźni przez ostatnie piętnaście lat widywali pannę Oliwię w najlepszym razie przelotnie. Ponieważ jednak odziedziczyła ona urodę po matce, była piękna. Natomiast panna Beatrice bez wątplenia wrodziła się w krewnych ze strony ojca, zatem była rozsądna.

Cóż jednak rozsądna panna Roade robiła u bramy opactwa Steepwood, bramy, która rdzewiała, od niepaamiętnych czasów otwarta i bezużyteczna? Czyżby naprawdę zastanawiała się, czy nie iść skrótem?

Jeśli nawet miejscowi wchodzili na teren opactwa, to od zabudowań trzymali się z dala. Korzystali ze ścieżki

przecinającej rzeczkę Little Steep i biegnącej dalej brzegiem zalewu lub obchodzili las Giles, choć do lasu zbliżali się tylko najodważniejsi.

W lesie bowiem działy się niesamowite rzeczy. Nan opowiedziała Beatrice, co gadają ludzie. Ostatnio znowu widziano tam nocami światła, a poza tym plotkowano, że markiz wrócił do swoich dawnych upodobań. Gdy bowiem Sywell sprowadził się do opactwa, podobno wraz z przyjaciółmi baraszkował wśród drzew z ladacznicami, a wszyscy byli nadzy i mieli twarze zasłonięte maskami w kształcie zwierzęcych pysków.

- To skandal, żeby angielski szlachcic postępował w taki sposób! - oburzyła się Nan nie dalej jak ostatniego ranka, zajęta doprowadzaniem sofy w salonie do takiego połysku, że w jej drewnianych częściach można by się przejrzeć. - Aż strach pomyśleć, co tam się dzieje.

- Nan, intrygujesz mnie - zażartowała Beatrice. - Jakie okropieństwa sobie wyobrażasz?

- Takie, o których nie powinnyśmy nic wiedzieć - odparła ciotka i zerknęła na nią z udaną surowością.

Zachowanie markiza było doprawdy tak skandaliczne, że zasługiwało jedynie na pominięcie milczeniem, tyle że życie na wsi toczyło się na ogół dość jednostajnie, więc historia, którą można było szeptem opowiedzieć bliskim i przyjaciołom, zawsze je urozmaicała.

Również Ghislaine i Beatrice żartowały na ten temat po południu, choć Ghislaine w zasadzie nie wierzyła plotkom.

- Markiz Sywell jest za stary na takie zabawy - powiedziała z figlarnym błyskiem w oczach. - To nie może być prawda. Jak sądzisz, Beatrice?

- Tak samo jak ty... ale coś dziwnego na pewno tam się dzieje. Światła widziało kilku wieśniaków.

- Och, z pewnością można to zupełnie zwyczajnie wytłumaczyć - odrzekła Ghislaine, a Beatrice skinęła głową. - Na przykład wieśniacy widzieli światła latarni niesionej przez kogoś, kto miał w opactwie coś do załatwienia.

- Prawdopodobnie tak, ale plotki zawsze tak barwnie wszystko przedstawiają. To zabawne, czyż nie?

Wtedy wydawało jej się to zabawne, ale teraz, gdy miała przejść przez ugory opactwa, zmieniła zdanie.

Niektórzy poszeptywali nawet o kulcie diabła i czarnej magii, inni o pogańskich rytuałach zakorzenionych w pradawnej historii Brytów. Podobno w zamierzonych czasach na głazie nad stawem składano ofiary z dziewic, a ich krwią skrapiano ziemię, by była żyzniejsza. Naturalnie takim powiastkom Beatrice nie dawała wiary. Co też ludziom się roi?!

Zresztą opactwo było przez wieki siedzibą starego, szacownego rodu. Dopiero odkąd wpadło w ręce markiza, stało się miejscem budzącym zgorszenie mieszkańców wszystkich czterech okolicznych wsi.

Rzeczowy punkt widzenia Ghislaine dodał Beatrice pewności siebie. Nawet jeśli w posiadłości działo się coś dziwnego, to było mało prawdopodobne, by stała jej się przez to krzywda.

- Głupio bać się tylko dlatego, że zapadł zmrok -

skarciła się. - Jeśli się pośpieszę, to za niecałe pół godziny będę w domu.

Zerknęła w niebo. Zbierało się na burzę. Gdyby poszła dłuższą drogą, mogłaby przemoknąć do suchej nitki. Postanowiła więc iść skrótem biegnącym przy samych zabudowaniach opactwa. Naturalnie wiązało się z tym pewne ryzyko, musiała bowiem minąć tę część budynku, którą obecnie zamieszkiwał markiz.

- Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma - uznała, przywołując jedną z ulubionych maksym ojca, i na wszelki wypadek wyrzuciła z pamięci wszystkie zdarzenia, które już nieraz dowiodły jej zawodności. Pan Bertram Roade miał bowiem tendencję do porywania się na realizację niesprawdzonych projektów, co doprowadziło go do utraty niewielkiej, lecz wystarczającej lokaty, którą zostawił mu dziadek ze strony matki, lord Borrowdale. - Co on mi właściwie może zrobić?

Mówiąc „on”, miała naturalnie na myśli złej sławy markiza, o którym krążyło tyle gorszących opowieści, że Beatrice wydawały się one bardziej zabawne niż przerażające, przynajmniej gdy siedziała w domu.

- Bądź rozsądna - przykazała sobie i przecięła zwirowy podjazd przy głównym budynku i ruinach siedziby kapituły, którą zburzono w okresie kasaty zakonów i w takim stanie pozostawiono. - On nie mógł zrobić niczego takiego, o czym opowiadają, bo inaczej już dawno zmarłby na ospę albo inną równie paskudną chorobę. - Uśmiechnęła się przekornie. - Och, Beatrice! Co powiedziałyby droga pani Guarding, gdyby wiedziała, o czym teraz myślisz?

Właśnie z powodu spędzenia popołudnia w ekskluzywnej szkole dla panien, prowadzonej przez panią Guarding, musiała teraz przekraść się przez środek terenu opactwa.

A wcześniej było tak miło. Beatrice odwiedziła swoją przyjaciółkę, pannę Ghislaine de Champlain, która uczyła francuskiego w szkole pani Guarding, i razem zjadły podwieczorek.

Beatrice miała szczęście przez cały niezwykle cenny dla niej rok mieszkać w internacie szkoły i pod kierunkiem Ghislaine doskonalić swoją znajomość francuszczyzny i francuską wymowę. W zamian pomagała młodszym uczennicom w angielskim. Był to najwspanialszy okres jej życia.

Naturalnie tylko w ten sposób mogła sobie pozwolić na pobyt w tak ekskluzywnym zakładzie. Poza tym jej edukacją zajmował się ojciec w domu, czemu zresztą zawdzięczała kilka umiejętności dość niezwykłych jak na pannę

Gdy przebywała w szkole pani Guarding, miała dwadzieścia lat. Liczyła w głębi duszy, że będzie mogła zostać dłużej, ponieważ bardzo wysoko ceniła sobie zasady pryncypialnej, lecz jednocześnie postępowo myślącej właścicielki szkoły. Niestety, rodzinne obowiązki wezwały ją do domu.

Idąc dalej przed siebie, Beatrice znów przeżywała chorobę i śmierć matki, więc orgie w opactwie i inne tutejsze przejawy zepsucia wyleciały jej z głowy. Panią Roade uważano w panińskich czasach za wielką piękność, a ponieważ była siostrą bogatego lorda Burtona,

wróżono jej doskonałe małżeństwo. Jej decyzja związania się z Bertramem Roade'em głęboko rozczarowała całą rodzinę.

Rozmyślania Beatrice przerwał krzyk. Nigdy nie słyszała tak przeraźliwego, mroźnego krew w żyłach dźwięku. Obejrzała się raptownie, chcąc ustalić jego źródło.

Wyglądało na to, że doszedł ją z samego opactwa. Może z kaplicy lub krużganków... tego jednak nie była pewna. Równie dobrze mogło wydać go na przykład zwierzę, które gdzieś niedaleko wpadło w potrzask. Tak w każdym razie pomyślała rozsądna panna Roade.

Przez chwilę zastanawiała się jednak, czy nie popełniono straszliwej zbrodni, morderstwa albo gwałtu. Naszły ją mgliste, lecz przykre wspomnienia. Opowiadano przecież, że jeszcze za czasów, gdy mieszkali tu mnisi, pewnej nocy zatrzymano w opactwie młodą pannę, a rankiem znaleziono ją martwą.

Beatrice zadrżała i przyśpieszyła kroku. Poczowała się niepewnie. Nagle przypomniała sobie wszystkie opowieści o bezeceństwach markiza i obudził się w niej lęk, że zaraz zostanie napadnięta przez... przez kogo?

Przez dawno nieżyjących mnichów? To śmieszne! No więc przez kogo? Mało prawdopodobne, by markiz ją napadł, chyba nawet wcale się go nie bała. Bądź co bądź, w końcu ożenił się z całkiem ładną, młodą i - jeśli sądzić po tym, co w okolicy wiedzano - dość tajemniczą panną. Beatrice słyszała o niej tylko tyle, że ma na imię Louise i jako niemowlę została adoptowana przez rządzącą markiza, Johna Hanslope'a. Po cichu do-

dawano, że jest córką rządcy z nieprawego łoża, ale prawdy o jej pochodzeniu nie znał nikt.

Skandal, jaki wybuchł po małżeństwie arystokraty z przybranym dzieckiem rządcy, zadziwił i zgorszył mieszkańców czterech wsi, lecz również wzbudził ich podziw. Było rzeczą nie do pomyślenia, by mężczyzna zajmujący tak wysoką pozycję w społeczeństwie, nawet jeśli ma fatalną reputację, poślubił pannę, która znaczy niewiele więcej niż służąca. „To niesłychane!” - powtarzano.

Beatrice współczuła pannie, która poślubiła markiza, należało bowiem sądzić, że biedaczka musiała być głęboko zdesperowana.

Nawiedziła ją niespodziewana myśl. Czy to możliwe, że przed chwilą krzyknęła żona markiza? Beatrice zerknęła na ciemną, groźną bryłę opactwa i zabobonnie wykonała znak krzyża.

- Nie, nie - szepnęła. - To nie mogła być ona ani w ogóle żadna kobieta. To było zwierzę, na pewno zwierzę.

Mówiono zresztą, że markiz zakochał się po latach oddawania się występkom i rozpuście!

Ale nawet człowiek pokroju markiza chyba nie skrzywdziłby kobiety, którą kochał... a może jednak...

Beatrice pochyliła głowę, aby wiatr nie smagał jej po twarzy, i zerwała się do biegu. Chciała jak najszybciej opuścić grunty opactwa, i to osłabiło jej czujność. Dlatego ani nie usłyszała tętentu kopyt, ani nie zauważyła olbrzymiego wierzchowca, który wypadł z mroku prosto na nią. W ostatniej chwili uskoczyła, aby uniknąć stratowania.

Pośliznęła się jednak i runęła na ziemię. Potem już tylko bezradnie przyglądała się, jak jeździec przemyka tuż obok, nieświadom tego, że omal nie pozbawił jej życia, lub może zupełnie tym niezainteresowany.

Widziała go tylko przez sekundy, miała jednak niezbitą pewność, że był to markiz. Gnał przed siebie na złamanie karku. Był potężnie zbudowany, okrywała go czarna peleryna, potargane siwe włosy opadały mu na ramiona. Mówiono, że jest brzydki jak noc, że hulaszczy tryb życia go zniszczył, ale tego Beatrice nie mogła wiedzieć, bo sama widziała go zaledwie kilka razy z daleka podczas spacerów. Mogła być pewna tylko tego, że jeździ konno jak szalenciec. W każdym razie nie zawarli osobistej znajomości.

- Nie zachował się pan ładnie - mruknęła Beatrice, gdy koń wraz z jeźdźcem znikł w mroku.

Dość niepewnie wstała, bardzo poruszona tym incydentem. Markiz niewątpliwie był w złym nastroju, może nawet się upił, bo podobno robił to często. Beatrice ze smutkiem pomyślała o kobiecie, która poślubiła go przed rokiem. To straszne zostać zniewolonym przez małżeństwo z potworem.

Co opętało tę pannę, że zdecydowała się na taki krok?

Beatrice nigdy nie spotkała młodej markizy i nawet nie widziała jej, będąc na spacerze. Zresztą od dnia ślubu spotykano ją nieczęsto. Ludzie twierdzili, że markiza prawie nie opuszcza murów opactwa. Zdaniem niektórych nie pozwalał jej na to wstyd, zdaniem innych niegodziwy mąż ją więził, jeszcze inni uważali, że jest chora... a wszystkie te przypuszcze-

nia wydawały się prawdopodobne, skoro panna wzięła bestię za męża!

Wszyscy twierdzili, że dziewczynę skusił majątek markiza, i Beatrice przyznawała im rację, aczkolwiek nawet gdyby markiz był najbogatszym człowiekiem w Anglii, nie poślubiłaby takiego niegodziwca!

Udało jej się zapanować nad drżeniem ciała. Ruszyła przed siebie całkiem dziarskim krokiem, a głowę na wszelki wypadek trzymała wysoko, żeby widzieć, co dzieje się przed nią. Na słuch nie mogła liczyć, wszystko bowiem głużył złowrogi świst wiatru.

Och, jak bardzo chciała nareszcie znaleźć się w domu!

- Jesteś cała przemoczona, kochanie - powiedziała Nan, która zaczęła wyrzekać natychmiast, gdy tylko Beatrice przekroczyła próg rodzinnego domu. - Wypatrujemy cię od godziny albo i dłużej. Co ci przyszło do głowy, żeby tak zamartwić biednego ojca?

Tymczasem znalazły się w salonie. Beatrice zostawiła w sieni mokrą pelerynę. Podeszła do kominka i wyciągnęła ręce ku płomieniom. Gdy trochę się ogrzała, usiadła na dębowej, tapicerowanej sofie, wzorowanej na meblu z Knole, ostrożnie odsunawszy przedtem robotkę ciotki.

- Czyżby papa się martwił? - Beatrice wydawało się to dość nieprawdopodobne. Zapewne jej ojciec siedział zamknięty w gabinecie i pracował nad jednym ze swoich wynalazków: wspaniałym i absolutnie bezużytecznym przedmiotem, który miał w przyszłości pomóc ro-

dzinie w odzyskaniu majątku. - Wydaje mi się, że ty się martwiłaś, Nan. Drogi papa przypuszczalnie niczego nie zauważył. Gdybym nie przyszła na kolację, to co innego. Wtedy może zaczęłyby się martwić, zwłaszcza gdyby okazało się, że musi poczekać na posiłek.

- Beatrice! - skarciła ją Nan. - Jesteś niemiła. Znam twoje poczucie humoru, moja droga, ale taki cynizm nie przystoi młodej kobiecie. Nic dziwnego, że... - urwała pod wpływem spojżenia bratanicy.

- Wiem, wiem, wystraszyłam wszystkich kandydatów do mojej ręki - powiedziała ze smutkiem Beatrice. - Powinnam była przyjąć oświadczyzny pana Rusha, prawda? Owszem, ma on pewnie ze trzy tysiące rocznie... ale pochował już trzy żony i naprawdę nie zniosłabym gromady jego dzieciaków.

- Miałaś też inne propozycje - przypomniała ciotka.

Pani Nancy Willow była wdową w wieku czterdziestu kilku lat, pulchną, poczciwą i życzliwą, darzącą wyjątkowym uczuciem swoją starszą bratanicę. Zamieszkała w domu brata po śmierci męża (żołnierza, który z czasem został podróżnikiem). Czasem zdawało jej się, że byłoby lepiej, gdyby znalazła się tu, zanim jej uroczą, lecz dość nierozgarniętą bratową umarła, lecz wówczas mieszkała z Eddiem w Indii.

- O ile mi wiadomo, był kiedyś stosowny kandydat...

- A kto ci to powiedział, ciciu?

Nan zmarszczyła czoło. Beatrice rzadko nazywała ją „cicią” w taki sposób jak przed chwilą. Najwyraźniej rozmowa zesłała na śliski grunt.

- Mniejsza o to - wycofała się. - Gdyby pojawił się inny odpowiedni młody człowiek...

- Nie mogłabym zostawić papy - powiedziała natychmiast Beatrice. - Zresztą nic takiego się nie stanie. W zasadzie nie ma już dla mnie nadziei.

- Co ty mówisz! - obruszyła się Nan. - Masz mnóstwo zalet. Wrażliwy mężczyzna powinien je zauważyć od pierwszej chwili...

- I natychmiast się we mnie zakochać? - dokończyła Beatrice rozbawiona sentymentalizmem ciotki. - Tylko znajdź mi tego młodego mężczyznę, moja droga Nan. Jeśli nie będzie zanadto ocieężały umysłowo, co wydaje mi się poważnym kontrargumentem, zrobię co w mojej mocy, by go usidlić.

- Ech, ty i ten twój ostry języczek - powiedziała ciotka z uśmiechem, mimo że z dezaprobatą pokręciła głową. - Go zaś do zostawiania papy, to wiesz, że nie masz racji. Owszem, musiałaś porzucić myśl o zamążpójściu, gdy zachorowała twoja mama. Wtedy opuszczenie ojca byłoby z twojej strony naganną niefrasobliwością, potem jednak mój brat okazał dostateczną wielkoduszność, by zapewnić mi dożywocie...

- A może tobie ktoś się oświadczy, Nan!

Ciotka zrobiła kwaśną minę.

- Nie mogłabym ulec takiej pokusie. Jest mi tu dobrze i tutaj zostanę. Ponieważ zaś nie potrzeba nas dwóch do prowadzenia domu, możesz postąpić wedle własnej woli...

- Rzeczywiście, teraz rozumiem, że sytuacja się zmieniała. - Beatrice spoważniała. - Może więc byłoby

lepiej, gdybym rozejrzała się za posadą. Fundusze papy są ograniczone, a odkąd...

- Ani ojciec nie chciałby o tym słyszeć, ani ja - stanowczo przerwała jej Nan. - Jeśli ktoś miałby sobie szukać miejsca gdzie indziej, to tylko ja.

- Nie! - zaprotestowała natychmiast Beatrice. Obawiała się właśnie takiej reakcji ze strony ciotki i dlatego wcześniej nie zdradziła swych myśli. - Nie rozumiesz, Nan. Nie mówię o posadzie guwernantki albo damy do towarzystwa. Wyjechałabym tylko pod tym warunkiem, że mogłabym wrócić jako nauczycielka do szkoły pani Guarding.

Ciotka przyjrzała jej się spod zmrużonych powiek.

- Czy właśnie dlatego zabawiłaś tam tak długo dziś po południu?

- Nie, prawdę mówiąc, jeszcze nie rozmawiałam z panią Guarding o tym pomysle. Byłam u Ghislaine de Champlain, która, jak ci mówiłam, uczy tam francuskiego. Porozmawiałyśmy trochę i zjadłyśmy podwieczorek w jej pokoju, który ma okno z widokiem na rzekę. To było doprawdy bardzo przyjemne.

- Często mówisz o panie de Champlain... i o swoim pobycie w szkole. Czy naprawdę byłabyś szczęśliwa, gdybyś tam wróciła?

- Tak sądzę - odrzekła Beatrice, tłumiąc westchnienie. Nie powiedziałaaby, że jest nieszczęśliwa, mieszkając w domu ojca, czasem jednak tęskniła za towarzystwem liczniejszym i bardziej odpowiednim dla jej wieku. Chciałaby być blisko przyjaciółki, na której mogłaby ćwiczyć swoje poczucie humoru bez prze-

świadczenia, że zaraz ją urazi lub wprawi w zakłopotanie.

Przez chwilę zadumała się nad dawno rozwianymi nadziejami, które żywiła, mając dziewiętnaście lat - dokładnie tyle samo, ile w tej chwili jej siostra! Wiedziała jednak, że nie sposób porównywać sytuacji ich dwóch. Oliwia mieszkała w Londynie, błyszczała w salonach, a jej niedawne zaręczyny z bogatym arystokratą stanowiły wydarzenie towarzyskie sezonu. Beatrice nigdy nie odwiedziła Londynu podczas sezonu i miała tylko jednego adoratora, którego była skłonna przyjąć... gdyby jej się oświadczył pewnego lata. On jednak igrał z jej uczuciami przez miesiąc, a potem nagle wyjechał do Londynu i poprosił o rękę dziedziczkę niemałej fortuny.

- Nie smuć się tak, kochanie - powiedziała Nan. - Lepiej usiądź przy ogniu, wysuszę ci te biedne nogi. Wyglądasz, jakbyś tarzała się w błocie.

- Bo tak właśnie było - potwierdziła Beatrice. - Wraciałam do domu skrótem przez opactwo, Nan.

- Wielkie nieba! - Ciotka wydawała się przerażona. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że napadł cię ten potwór?

- Tylko w pewnym sensie. - Beatrice pokręciła głową, bo Nan pobladła, jakby miała zaraz zemdleć. - Och, nie tak, jak myślisz. Usłyszałam coś dziwnego... chyba krzyk... a potem z mroku wypadł jeździec i musiałam odskoczyć. Gdybym tego nie zrobiła, niechybnie by mnie stratował. To na pewno był markiz we własnej osobie, w dodatku bardzo wzburzony.

Nan instynktownie się przeżegnała. Nie była kato-

liczka, podobnie jak reszta członków jej rodziny, ale w takich sytuacjach znak krzyża działał krzepiąco.

Beatrice roześmiała się z reakcji ciotki.

- Muszę przyznać, że gdy usłyszałam ten krzyk, zrobiłam dokładnie to samo, co ty teraz - wyznała. - Był przerażający... - urwała, bo do pokoju weszła ich młodociana służąca, niosąc srebrną tacę. - Słucham, Lily, co się stało?

- Bellows przyniósł dziś po południu list z agencji pocztowej, panno Roade. Z Londynu, zaadresowano go do pani.

- Na pewno od Oliwii - powiedziała Beatrice, bardzo podekscytowana nowiną. - Czyżby w końcu zaproszenie na ślub?

Wysoki zegar w sieni wybił piątą, gdy wzięła zapieczętowany pakiet z rąk służącej.

Beatrice niecierpliwie wyczekiwała zaproszenia, odkąd dowiedziała się od siostry o jej zamiarze zaręczenia się z lordem Ravensdenem, bogatym dziedzicem lorda Burtona. Nawiasem mówiąc, majątek lorda Burtona niewiele dla jego dziedzica znaczył, jeśli bowiem wierzyć pogłoskom, Ravensden i bez tego miał o wiele więcej pieniędzy, niż człowiekowi potrzeba.

Bogaci krewni adoptowali Oliwię w dzieciństwie. W ich domu doznała miłości i była rozpieszczana na wszystkie sposoby, toteż wiodła zupełnie inne życie niż jej starsza siostra, którą lord i lady Burton całkowicie ignorowali, odkąd dokonali wyboru dziecka.

Rozstanie z Oliwią było ciężkim ciosem dla Beatrice, która jako starsza siostra dobrze rozumiała, co

się dzieje i dlaczego. Od dnia wyjazdu Oliwii utrzymywała z nią kontakt listowny, ale osobiście spotkały się potem zaledwie dwa razy, gdy bratowa ich matki przywiozła Oliwię na krótko do Abbot Giles. Zobaczywszy w *Timesie* - mimo szczupłych rodzinnych funduszy wciąż abonowanym przez ojca - ogłoszenie o zaręczynach siostry, Beatrice spodziewała się przesyłki od dawna, a ostatnio nawet doszła do wniosku, że zapewne została wyłączona z grona zaproszonych osób.

Nerwowym ruchem rozdarła pakiecik i przeczytała list trzy razy, zanim wreszcie uwierzyła, że wzrok jej nie myli. To niemożliwe! Oliwia żartowała... Bo jeśli nie był to żart... O tym Beatrice wołała nawet nie myśleć.

- Czy coś się stało twojej siostrze? - spytała Nan.
- Wyglądasz na bardzo przejętą.

- Dostałam straszną wiadomość - odrzekła Beatrice. - Nie mogę w to uwierzyć, Nan. Oliwia pisze mi, że nie poślubi lorda Ravensdena. Zrozumiała, że nie darczy go dostatecznym uczuciem... i już powiadomiła go o swojej decyzji.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że zerwała zaręczyny? - Nan wpatrywała się w nią z bardzo niezadowoloną miną. - Jak mogła? To ją zrujnuje. Czy ona nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji?

- Sądzę, że jednak musi zdawać sobie sprawę. - Beatrice wydała cichy okrzyk, odkryła bowiem zdanie, które wcześniej uniknęło jej uwagi. - Och, nie! Jest jeszcze gorzej, niż myślałam. Lord i lady Burton... wydziedziczyli ją. Powiedzieli, że sprowadziła na nich

hańbę, więc nie będą dłużej trzymać żmii we własnym domu...

- Postąpili dość bezwzględnie, nie sądzisz? - Nan zmarszczyła czoło. - Naturalnie Oliwia nie powinna była zrobić tego, co zrobiła, temu nikt nie zaprzeczy... Przepuszczam jednak, że miała swoje powody. Nie zachowałyby się tak dla zwykłego kaprysu, prawda?

- Nie, skądże. - Beatrice lojalnie stanęła w obronie Siostry. - Nie znamy się dobrze, ale jestem pewna, że Oliwia nie jest lekkomyślna.

- Co mogło ją skłonić do przyjęcia oświadczyn, jeśli nie zamierzała go poślubić? - zdumiała się Nan, kręcąc głową. Złamanie słowa danego narzeczonemu nigdy nie traktowano lekko... zwłaszcza jeśli był tak bogaty jak lord Ravensden!

- Píše mi, że nie mogłaby zaznać szczęścia jako jego żona - wyjaśniła Beatrice, jeszcze raz przebiegając wzrokiem linijki pośpiesznie skreślone przez siostrę. - I że głęboko się na nim zawiodła.

- Co ona teraz zrobi?

- Lord Burton zapowiedział, że ma tydzień na opuszczenie jego domu. Oliwia pyta więc, czy może przyjechać do nas.

- Przyjechać tutaj? - Nan spojrzała na bratanicę z bardzo niechętną miną. - Czy ona wie, jak my żyjemy? Zastanie zupełnie inne warunki niż te, do których przywykła.

- Obawiam się, że masz rację - przyznała Beatrice. - Mimo to niezwłocznie porozmawiam z papą, a jeśli wyrazi zgodę, to napiszę Oliwii, że będzie u nas mile widziana.

- Mój brat zgodzi się z każdą twoją sugestią - stwierdziła dość kwaśno Nan. - Na pewno o tym wiesz, prawda?

Beatrice uśmiechnęła się nieznacznie. Rzecz jasna, zdawała sobie sprawę z tego, że może owinać sobie ojca dookoła małego palca. Pan Roade nie umiał jej niczego odmówić, a to dlatego, że bardzo niewiele mógł jej dać. Na szczęście Beatrice miała skromny własny dochód, pochodzący z kapitału zostawionego jej przez babkę ze strony matki, lady Anne Smith.

Nan podała ręcznik, więc Beatrice zrobiła z niego użytek i starannie się wytarła. Splątane długie włosy opadały jej na twarz i w świetle ognia lśniły czerwonym blaskiem, podkreślając jej naturalną urodę, której sama dziewczyna nigdy nie dostrzegła. Zwróciwszy ręcznik ciotce, popatrzyła w dół. Suknię miała w opłakanym stanie, ale należało się spodziewać, że jej drogi papa w ogóle tego nie zauważy.

- Naturalnie rozumiesz, że Oliwia będzie dla ojca dodatkowym ciężarem, zważywszy na jego nieduże dochody - ostrzegła ją Nan. - Nawet teraz niewiele macie dla siebie.

- Moja siostra zostanie bez środków do życia, jeśli nie przyjmie jej pod nasz dach - zauważyła Beatrice.

- Wprawdzie nie wiem, czy oni wyrzucili ją z domu bez pensa przy duszy, ale jest to całkiem możliwe. Postąpiłabym wyjątkowo okrutnie, gdybym odmówiła Oliwii schronienia w rodzinnym domu.

- Och, czegoś takiego nie zrobiłabyś nigdy - powiedziała ciepło Nan. - Nie mam nic przeciwko twojej

siostrze, kochanie. Chcę tylko, żebyś się zastanowiła, zanim rzucisz się na głęboką wodę, bo mój biedny brat nigdy tego nie robi.

- Damy sobie radę. - Beatrice z uśmiechem opuściła ciotkę.

Przestała się jednak uśmiechać, gdy tylko wyszła na korytarz. Nie wspomniała o tym Nan, bo wciąż nie do końca wiedziała, co lakoniczne wyjaśnienia jej siostry mają znaczyć, wynikało z nich jednak, że lord Ravensden nie jest człowiekiem, którego Oliwia mogłaby kochać lub szanować. Jeśli przecucie jej nie myliło, należało przypuszczać, że Ravensden jest zimny, bezwzględny, że interesują go tylko majątek i powinności.

Wszak miał czelność powiedzieć jednemu ze swoich przyjaciół, że żeni się wyłącznie po to, by spełnić życzenie lorda Burtona. Ponieważ Burtonowie nie mieli własnych dzieci, tytuł i fortuna siłą rzeczy przechodziły na dalekiego kuzyna. Lordostwo mieli jednak poczucie, że jest to nieuczciwe wobec ich przybranej córki, powiadomili więc dziedzica lorda Burtona, że byliby bardzo zadowoleni, gdyby ożenił się z panną, którą od wielu lat obdarzają uczuciem.

Lord Ravensden istotnie oświadczył się Oliwii i najwidoczniej stworzył takie wrażenie, jakby zrobił to, kierując się uczuciem. Przypadek sprawił jednak, że Oliwia dowiedziała się prawdy. Musiało nią to do głębi wstrząsnąć!

Uznała więc, że nie może obdarzyć go miłością, i nie było w tym nic dziwnego. Beatrice uważała, że każda kobieta poczułaby się przyparta do muru, gdyby okaza-

ło się, że każą jej ofiarować serce takiemu wyrafinowanemu człowiekowi.

Jak bardzo chciała, żeby lord Ravensden choć na pięć minut znalazł się na jej łasce. Sprawiałoby jej wielką przyjemność, gdyby mogła mu wygarnąć, co o nim myśli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Beatrice poddała się narastającej fali wzburzenia. Na ogół była bardzo powściągliwa, ale gdy ktoś obraził jej silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości, tak jak teraz, potrafiła przerazić swą furią niejednego.

- Gdybym tylko mogła dostać go w swoje ręce! - powiedziała do siebie. - Powinien przekonać się na własnej skórze, co to znaczy być tak bezdusznie traktowanym. Skazałabym go na nie mniejsze cierpienie niż on moją siostrę.

Nie, dość tego! To nie miało sensu. Podczas rozmowy z papą należało być opanowaną i pogodną. Biedak miał swoje strapienia. Nie mogła pozwolić, by i ten ciężar spadł na jego ramiona. A co do dodatkowego obciążenia finansowego... w tej sytuacji pomysł wystarania się o posadę w szkole pani Guarding stawał się jeszcze bardziej na czasie. Gdyby samodzielnie się utrzymywała, papa mógłby zaoszczędzić kilka gwinei rocznie na przyzwoitą garderobę dla Oliwii, choć prawdopodobnie nie tak wykwintną, do jakiej była przyzwyczajona.

Przed drzwiami do gabinetu ojca przystanęła, po chwili zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Czekanie nie miałoby sensu. Pan Roade był

tak pochłonięty licznymi wykresami i obliczeniami na kartkach, że z pewnością jej nie usłyszał.

Jak wielu mężczyzn tej epoki, pan Roade pasjonował się rozwojem nauki i opracowywaniem wszelkiego rodzaju wynalazków. Darzył głębokim podziwem Jamesa Watta, twórcę cudownej maszyny parowej, której zaczęto używać na tak wiele sposobów. No i naturalnie Roberta Fultona, Amerykanina, który pierwszy raz pokazał światu swój wspaniały statek parowy na Sekwanie we Francji w 1803 roku. Bertram Roade był pewien, że jego projekty któregoś dnia przysporzą mu mnóstwo pieniędzy.

- Papo... - odezwała się Beatrice, podszedłszy do stołu, by zerknąć mu przez ramię. Pan Roade pracował nad sprytnie pomyślanym kominkiem, który jednocześnie ogrzewałby wodę w znajdującym się za nim zbiorniku i w ten sposób zapewniał stały dopływ ciepłej wody do całego domu. Pomysł był znakomity, chodziło tylko o to, by nadać mu realny kształt. Niestety, ostatnio gdy domorosły wynalazca namówił kogoś na realizację projektu, skończyło się to wybuchem przegrzanego zbiornika i dużymi zniszczeniami. Naprawa wyrwy w ścianie kuchni i spłacenie zirytowanego współnika zamknęły się kwotą ponad stu funtów. Na tyle w zasadzie nie było ich stać.

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

- Jestem bliski rozwiązania zagadki - odparł pan Roade tak, jakby w ogóle jej nie usłyszał. - Już wiem, dlaczego ostatnim razem doszło do wybuchu... powietrze zanadto się nagrzało, a nie miało drogi ujęcia.

Gdybym włączył do konstrukcji zawór, który wypuści parę, zanim ciśnienie wzrośnie...

- Tak, papo, z pewnością masz rację.

Pan Roade podniósł głowę. Zwykle Beatrice wdawała się z nim w spór. Ponieważ zaś nie był do końca pewien swojego ostatniego wniosku, chętnie przedyskutowałby go z córką.

- Chciałaś ze mną porozmawiać, moja droga? - Zamrugał oczami ukrytymi za okularami w złotej oprawce, które zjechały mu na koniec nosa. - Jeszcze za wcześnie na kolację, prawda?

- Tak, papo. Przyszłam do ciebie w innej sprawie. - Zaczepnęła tchu. - Oliwia chce do nas przyjechać. Dlatego proszę cię, żebyś pozwolił mi do niej napisać i zaprosić ją na tak długo, jak będzie sobie życzyła.

- Oliwia... twoja siostra? - Zmarszczył czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Chyba mu się udało, bo nagle się uśmiechnął. - Ach, tak, ma wyjść za męża. Bez wątpienia chce trochę porozmawiać z siostrą, zanim się to stanie.

- Nie, papo. Sytuacja wygląda nieco inaczej. Z powodów, które Oliwia zamierza nam przedstawić, postanowiła nie brać ślubu z lordem Ravensdenem. Chce tutaj zamieszkać.

- Czy jesteś pewna, moja droga, że dobrze wszystko zrozumiałaś? - Pan Roade wydawał się zdezorientowany. - Miałem wrażenie, że to doskonała para. Ten człowiek jest bogaty jak Midas, czyż nie?

- Bardzo trafne porównanie, papo. Jeśli bowiem pa-

miętasz, Midas był królem Frygii, jego dotyk zamieniał wszystko w złoto, a Apollo ukarał go oślimi uszami. Lord Ravensden musi być głupcem, jeśli zniechęcił do siebie Oliwię, ale wygląda na to, że podobnie jak ten legendarny król, bardziej dba o złoto niż o kobietę.

- To rzeczywiście musi być głupiec - westchnął Bertram, który całym sercem kochał żonę. - Wobec tego nawet lepiej, że Oliwia go nie poślubi. Napisz do niej bez zwłoki, że z radością powitamy ją w domu. Nigdy nie wydawało mi się, by jej wyjazd był dobrym pomysłem... to matka do tego dążyła. Chciała, żeby przynajmniej jedna z jej córek miała szanse na lepsze życie, a jej bratowa była bezdzietna. Dziękuję Bogu, że Burtonowie nie wybrali ciebie. Tej straty bym nie przebolewał, Beatrice.

- Dziękuję, papo. - Uśmiechnęła się i czule pocałowała go w czoło. - Wiesz co? Gdybyś skierował całą parę w jedną stronę, to mógłbyś wypuścić ją na zewnątrz rurami i w ten sposób dodatkowo ogrzać pokoje. W sypialniach zrobiłoby się znacznie cieplej... pod warunkiem, że zbiornik na wodę nie wybuchłby tak jak poprzednim razem.

- Gdyby para popłynęła rurami obiegającymi cały dom... - Pan Roade spojrział na swoją córkę z podziwem. - To znakomity pomysł, Beatrice. Tylko mogłoby to niezbyt ładnie wyglądać. Wątpię, czy ktokolwiek chciałby się na to zgodzić w zamian za odrobinę ciepła.

- Ja na pewno - odrzekła Beatrice. - Czy poczyniłeś jakieś postępy w kwestii bezdymnego paleniska?

U mnie w pokoju kominek kopcił wczoraj jak opętany. Zawsze tak jest, kiedy wieje wiatr od wschodu.

- Może jakiś ptak uwił gniazdo gdzie nie trzeba - powiedział ojciec. - Przeczyszczę jutro komin.

- Dziękuję, papo, ale jestem pewna, że pan Rowley przyjdzie ze wsi i to zrobi, jeśli tylko go poprosimy. Takie prace są nie dla ciebie.

- Banialuki! - sprzeciwił się pan Roade. - Zrobię to specjalnie dla ciebie jutro z samego rana.

- No dobrze, papo.

Beatrice z uśmiechem opuściła gabinet. Ojciec zapomni o dymiącym kominku pięć minut po jej wyjściu, co zresztą nie miało znaczenia, bo i tak zamierzała posłać po kominiarza przy okazji następnej wizyty ich jedyne go służącego w Abbot Quincey, skąd przywoził zapasy na cały tydzień.

Uśmiechnęła się, widząc, że służący akurat czyści kandelabr, stojący na komódce.

- Dobry wieczór, Bellows. Okropny mamy wieczór, czyż nie?

- Będzie burzliwa noc, panienko. Czy Lily przyniosła paniencie list?

- Tak, dziękuję. I dziękuję, że w ogóle pomyślałeś o odebraniu listu.

- Nie ma za co, panienko. Byłem na targu w Abbot Quincey, więc sprawdzenie, czy nie przyszła poczta, zajęło mi tylko chwilę.

Skinęła głową i ruszyła schodami na piętro.

Większość towarów potrzebnych w kuchni można było kupić w sklepie w Abbot Quincey, zdecydowanie

największej z czterech okolicznych wsi, aspirującej nawet do miana miasteczka, ale gdy było potrzebne coś szczególnego, Bellows jeździł po to do Northampton.

To szczęście, że mają takiego zaradnego sługę, odpowiedzialnego za większość prac w domu. Bellows służył u nich od czasu, gdy ojciec Beatrice był małym chłopcem, i pamiętał, że kiedyś Roade'om wiodło się znacznie lepiej niż teraz.

Z sobie tylko znanego powodu Bellows darzył swojego pana niezwykłym przywiązaniem i pozostawał lojalny, mimo że nie płacono mu od trzech lat. Dostawał tylko utrzymanie, poza tym korzystał z własnych metod powiększania osobistego dochodu. Czasem trafiał do kuchni tłusty królik albo zabłąkany gołąb, a Beatrice podejrzewała, że Bellows nie stroni od kłusownictwa, nigdy jednak nie odważyła się spytać, skąd pochodzą te drobne podarki. Zresztą nie było jej na to stać.

Idąc na górę do pokoju, żeby umyć się i przebrać, Beatrice dumiała nad przewrotnością losu.

- Moja biedna, droga siostra - szepnęła. - Och, jak ten nikczemnik Ravensden może być taki okrutny!?

Sama została opuszczona przez mężczyznę, który wcześniej zapewniał ją, że jest w niej zakochany do szaleństwa, a stało się tak dlatego, że ów mężczyzna stracił przy zielonym stoliku małą fortunę. Naprawdę wierzyła w to, że Matthew Walters zamierzał się z nią ożenić, póki nie zrujnowała go zła passa. Bądź co bądź, kilkakrotnie wyznał jej miłość. Tylko wrodzona przezorność powstrzymała ją przed wyjawieniem mu swoich uczuć.

Gdyby zareagowała impulsywnie, wszyscy potem dowiedzieliby się, że została odtrącona, co tylko pogorszyłoby jej sytuację. A tak oszczędzono jej skandalu i publicznego upokorzenia.

Tylko rodzice znali prawdę. Pani Roade tuliła ją, gdy Beatrice opłakiwała przeżyte rozczarowanie i urazę... od tamtej pory minęło jednak dużo czasu. Beatrice była wtedy znacznie młodsza, może trochę naiwna i zupełnie nieświadoma tego, jak urządzony jest świat. Po odejściu Matthew dojrzała jednak bardzo szybko.

Potem już tylko z rzadka myślała o małżeństwie. Podejrzewała, że większość mężczyzn jest podobna do tego, który ze wszystkich sił starał się ją uwieść. Gdyby okazała się dość głupia, by ulec jego błaganiom... to co? Mogłaby nie tylko zostać porzucona, lecz również zhańbiona. Jakoś udało jej się odeprzeć pokusę, chociaż wtedy sądziła, że jest zakochana.

Gorzko się roześmiała. Nie była taka głupia, żeby nadal w to wierzyć. Nauczyła się widzieć świat takim, jaki jest, wiedziała już więc, że miłość istnieje tylko w opowieściach marzycieli i poetów.

Dostała nauczkę, a ostatnie doświadczenia siostry boleśnie jej o tym przypomniały. Oliwia poczuła się tak głęboko urażona, że zdecydowała się na krok, który skompromitował ją w oczach świata i przekreślił jej szanse na pomyślną przyszłość... Jakimż niecnym człowiekiem musi być ten lord Ravensden!

- Ty niegodziwcze - syknęła pod nosem, kończąc się ubierać do kolacji. - Za to, co zrobiłeś, zasłużyłeś sobie na gotowanie w oleju!

Lorda Ravensdena zaczęła stawiać na równi z markizem Sywellem. Po przygodzie, w której cudem uniknęła stratowania, Beatrice była skłonna uwierzyć we wszystkie opowieści o markizie. A Ravensden nie był wiele lepszy.

Naturalnie po chwili zastanowienia powinna dojść do wniosku, że raczej nie jest to słuszny osąd, ponieważ jej siostra z pewnością nie przystałaby na małżeństwo z takim niegodziwcem. Jako przybrana córka arystokratów była rozpieszczona i gdyby zaraz na samym początku stwierdziła, że nie podoba jej się dziedzic, z pewnością nie zmuszano by jej do małżeństwa. Dopiero rozgłos i skandal związane z zerwaniem zaręczyn wzbudziły gniew Burtonów.

Tego wieczoru jednak Beatrice nie była sobą. Dwa wytrącające z równowagi zdarzenia, jedno po drugim, utrudniły jej racjonalne myślenie. Przez cały czas miała dziwne wrażenie, że stało się lub wkrótce stanie coś strasznego, co wpłynie nie tylko na życie jej i Oliwii, lecz również wielu innych mieszkańców okolicznych wsi.

Krzyk, jaki usłyszała, przechodząc koło opactwa, potem markiz pędzący prosto na nią... to wszystko wydawało jej się tak złowrogie. Czyżby to był omen?

Zaraz potem wróciła do domu i dostała list od siostry. Naturalnie krzyk mógł nie mieć z tym nic wspólnego... lecz nie opuszczało jej przeświadczenie, że życie wielu osób bardzo się zmieni. Przeszył ją zimny dreszcz, gdy zaczęła zastanawiać się nad sobą. Jeszcze nigdy nie doznała tak wyrazistego przeczucia.

Nie bądź głupia, Beatrice, skarciła się w myślach. Co powiedziałyby papa na tak rażący brak logiki w rozumowaniu?

Papa niewątpliwie wygłosiłby wykład na temat tego, że za jej przeczuciem kryje się wyłącznie zabobonny lęk. I naturalnie miałyby świętą rację.

Pokręciwszy głową, na której miała teraz schludny koczek, oddaliła od siebie niepokojące myśli. Owszem, opactwo roztaczało wieczorem złowieszczą atmosferę, ale prawdopodobnie każda stara budowla, o której krążą tajemnicze opowieści, budzi podobne odczucia, jeśli odwiedza się ją po zmroku.

Gdyby Beatrice była przesądna, uznałaby swoje przeżycie za ostrzeżenie, znak dany przez duchy dawno zmarłych mnichów, ale nie miała skłonności do takich interpretacji. Wierzyła, że krzyk wydało zranione zwierzę. Jako osoba praktyczna stanowczo odrzuciła inne hipotezy, śmiechem skwitowała chwilę słabości i zeszła na pożywną kolację.

- Ravensden, jesteś kompletnym głupcem, powinienś się wstydzić! Bóg raczy, wiedzieć, jak wyplącesz się z tego galimatiasu.

Gabriel Frederick Harold Ravensden, dla niewielu Harry, dla większości Ravensden, przyglądał się swemu lustrzanemu odbiciu bardzo niezadowolony z tego, co widzi. Był trzydziesty pierwszy dzień października, a on stał w sypialni swojego domu przy Portland Place. Ależ z niego osioł! Powinno się wrzucić go do wrzącego oleju i gotować, póki ciało nie odejdzie mu od kości.

Na tę myśl uśmiechnął się szeroko, zastanawiając się, czy odwrócona kolejność tortur nie zwiększyła-by cierpień, szybko jednak uśmiech znikł mu z twarzy, gdy przypomniał sobie, że to właśnie jego absurdalne poczucie humoru wpędziło ich wszystkich w tarapaty.

- Czy pan coś powiedział? - spytał Beckett, który wszedł do pokoju ze stertą sztywnych od krochmalu halsztuków, wybrawszy te, które pan mógł sobie zażyczyć. - Czy włoży pan dzisiaj ten nowy niebieski surdut?

- Co takiego? Och, nie wiem - odrzekł Harry. - Nie, chyba wolałbym coś prostszego... co bardziej nadaje się do konnej jazdy.

Służący skinął głową, nie pokazując po sobie, że żądanie wydaje mu się zaskakujące, ponieważ chlebobawca wrócił do Londynu zaledwie poprzedniego wieczoru. Natychmiast zaproponował szykowną zieloną kurtkę jeździecką, którą lord Ravensden zaakceptował z taką miną, jakby myślamy był bardzo daleko. Brak zainteresowania odzieniem był bardzo niezwykły u człowieka znanego ze swego wykwintnego smaku i znakomitych manier.

- Możesz już iść - powiedział do służącego Harry, włożywszy z jego pomocą kurtkę i zawiązawszy w prosty węzeł halsztuk. - Wezwę cię, jeśli będę czegoś potrzebował.

- Dobrze, milordzie.

Beckett skłonił głowę i wycofał się do garderoby, by tam spokojnie wzdychać nad stanem obuwia chlebo-

dawcy po jego powrocie ze wsi. Natomiast Harry wrócił do przykrych rozmyślań.

Chcąc postawić sprawę uczciwie, powinien był wysłać swoją daleką kuzynkę do diabła natychmiast po tym, jak przedstawiono mu propozycję małżeństwa. Ale miny i dąsy pięknej panny Oliwii Roade Burton wydawały mu się bardzo zabawne. Poza tym była ona niekwestionowaną gwiazdą tego sezonu, a ponieważ przez całe życie nie robiono nic innego, tylko ją rozpieszczano, nie mogła nie być odrobinę kapryśna i egoistyczna.

Miała tak ujmujące maniery i uroczą buzię, że jednak postanowił pozyskać jej względy. Umizgi sprawiały mu niemało przyjemności, w pewnej chwili doszedł więc do wniosku, że mógłby nawet pojąć ją za żonę, bo przecież w najbliższych miesiącach bez wątpienia musiał kogoś poślubić.

- Ty tępy, bezmyślny niedołęgo! - rzekł do siebie, przypomniawszy sobie list, który niedawno dostał od narzeczonej. - Sam napytałeś sobie biedy...

W wieku trzydziestu czterech lat wciąż uważał się za zdolnego do spłodzenia syna, którego pilnie potrzebował, ale nie wolno mu było odkładać tego obowiązku, jeśli nie chciał, by odrażający Peregrine przejął jego włości i dodatkowo odziedziczył te należące do lorda Burtona. Obaj z lordem Burtonem zgadzali się, że takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia, niestety, chwilowo więcej zbieżnych punktów w ich poglądach nie było. Rozstali się mocno skłóceni. Gdyby Harry nie był dżentelmenem, prawdopodobnie powaliłby Burtona na zie-

mię. Gniewnie zmarszczył czoło, przypominając sobie rozmowę przeprowadzoną poprzedniego wieczoru.

- To podłość, sir - powiedział - nagle zostawić bez niczego pannę, która przedtem żyła w dostatku. Nie rozumiem, jak mógł ją pan wyrzucić z domu? Ufam, że rozważysz jeszcze swoją decyzję.

- Panna jest do cna zepsuta - odparł lord Burton. - Odesłałem ją do rodziny w Northamptonshire. Niech się przekona, czy lubi życie w biedzie.

- Do Northamptonshire! Litości, człowieku, toć to koniec świata dla młodej panny z towarzystwa, przyzwyczajonej do obracania się w najelegantszych kręgach! Oliwia zanudzi się tam na śmierć w ciągu tygodnia.

- Nie rozważę ponownie swojej decyzji, dopóki panna nie przypomni sobie, jakie ma wobec mnie obowiązki - oświadczył lord Burton. - Odebrałem jej pensję, a jeśli nie przyzna się do błędu i nie przeprosi nas obu, wykreślę jej nazwisko z testamentu.

- Wydaje mi się, że to raczej my ją powinniśmy przeprosić.

Tu dyskusja przybrała jak najgorszy obrót.

Harry był wściekły. Burton postąpił ohydnie, a on, Harry Ravensden, walnie przyczynił się do zguby uroczej młodej kobiety.

Wszystko przez jedną nieprzemyślaną uwagę w klubie, którą podsłuchał jakiś nieżyczliwy, zawistny człowiek. A Harry był taki dumny ze swojej umiejętności powściągnięcia języka! Jeśli przecucie go nie myliło, tę wstrętną plotkę puścił w obieg jego kuzyn Peregrine

Quindon. Postępek był doprawdy nad wyraz niegodziwy, toteż Harry przysiągł sobie, że Peregrine jeszcze go popamięta.

Oliwię głęboko uraziła małostkowa radość innej panny. Przejęła się zarzutem, że jest to zwykłe małżeństwo z rozsądku, a ona, choć niekwestionowana gwiazda sezonu, znalazła tylko takiego kandydata, który poprosił ją o rękę, by spełnić życzenie jej przybranego ojca. W spontanicznym odruchu napisała więc bardzo oficjalny list do narzeczonego, w którym zawiadomiła, że nie może go poślubić. Niestety, otrzymał ten list dopiero po powrocie do miasta, tymczasem zaś wybuchł skandal, o którym szeptano już w całym Londynie.

Harry przeklinał niefortunne okoliczności, które zmusiły go do wyjazdu. Dostał pilne wezwanie do swojego majątku na północy kraju, a podróż tam i z powrotem zajęła mu kilka dni. Gdyby był na miejscu w Londynie, niezwłocznie spotkałby się z Oliwią, by wyjaśnić - zresztą zgodnie z prawdą - że ma dla niej wiele szczerego szacunku i jest zaszczycony przyjęciem jego oświadczeń.

Może nie darzył jej miłością w romantycznym sensie tego słowa, ale w taką miłość w ogóle nie wierzył. Nie raz doświadczył namiętności, z przyjaciółmi łączyła go głęboka więź, ale nigdy nie zaznał wszechogarniającej miłości, która zapierałaby dech w piersiach.

Lubił towarzystwo rozumnych kobiet. Żona jego najlepszego przyjaciela była absolutnie niezwykłą osobą, toteż do lady Dawlish żywił bardzo ciepłe uczucie. Często zazdrościł Percy'emu szczęśliwego życia rodzinne-

go, ale tymczasem nie udało mu się znaleźć kobiety budzącej w nim taki podziw jak Merry Dawlish, która dużo się śmiała i sprawiała wrażenie osoby cieszącej się życiem w niepowtarzalny sposób. O dziwo, odkrył jednak, że i do Oliwii żywi jakieś uczucie, i naprawdę wcale nie zamierzał doprowadzić do katastrofy, jaką wywołała jego niefrasobliwość. Co więcej, było mu bardzo przykro, że panna znalazła się w takiej sytuacji, gdyż bez majątku i wsparcia przyjaciół utrata protektora oznaczała dla niej ruinę.

Cóż więc miał teraz zrobić? Dopiero co wrócił z podróży i nie miał szczególnej ochoty udawać się na wieś, a już na pewno nie jechać do Northamptonshire. W takich miejscach nigdy nic się nie działo.

Wielkim problemem Harry'ego była podatność na znudzenie. Odkąd po śmierci ojca wystąpił z wojska, często duszę zatruwała mu wprost niewyobrażalna nuda. Musiał jednak zająć się zarządzaniem swoimi włościami. Był dobrym panem i nie zaniedbywał ani majątków, ani ich mieszkańców, przez cały czas miał jednak poczucie, że coś go w życiu omija.

Wolał mieszkać w mieście, gdzie było łatwiej o zajmujące towarzystwo, więc nie zmartwiłby się szczególnie, gdyby Oliwia pojechała do Bath lub Brighton, ale ta wieś... jak ona się nazywa? Ach, tak, Abbot Giles. Z pewnością było tam mnóstwo nierozgarniętych ziemian i chutliwych wiejskich dziewczek, i to wszystko.

Nawet myśl o czerstwych wieśniaczkach wcale go nie ożywiła. Był znany z wybrednego podejścia do ko-

biet lekkich obyczajów i jeśli nachodziła go chęć na wzięcie sobie kochanki, to zawsze uważał, by oprócz urody wyróżniała się bystrością umysłu i dowcipem. Sądził nawet, że powodem, dla którego nie mógł całym sercem oddać się Oliwii, było niedopasowanie ich poczucia humoru. Niektóre jego uwagi wydawały się tej pannie obraźliwe lub krępujące, on zaś marzył w skrytości ducha, że któregoś dnia znajdzie kobietę, która odpłaci mu pięknym za nadobne, nie będzie się bała stawić mu czoła.

- Dziwny masz charakter - powiedział do swojego lustrzanego odbicia. To, że już od dłuższego czasu nie potrafił zajmująco spędzać czasu w towarzystwie młodych panien, które nie wydawały mu się zabawne, uważał za swój poważny mankament.

Zmarszczył czoło, zdziwiony biegiem swoich myśli. Wszak nie miał właściwie powodów skarżyć się na swój los. Jego matka wciąż żyła i była najzyczliwszą istotą pod słońcem, tyle że nigdy nie kochała jego ojca, a ojciec też jej nie kochał. Żyli osobno i nie przeszkadzało im, że nie dzielą łoża. W gruncie rzeczy odnosili się do siebie jak wypróbowani przyjaciele. Harry sądził, że musi być podobny do matki, która zdawała się niczego nie brać poważnie, a oprócz niezwykłej poczciwości była też kobietą prowokującą.

Mniejsza o to! Przecież był człowiekiem honoru. Dał słowo Oliwii, a to, że zerwała zaręczyny, nie miało najmniejszego znaczenia. Musiał do niej pojechać i spróbować jej wytłumaczyć, że wcale nie jest taki okropny. Jako jego żona, Oliwia wróci do towarzystwa, które te-

raz ją odrzuciło. Z pewnością będzie to dla niej lepsze niż los, który chciała sobie wybrać.

- Beckett! - zawołał, nagle bowiem podjął decyzję.
- Przygotuj mi ubranie na zmianę. Wyjeżdżam na kilka dni z miasta.

- Dobrze, milordzie - powiedział służący. - Czy wolno mi zapytać, dokąd jedziemy?

- Ty nie jedziesz nigdzie - odparł Harry z tajemniczym uśmiechem. - A gdyby ktoś o mnie pytał, to nie masz pojęcia, gdzie się podziewam.

- Wejdz, moja droga - powiedziała Beatrice, witając siostrę na progu. Bardzo przejęła się widokiem zmęczonej i przygnębionej Oliwii, której list dotarł zaledwie przed sześcioma dniami. Co za nikczemnik z tego Ravensdena! Za to, co zrobił, powinno się go rozpiąć na ramie i poćwiartować. - Musiałaś zmarznąć. Czy podróż była bardzo męcząca?

Droga z Londynu do Northampton była porządna i łatwa do przejechania nawet w jeden dzień, ale miejscowe szlaki pokonywało się znacznie trudniej. Oliwia dotarła publicznym dyliżansem do Northampton, a tam była zmuszona znaleźć sobie inny pojazd. Udało jej się nająć jedynie właściciela bryczki, który zgodził się wziąć ją z bagażem za trzy szylingi. Taka podróż groziła poodbijaniem wszystkich kości. Musiała też być okropnym przeżyciem dla panny przyzwyczajonej do resorowanych powozów i służby dbającej o zaspokojenie każdego jej kaprysu.

Jak Burtonowie mogli puścić ją w tę podróż samą?

Przecież mogło się jej stać dosłownie wszystko. Zupełnie jakby przybrani rodzice przestali się o nią troszczyć z dnia na dzień, odciawszy się od wszelkiej odpowiedzialności. Powinni przynajmniej dać jej do dyspozycji powóz! Na tę bezduszność Beatrice zawrzała gniewem, pilnowała się jednak, by tego nie okazać. To chwilowo nie miało znaczenia. Jej siostra była bezpieczna, choć śmiertelnie zmęczona.

- Beatrice... - Oliwii łamał się głos. Najwyraźniej nie była pewna przyjęcia, jakie ją spotka, więc ledwie opanowała wzruszenie wywołane serdecznym powitaniem. - Bardzo przepraszam, że sprawiam wam taki kłopot.

- Kłopot? Jaki kłopot? - odparła Beatrice. - To dla mnie wielka radość, że mogę powitać siostrę w tych murach. Kochamy cię, Oliwio. Ani mnie, ani nikomu z rodziny nigdy nie sprawisz kłopotu. - Z uśmiechem pocałowała ją w policzek. - Chodź, zobaczysz się z ciotką Nan. Ojciec jest w tej chwili zajęty. Staramy się nie przeszkadzać mu w pracy, ale spotkacie się później. Prosił mnie, żebym powiedziała ci, jak bardzo się cieszy z twojego powrotu.

Na te słowa na ślicznej twarzy Oliwii pojawił się grymas, a z przejrzystych niebieskich oczu popłynęły łzy.

- Och, jacy jesteście dobrzy - powiedziała, gorączkowo szukając chusteczki w torebce trzymanej przy przegubie dłoni. Chociaż peleryna była ubłocona, miała modny krój, a trzy kufry rzeczy, które Oliwia przywiozła ze sobą, wskazywały na to, że Burtonowie nie wy-

rzucili jej z domu bez przydziewku. - Wiem, że musicie uważać mnie za niewdzięcznicę, a w najlepszym razie osobę bardzo nierozważną...

- Nic podobnego - zapewniła Beatrice i zaprowadziła siostrę do saloniku, gdzie płonął ogień na kominku. Zwykle rozpalano go dopiero wieczorem, bo ani Beatrice, ani ciotka nie miały czasu przesiadywać tutaj za dnia, ale tym razem okazja była szczególna, a drewno подарowano im z Jaffrey House, sąsiedniego majątku, którego panem był bardzo bogaty i powszechnie szanowany earl Yardley.

Earl miał z drugiego małżeństwa córkę imieniem Sophia i zdaje się, że był z niej bardzo dumny. Panna była mniej więcej rówieśnicą Oliwii i odznaczała się niepospolitą urodą, najbardziej zaś zwracała uwagę kruczoczarnymi włosami i lśniącooczami. Beatrice naturalnie ją znała, choć niezbyt często spotykały się na gruncie towarzyskim.

Pan Roade rzadko podejmował gości lub składał komuś wizytę, ale rodzinę earla widywało się czasem we wsi i wtedy Beatrice zwykle zamieniała kilka słów z lady Sophią. Bardzo teraz żałowała, że ojciec odrzucał uprzejme zaproszenia earla, przysyłane co pewien czas od wielu lat. Oliwia na pewno chętnie zaprzyjaźniłaby się z Sophią Cleeve.

- Moja droga Oliwio... - Do saloniku wpadła zaferowana ciotka Nan. Włosy zakrywał jej czepek, a na suknię nałożyła fartuch. - Wybacz, proszę, że nie zdążyłam powitać cię na progu. Byłam na górze i robiłam porządki w sypialniach. Oprócz dziewczyny w kuchni

mamy tylko jedną służącą, a doprawdy byłoby nieuczciwością obciążać wszystkim biedną Lily.

Oliwia spojrzała na nią dosyć zdziwiona tym, że ciotka mogła sprzątać. Spłonęła rumieńcem, szybko jednak opanowała się i podeszła do Nan, by ucałować ją w policzek.

- Wybacz mi, proszę, ciociu - powiedziała. - Miałś przeze mnie dodatkową pracę.

- No, miałam, to prawda - odrzekła Nan, która nigdy niczego nie owijała w bawełnę. - Powiem ci jednak, że ten pokój i tak kiedyś trzeba było solidnie sprzątnąć. Należał do twojej matki i nie był...

- Nan wcale nie chciała powiedzieć, że jesteś dla nas ciężarem - wtrąciła natychmiast Beatrice, widząc intensywny rumieniec Oliwii. - Pokój, w którym zamieszkaś, był buduaem naszej mamy, a nie jej sypialnią. W sypialni mama umarła, więc wydawało mi się, że przebywanie tam mogłoby być dla ciebie nieprzyjemne.

- Właśnie to chciałam Oliwii powiedzieć - przyznała skwapliwie Nan. - Czekaliśmy na przywiezienie łóżka z Northampton, ale dostarczono je dopiero dzisiejszego ranka. Gdyby nie to, twój pokój byłby gotów od dawna.

- Zresztą był już najwyższy czas na kupno nowego łóżka - natychmiast dodała Beatrice, przesyłając ciotce ostrzegawcze spojrzenie. - To z gościnnego pokoju, który znajduje się w głębi domu i jest przygnębiająco ciemny, nie nadaje się do użytku, bo ma pękniętą ramę. Naturalnie wciąż tam stoi, bo nikt do nas nie przyjeżdża, więc nie jest potrzebne...

- Widzę, że w istocie sprawiłam olbrzymi kłopot - wtrąciła Oliwia. - Naraziłam was na poważny wydatek.

- Ależ skąd - zapewniła ją Beatrice. - Zdejmij, proszę, czepek i okrycie. Zadzwoń, żeby podano herbatę, chyba że wolisz iść prosto do swojego pokoju?

Oliwia wyglądała tak, jakby chciała uciec, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Chętnie napiję się herbaty - odparła. - Zostało mi parę gwinei z pensji, którą mój... którą lord Burton wypłacał mi w ciągu sezonu. Nie chciałam roztrwonić tego na jedzenie w zajazdach po drodze, zresztą i tak bardzo się tutaj śpieszyłam. Dam ci, Beatrice, wszystkie pieniądze, które mam, możecie przeznaczyć je na wszelkie wydatki, jakie uznacie za stosowne.

- Jeszcze zobaczymy, jak z tym będzie - powiedziała Beatrice i pociągnęła za taśmę dzwonka.

Reakcja była zadziwiająco szybka, Beatrice nabrała więc podejrzeń, że Lily podsłuchiwała pod drzwiami. Był to ze wszech miar naganny zwyczaj, ale nie na tyle, by dziewczynie groziła odprawa. Podobnie jak Bellows, Lily nie narzekała, jeśli musiała poczekać na pieniądze, chociaż na ogół Beatrice płaciła służącej osobiście i w porę.

- Prosimy o herbatę, Lily. - Zwróciła się znowu do siostry, gdy służąca wyszła: - Posiedź, kochanie, przy ogniu, a zaraz poczujesz się lepiej. Poważne rozmowy zostawimy na później. Tymczasem chciałabym, żebyś opowiedziała mi ze szczegółami, co słyhać w Londynie. ... naturalnie jeśli nie sprawi ci to przykrości. Tu do

nas żadne wiadomości nie docierają, chyba że sąsiedzi akurat wrócą z podróży.

- Naturalnie słyszeliście, że księcia ogłoszono w tym roku regentem? - spytała Oliwia.

- Tak. Papa abonuje *Timesa*. Wiem więc, że jest zastój w handlu z powodu blokady kontynentu przez Napoleona i że dużo ludzi nie może znaleźć pracy. Nie myślałam o takich wiadomościach, raczej o najświeższych plotkach, o tym, czym żyje towarzystwo.

Oliwia cicho zachichotała i wyraźnie poczuła się trochę swobodniej.

- Ach, ploteczki... cóż ci mogę powiedzieć? O, już wiem. Poza zwykłymi skandalami jest w tej chwili bardzo ekscytująca historia...

Tymczasem zdjęła wierzchnie okrycie, spod którego ukazała się suknia podróżna z zielonego aksamitu.

- W Londynie jest nowa francuska modniarka, protegowana Marie-Anne Coulanges, która kiedyś uczyła się u Rose Bertin, która, co z pewnością wiesz, była ulubioną modniarką królowej Marii Antoniny. - Dla większego efektu Oliwia zrobiła pauzę. - Mówią, że madame Coulanges była kiedyś przyjaciółką matki madame Felice i stąd ta protekcja. W każdym razie Marie-Anne Coulanges przedstawiła ją swoim klientom i madame Felice natychmiast zrobiła furorę.

- Ile lat ma ta madame Felice?

- Och, najwyżej dwadzieścia dwa. Ma bardzo ładne, jasne włosy, przeważnie schowane pod bardzo zmyślnym czepkiem, i turkusowe oczy. Gdyby ubrała się w elegancką suknię, jakie szyje dla swoich klientek, za-

pewne byłaby piękna, ale naturalnie nie wypada jej tego zrobić. Chociaż tak naprawdę nikt wiele o niej nie wie. Jest dość tajemnicza.

- To bardzo ciekawe. A powiedz mi, czy ona szyje ładne suknie?

- O, bardzo. Wszystkie, dosłownie wszystkie damy chcą mieć w swej garderobie przynajmniej jedną jej suknię, ale ona jest bardzo wybredna w doborze klientek. Aż trudno w to uwierzyć, ale podobno odmówiła markizie Rosminster, bo nie ma klasy. Madame Felice chce ubierać tylko te damy, które, jej zdaniem, będą pięknie wyglądać w tych bajecznych kreacjach. Och, te jej suknie rzeczywiście są nadzwyczajne. W przednim gatunku i tak eleganckie, że nikt nie potrafi jej dorównać. - Oliwia spuściła wzrok. - Dla mnie była bardzo miła. Nosiłam jedną z jej sukien. Miała mi też przygotować część wyprawy ślubnej... - Policzki okryły jej się pąsem. - Tę suknię mam w kufrze. Pokażę ci ją później, jeśli będziesz chciała.

- Bardzo - powiedziała Beatrice. - Jeśli jest równie zgrabnie skrojona jak ta, którą masz na sobie teraz, to musi być śliczna.

Już miała przestrzec siostrę, że w Northamptonshire nie będzie wielu okazji do noszenia takich pięknych rzeczy, ale ugryzła się w język. Lepiej było nie zwracać uwagi Oliwii na to, jak wiele straciła.

- Na inne tematy porozmawiamy później - zdecydowała. - Mamy mnóstwo spraw do omówienia, ale mamy również czas.

- Tak - przyznała Oliwia i nagle posmutniała. - Na-

turalnie w Londynie jest teraz niewiele osób z towarzystwa. O ile wiem, regent ma w końcu miesiąca wyjechać do Brighton... ojej, to już dzisiaj, prawda?

Zrobiła zaskoczoną minę, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że przestanie być częścią ekstrawaganckiej świty księcia regenta, a zarazem uprzywilejowanej części społeczeństwa. Na szczęście taca z herbatą i ciastkami, które Beatrice piekła przez całe przedpołudnie, trochę ją pocieszyła.

- Jakie pyszne - pochwaliła, wzięwszy ze srebrnego koszyczka ciasteczko z orzechem. - Chyba jeszcze nie jadłam czegoś tak dobrego.

- Beatrice osobiście je dla ciebie upiekła - wyjaśniła Nan. - To się nazywa mieszanka bosworcka, ale Beatrice dodaje sobie tylko znane składniki do przepisu, który podobno zdobyto na polu bitwy pod Bosworth w tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym roku. Stąd zresztą nazwa tych ciasteczek. Któregoś dnia twoja siostra na pewno uszczęśliwi tego fortunnego dżentelmena, który weźmie ją za żonę.

- Czy naprawdę sama je upiekłaś? - Oliwia spojrzała na nią wielkimi oczami. - Jesteś taka zręczna. Ja nigdy w życiu niczego nie przyrządziłam.

- Mogę cię nauczyć, jeśli chcesz. Poza tym jest bardzo dobry poradnik pani Rundle pod tytułem *Kuchnia domowa* - powiedziała Beatrice. - Wiem, Oliwio, że życie na wsi może początkowo wydawać się nudne, ale i ono ma swoje uroki. Rosną tu orzechowce, mamy owoce z własnego sadu, rozmaite jagody z kuchennego



ogródka, samodzielnie robimy przetwory. To bardzo zajmujący sposób spędzania czasu.

- Tak, naturalnie. - Oliwia podniosła głowę, jakby chciała pokazać, że nie jest wyższa ponad takie codzienne czynności. - Tak, jestem pewna, że wkrótce się przyzwyczaję.

ROZDZIAŁ TRZECI

Beatrice zaprowadziła siostrę do jej pokoju pół godziny później. Zaofiarowała pomoc w rozpakowaniu kufków, pewna, że Oliwia nigdy dotąd nie musiała tego robić własnymi rękami. Ponieważ propozycja została przyjęta, wkrótce na górze odbywał się pokaz mody.

- To tylko część mojej garderoby - wyjaśniła Oliwia. - Te bardziej strojne suknie zostawiłam w Londynie. Tu raczej nie będzie mi potrzebna ta, w której byłam przedstawiana regentowi w dniu debiutu, jak też większość balowych. Lady Burton obiecała mi je przysłać. - Oliwia zamrużyła powiekami, broniąc się przed łzami, które nagle zaczęły jej się cisnąć do oczu. - Ona była miłsza niż lord Burton. Powiedziała, że wybaczyłaby mi to, co zrobiłam, ale on stanowczo obstawał przy zerwaniu więzów.

- Może z czasem złagodnieje.

- Nie. - Oliwia była blada, lecz zachowała dumną pozę. - Nie chcę wrócić do ich domu. Postąpiłam słusznie i nie będę błagać o wybaczenie.

Temat się wyczerpał, zresztą Beatrice nie chciała wprawić siostry w zakłopotanie. Zaczęła więc zachwycać się wypakowywanymi sukniemi, a zwłaszcza tą

uszytą przez madame Felice, nietuzinkową francuską modniarkę, która przyjechała do Londynu przed kilkoma miesiącami.

- Jest prześliczna - powiedziała, przykładając suknię do ciała. Szmaragdowozielony jedwab znakomicie podkreślał kolor jej włosów. Beatrice nigdy nie miała tak szykownej kreacji. - Nic dziwnego, że wszystkie damy chcą zamawiać u niej suknie. Ale czy naprawdę nikt nie wie, gdzie ta madame Felice pracowała przed przyjazdem do Londynu? Czy w Paryżu?

- Wygląda na to, że zanim otworzyła salon, nikt nic o niej nie wiedział. Ludzie szepczą jednak, że jest kochanką bardzo bogatego mężczyzny.

- Och, skąd taka plotka? - Beatrice spojrzała na siostrę z zaciekawieniem.

- Mówi się, że madame Felice wniosła niemało środków w salon madame Coulanges. To wydaje się logiczne. Musiała mieć jakiegoś protektora. Jeśli nie, to skąd wzięłaby pieniądze na wejście do takiego modnego zakładu? Gdyby nie miała pieniędzy, przyjmowałaby z chęcią każde zlecenie.

- Hm, widzę, że te plotki mają racjonalne podstawy - stwierdziła Beatrice. Zmarszczyła czoło. Jej edukacja przebiegała bardzo nietypowo, toteż poglądy w tego rodzaju kwestiach miała bardzo zdecydowane. - Nie rozumiem jednak, dlaczego pieniądze koniecznie muszą pochodzić od protektora. Czy kobieta nie może odnieść sukcesu samodzielnie, bez udziału mężczyzny? Dlaczego wszyscy natychmiast zakładają najgorsze? Przecież ona mogła przysporzyć środków salonowi madame

Coulages zupełnie inaczej. Na przykład odziedziczyć majątek po bogatym krewnym albo nawet wygrać te pieniądze w karty.

- Intrygujące, prawda? - powiedziała Oliwia. - Myślę, że jej przeszłość w końcu wyjdzie na jaw i Londyn zatrzęsie się od plotek. Tymczasem madame Felice jest nieszkodliwa, więc nikt nie posądzi jej o nic gorszego niż pomoc bogatego opiekuna. Nie kontaktuje się z towarzystwem, naturalnie jeśli nie liczyć ubierania eleganckiej klienteli, i nie ma szans na małżeństwo z nikim z dobrej rodziny.

- Obawiam się, że niestety masz rację. Za bardzo rządzą nami konwencje. Jestem pewna, że z czasem usłyszymy więcej o tej sprawie. Nowiny mogą docierać do czterech wsi dość wolno, ale w swoim czasie jednak docierają.

- Do czterech wsi... - Oliwia spojrzała na nią zdziwiona. - Do jakich wsi?

Beatrice wybuchnęła śmiechem.

- Och, zwykle mówię tak o naszej okolicy. Naturalnie mam na myśli cztery wsie, które leżą po czterech stronach opactwa Steepwood, czyli Abbot Quincey, dziś już w zasadzie osadę targową, Steep Abbot, Steep Ride, no i naszą.

- Ach, opactwo. Jechaliśmy tutaj wzdłuż jego murów. Czy życie we wsiach jest bardzo uzależnione od tego, co tam się dzieje?

Beatrice znowu się roześmiała.

- Mamy swojego markiza, bardzo występnego. Mogłabym o nim opowiadać całą noc, ale powiem tylko,

że nie ręczę za żadną z tych historii, bo w zasadzie markiza nie widuję. Tylko ostatnio omal mnie nie stratował, gdy gnał dokądś na koniu.

- To okropne - orzekła Oliwia. - Jeśli jest taki nieprzyjemny, to nic dziwnego, że nie starasz się go poznać.

- Nikt właściwie nie zna markiza oprócz może earla Yardleya. Nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że obaj należeli przed laty do tej samej, dość szalonej kompanii, zanim jeszcze odziedziczyli tytuły. Rzecz jasna, to było dawno, gdy stary earl, siódmy w kolejności, wygnał syna do Francji i stracił na rzecz obecnego właściciela opactwo, którym jego rodzina władała od wielu pokoleń, dokładnie od połowy szesnastego wieku, a potem popełnił samobójstwo.

- Naprawdę? - Oliwia wydawała się bardzo zaintrygowana. - Dlaczego wypędził syna? Och, powiedz mi, Beatrice, czy z powodu romansu?

- Słyszałaś tę historię?

Oliwia pokręciła głową.

- Nie, ale chciałabym usłyszeć, jeśli jest romantyczna. Umrzeć z miłości to takie... takie...

- Głupie - dokończyła oschle Beatrice. - Usiądź pod oknem, Oliwio, a ja przycupnę tu, na stołku. Historia jest długa i trzeba ją opowiedzieć jak należy, bo inaczej pomylą ci się wszyscy earlowie i nie będziesz wiedziała, kto jest kim.

Oliwia skinęła głową. Pierwszy raz od chwili przyjazdu sprawiała takie wrażenie, jakby zapomniała o swojej przykrej sytuacji. Beatrice włożyła w opo-

wieść całe serce, żeby choć na chwilę oderwać Oliwię od smutnych rozmyślań.

- Obecny earl Yardley, ósmy, jeśli się nie mylę, nie był od urodzenia przeznaczony na dziedzica majątku. W czasie gdy zaczyna się ta historia, nazywał się po prostu Thomas Cleeve, a jego najbliższa rodzina była uważana za mało znaczącą gałąź Yardleyów. Wraz ze swoim kuzynem, poprzednim earlem (mówiłam, że to skomplikowane) należał do dość wesołego towarzystwa, którego członkiem był również lord George Ormiston, czyli - by rzecz uczynić jak najjaśniejszą - obecny występny markiz.

- Rozumiem. Markiz Sywell, właściciel opactwa - stwierdziła Oliwia. - Mów dalej.

- Lucinda Beattie, stara panna, siostra Matthew Beattie, który był naszym poprzednim proboszczem i zmarł... och, to było chyba jednaście lat temu... powiedziała naszej matce, że Thomas Cleeve jako młody człowiek przeżył miłosny zawód i wskutek tego pojechał do Indii, gdzie dorobił się majątku. To było niewątpliwie prawdą, bo wrócił jako bardzo zamożny człowiek. Wiem, że był dwukrotnie żonaty i zjawił się tutaj w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku jako wdowiec z czworgiem dzieci: czternastoletnimi bliźniakami, lady Sophią, którą na pewno poznasz, i starszym synem Marcusem. Na ziemi kupionej od kuzyna Edmunda wznosił Jaffrey House, i wtedy siódmy earl Yardley... Czy nadążasz za tym, co mówię?

- Tak, naturalnie. Co się stało z romantycznym earlem? - spytała Oliwia, niecierpliwie wyczekująca po-

czątku właściwej historii. - Dlaczego wypędził swojego syna i jak ten syn się nazywał?

- Syn nazywał się Rupert, lord Angmering, i sędzę, że to on musiał być bardzo romantyczny - podjęła Beatrice z uśmiechem. - Pojechał poznać kontynent i podczas podróży poznał młodą Francuzkę, w której zakochał się po uszy. Jesienią tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku wrócił do Anglii i powiadomił ojca, że zamierza się ożenić. Earl zakazał mu tego pod groźbą wydziedziczenia, Francuzka była bowiem katoliczką, ale Rupert wybrał miłość i dlatego został wygnany do Francji.

Oliwia słuchała tego z płonącymi oczami.

- Co się stało? Czy ożenił się ze swoją ukochaną?

- Nikt nie wie tego na pewno. Starsi wieśniacy powiadają, że z pewnością tak by postąpił, był bowiem człowiekiem honoru, inni w to powątpiewają. Niestety, nie można tego sprawdzić, ponieważ lord Angmering zginął podczas rewolucyjnych walk we Francji.

- Och, biedny człowiek... ojciec wyrzucił go z domu. .. - Oliwii zapłonęły policzki. Uświadomiła sobie, że jej historia jest pod pewnymi względami podobna. - Ale powiedziałaś, że jego ojciec popełnił samobójstwo?

- Z tego, co wiem, po wyjeździe syna earl omal nie umarł z żalu, a gdy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku dotarło do niego potwierdzenie wiadomości o śmierci Ruperta, pojechał do miasta, upił się prawie do nieprzytomności i przegrał w karty do przyjaciela, markiza Sywell, wszystko, co posiadał. Potem

zażądał pistoletów do pojedynku i zanim ktokolwiek zorientował się, co zamierza, strzelił sobie w głowę w obecności markiza i jego kamerdynera, zresztą tego samego, który służy u Sywella obecnie.

- Źle się kończy ta historia, ale jest w niej doza sprawiedliwości, nie sądzisz? - powiedziała Oliwia. - Earl czuł się winny śmierci syna, więc wyzbył się wszystkiego, co było dla niego drogim...

- Tobie może się to wydawać romantyczne - odparła wzburzona Beatrice - ale dla mieszkańców czterech wsi oznacza to konieczność znoszenia rządów występnego markiza. A jak wieść niesie, w swoim czasie żadna kobieta nie mogła się przy nim czuć bezpiecznie. Oskarżano go o najstraszliwsze czyny... nawet o udział w pogańskich rytuałach, podczas których podobno razem z przyjaciółmi uganiał się nagi po lesie. Niektórzy twierdzą też, że mężczyźni nosili zwierzęce maski i ściągali kobiety, naturalnie zupełnie innego rodzaju niż te, z którymi chciałybyśmy utrzymywać znajomość.

- Coś podobnego! Chyba ze mnie żartujesz?! - Widząc, że siostra pokręciła głową, Oliwia roześmiała się zachwycona. - To brzmi makabrycznie, zupełnie jak wątek z tych popularnych powieści, które wszyscy oficjalnie wyśmiewają, a po cichu czytają, żeby się bać.

- Kłania się droga pani Radcliffe. - Beatrice uśmiechnęła się. - Lubię *Tajemnice zamku Udolpho*. Bardzo dobrze się bawię, czytając jej historie. Naturalnie masz rację w tym, co mówisz, Oliwio, ale jeśli musisz mie-

szkać w pobliżu człowieka o takiej reputacji, wydaje się to znacznie mniej zabawne.

Oliwia skinęła głową.

- Przypuszczam, że to rzeczywiście jest krępujące. Powiedz mi jeszcze, czy obecny earl odziedziczył tytuł po tym, który wypędził syna i popełnił samobójstwo?

- Tak. Po śmierci starego earla i jego syna, lorda Angmeringa, nie pozostał na świecie nikt z głównej linii... no, w każdym razie jeśli nawet Rupert pozostawił dziedzica, to nikt o nim do dzisiaj nie słyszał. - Beatrice pokręciła głową. - Ja jestem prawie pewna, że nie miał dziecka. Poszukiwania, które prowadzono, były niewątpliwie bardzo dokładne, a nie odnaleziono ani świadectwa małżeństwa, ani stosownego wpisu w księdze urodzeń. Gdyby było inaczej, tytuł nie przeszedłby na Thomasa Cleeve'a. Nie, nie, wszystko odbyło się ponad wszelką wątpliwość zgodnie z angielskim prawem.

Oliwia skinęła głową.

- Zresztą nawet gdyby lord Angmering jakimś zrządzeniem losu miał syna, co pozostałoby chłopcu do odziedziczenia, skoro jego dziadek przegrał wszystko w karty?

- Nic materialnego. Możesz jednak być pewna, że gdyby żył dziedzic, ujawniłby się już dawno, by zażądać tytułu i wszystkiego, co jeszcze mogłoby ewentualnie należeć do jego rodziny.

- Pewnie tak. - Oliwia niechętnie rozstała się z romantyczną wizją i uśmiechnęła się do siostry. - To była

naprawdę pasjonująca opowieść. Chciałabym, żeby ktoś kiedyś przyszedł do wsi i oświadczył, że jest synem lorda Angmeringa, a ty?

Beatrice serdecznie się roześmiała.

- Nie powinnam była ci tego opowiadać. Chciałabyś, żeby tu coś się wydarzyło, a ja zapewniam cię, że tutaj nie dzieje się nic. Muszę cię rozczarować, siostrze. Myślę, że earl Yardley może czuć się niezagrożony. A ponieważ sam zdobył swój majątek, nie musi niczego udowadniać.

- To prawda. - Oliwia wstała i podeszła do Beatrice, by ją objąć. - Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historię. I że tak życzliwie mnie przyjął.

- Jesteś moją siostrą. Zawsze cię kochałam. Nie chciałam, żebyś była skazana na życie w takich warunkach, ale cieszę się, że znowu jesteś z nami. - Beatrice spojrzała na nią w skupieniu. - Nie żałujesz decyzji zerwania zaręczyn z Ravensdenem?

- Żałuję, że pozwoliłam się skłonić do tego, by przyjąć jego oświadczenia - odrzekła Oliwia - ale decyzji o zerwaniu nie żałuję.

- Co on na to?

- Nic. Ja... napisałam do niego. - Policzki okryły jej się rumieńcem. - Nie mogłam powiedzieć mu tego osobiście. Byłam zła jak osa.

- Co spowodowało zmianę twojej decyzji?

- Raczej kto. Pewna dość złośliwa i zawistna panna, którą do niedawna uważałam za przyjaciółkę. Powiedziała mi, że Ravensden żeni się ze mną wyłącznie po to, by spełnić życzenie lorda Burtona, a mnie pilnie po-

trzebuję jako klacz zarodową, która da mu dziedzica. Ravensden pierwszą młodość ma już za sobą, bez wątpienia wyobrażał sobie, że z wdzięcznością przyjmę jego oświadczenia.

- To niemożliwe, żeby był taki nieczuły! - Beatrice nie posiadała się z oburzenia. - Najdroższa siostrzo, moim zdaniem miałaś szczęście, że w porę zdążyłaś uciec. Gdybyś nie dowiedziała się przed ślubem o jego gruboskórności, byłabyś skazana na bytowanie u boku tego brutala przez całe życie.

Oliwia ujęła jej dłoń.

- A więc rozumiesz, co czuję! - zawołała z entuzjazmem. - Bałam się, że uznasz to za mój kaprys. Kiedy dowiedziałam się, co zrobił, doszłam do wniosku, że nie mogę go pokochać. Zrozumiałam, że zaślepił mnie swoim urokiem i komplementami.

- Urokiem? - Beatrice zmarszczyła czoło. To zupełnie nie pasowało do obrazu bestii, stworzonego przez nią na własny użytek. - Czyżby był aż tak czarujący?

- Owszem. Ludzie z towarzystwa są tego zdania, ale według mnie jego poczucie humoru jest dość nieprzyjemne. Naturalnie prawie wszyscy mu schlebiają, bo jest bogaty, a sam regent uważa go za wyjątkowo dowcipnego człowieka.

- Odnoszę wrażenie, że jest bardzo zapatrzony w siebie - orzekła Beatrice, która nie spotkała Ravensdena nigdy w życiu. - Już wszystko rozumiem. Byłaś królową sezonu i protegowaną Burtona. A on chciał zdobyć majątek...

- Większość tego majątku i tak przejdzie na jego

własność. - Oliwia zmarszczyła czoło. - Właśnie to wydaje mi się wyjątkowo okrutne. On nie musiał nagiąć się do życzenia kuzyna. Po co mi się oświadczył, jeśli nie obchodzę go w najmniejszym stopniu?

Beatrice przekonała się, że siostra nie traktuje Ravensdena tak obojętnie, jakby chciała. Wszystko jedno, czy bardziej ucierpiało jej serce, czy duma, bo ból i tak był wielki.

- Jeszcze o tym porozmawiamy - zapewniła ją. - Tymczasem nie trap się, kochanie. Nie musisz już spotykać się z Ravensdenem, więc możesz o nim zapomnieć. Jedno jest pewne: on nie odważy się przyjechać tutaj za tobą.

Beatrice spędziła niespokojną noc, śniąc o wydziedziczonych synach, pogańskich orgiach i - nie wiadomo dlaczego! - mężczyźnie gotowanym w oleju. Rankiem zbudziła się zmęczona i niepewna. Należało jej się to zresztą za powtarzanie plotek o markizie w taki sposób, by były atrakcyjne dla siostry, która wyraźnie miała romantyczne skłonności.

Gdyby Oliwia była inna, może przystałaby na bezpieczne małżeństwo, które oferował jej lord Ravensden, ale własnej natury nie da się oszukać. Zresztą Beatrice nie mogła odmówić siostrze słuszności decyzji.

- Żebym tylko mogła dostać tę kreaturę w swoje ręce - mruknęła.

Och, powinien zapłacić za swój postępek, słono zapłacić!

Oliwia była zdecydowana przystosować się do nowe-

go życia i tymczasem poczyniła sobie bardzo dzielnie, lecz mimo to znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Należało poczynić starania, by w nadchodzących miesiącach nieustannie podnosić ją na duchu.

O tym wszystkim rozmyślała Beatrice, opuszczając dom rankiem, dzień po powrocie siostry. Wokoło unosiła się mgła. Pamiętając o chłodzie, Beatrice otuliła się szarą peleryną, która dawno przestała być nowa.

Postanowiła zejść na plebanię i zaprosić wielebnego Edwarda Hartwella z żoną na obiad w następnym tygodniu. Zamierzała również wysłać liścik do Ghislaine, żeby przyjechała, jeśli może. Tylko takie rozrywki mogła zapewnić Oliwii, choć naturalnie siostra była przyzwyczajona do znacznie większego urozmaicenia... Z zadumy wyrwał ją tętent kopyt.

Przystanąwszy, stwierdziła, że swobodnym cwałem zbliża się do niej jeździec. To nie był ten sam człowiek, który tydzień temu omal jej nie stratował, gnając na złamanie karku, lecz obcy. Nigdy nie widziała tego dżentelmena ani w Abbot Giles, ani w innej z czterech wsi.

Z jego wyglądu należało wnosić, że nadaża za modą, choć był ubrany w zwykły strój jeździecki. Gdy podjechał bliżej, przekonała się, że jest dość atrakcyjny, nawet przystojny, i zwraca uwagę rysami twarzy. Miał prosty nos i szlachetny owal twarzy, w siodle trzymał się idealnie prosto, toteż ani przez chwilę nie było wątpliwości, że jest człowiekiem szlachetnie urodzonym.

Jeździec zatrzymał się przed nią, zamiótł kapeluszem, a przy okazji odsłonił włosy: gęste, lśniące i czarne jak skrzydło kruka. Były krótko przystrzyżone i za-

czesane do przodu z wystudiowaną niedbałością. Nieznajomy wyglądał tak, jakby zjechał prosto z kart poematu Waltera Scotta: nobliwy przedstawiciel wiekowego rodu.

- Dzień dobry pani - powiedział, przesyłając jej uśmiech tyleż ujmujący, co onieśmielający. - Zastanawiałem się, czy mogę poprosić o pomoc w odnalezieniu właściwego kierunku. Zgubiłem drogę we mgle.

- Naturalnie, jeśli tylko będę umiała pomóc. - Beatrice spojrzała mu w oczy. Ich błękit ją zahipnotyzował. Wielkie nieba! Co za niezwykły mężczyzna. - Czy szuka pan jakiegoś konkretnego miejsca?

- Nazwy domu nie znam - odrzekł. - Pragnę odnaleźć rodzinę Roade'ów z Abbot Giles, a przede wszystkim pannę Oliwię Roade Burton.

Po plecach Beatrice przebiegł zimny dreszcz. To chyba niemożliwe? Była absolutnie pewna, że lord Ravensden nie odważy się tutaj przyjechać. Któż inny mógłby to jednak być? Mężczyzna był przystojny, miał czarujący uśmiech... Teraz, gdy spojrzała na niego jak należy, dostrzegła też, że jest arogancki, pewny siebie i dumny. Krótko mówiąc, człowiek godzien wzgardy. Bardzo się zdziwiła, że nie zauważyła tego od razu.

Po co do nich przyjechał? Beatrice miała w głowie gonitwę myśli. Jeśli naprawdę spotkała niedoszętego męża Oliwii, to nie wolno było dopuścić do tego, by zniebaczka pojawił się w ich domu.

- Ach, tak - powiedziała. - Znam tę rodzinę, ale obawiam się, że jedzie pan w niewłaściwym kierunku.

- Czy to nie jest wieś Abbot Giles?

- Czyżby Ben znowu obrócił słup milowy? Doprawdy jest z tym nieznośny! - powiedziała stanowczo Beatrice. - Ciągłe to robi, biedaczysko. Wszystko dlatego, że kiedyś mocno uderzył się w głowę, ale przyjezdnym sprawia tym kłopot.

- Niech mi pani łaskawie zdradzi - podjął obcy z dziwnym błyskiem w niesamowicie błękitnych oczach. - W jaki sposób ten biedny Ben tak mocno się uderzył.

- Długo by opowiadać - wykręciła się Beatrice. Wskazała otwartą bramę opactwa. - Jeśli pojedzie pan tą wąską drogą, minie zalew, a potem przy walącej się kaplicy skręci w prawo, wkrótce znajdzie się pan we wsi.

- To wydaje się dość skomplikowane...

- Tędy droga jest najkrótsza, inaczej nadłoży pan kilka mil.

- Rozumiem. Wobec tego skorzystam ze wskazówek. Dziękuję pani.

Przez chwilę badawczo jej się przyglądał, a potem ruszył we wskazanym kierunku. Beatrice poczekała, aż jeźdźca pochłonie mgła, potem obróciła się na pięcie i pobiegła prosto do domu.

Wizyta u wielbnego Hartwella mogła poczekać. Należało natychmiast zaalarmować Oliwię, że jej niegodziwy narzeczony przyjechał na poszukiwania!

Siostrę zastała przy śniadaniu. Kilka konkretnych pytań utwierdziło ją w podejrzeniach. Niemożliwe, żeby dwóch różnych ludzi miało tak niesamowicie błękitne oczy!

- Obawiam się, że lord Ravensden przyjechał cię odszukać - powiedziała zdumionej Oliwii. - Wysłałam go w drugą stronę, ale niedługo na pewno zorientuje się, dokąd trzeba jechać.

- Nie przyjmę go!

- Nie bardzo wiem, jak mogłabyś odmówić - włączyła się do rozmowy Nan, spoglądając surowo na obie siostry. - Beatrice, postąpiłaś nad wyraz nagannie, wskazując jego lordowskiej mości zły kierunek. Jeśli przejechał taki szmat drogi, żeby zobaczyć się z twoją siostrą, to znaczy, że ma nadzieję na załagodzenie nieporozumienia. - Zatrzymała wzrok na podekscytowanej Oliwii. - Czy jesteś pewna, że jadowity język rywalki nie wyprowadził cię w pole? Czy nie jest możliwe, że twój narzeczony jednak darzy cię szacunkiem?

Po chwili milczenia Oliwia powiedziała:

- Nie sędzę, żeby mogło tak być, ciciu. A nawet gdyby było... Wiem już, że omyliłam się w uczuciach. Nie mogę go poślubić.

- Dla przyzwoitości powinnaś przynajmniej go przyjąć.

Oliwia spojrzała na siostrę.

- Czy muszę, Beatrice?

- Wydaje mi się, że Nan ma rację - odparła po namyśle Beatrice. - Wiem, że sytuacja jest dla ciebie niezręczna, ale kilka minut powinno wystarczyć... zresztą Nan przez cały czas będzie przy tym obecna.

- A ciebie nie będzie?

- Lepiej, jeśli lord Ravensden mnie tu nie spotka - odrzekła z lekkim poczuciem winy. Narzeczony Oliwii

musiał naprawdę się śpieszyć, żeby tak szybko dotrzeć do Abbot Giles, a ona celowo wydłużyła mu drogę. - Bądź dzielna, moja droga. Zachowaj się godnie i stanowczo, to nigdy więcej nie będziesz musiała z nim rozmawiać.

- Dokąd idziesz? - spytała Oliwia, gdy Beatrice odwróciła się do drzwi.

- Dokończyć spaceru - odrzekła. - Naprawdę nie byłoby dobrze, gdyby twój gość mnie tu zastał.

Roześmiała się i szybko wyszła z domu. Lord Ravensden na pewno zirytował się, zresztą nie bez podstaw, gdy przekonał się, że padł ofiarą niecnego żartu. Należało więc dopilnować, by przynajmniej nie dowiedział się, że kobieta, która wysłała go Bóg wie gdzie, jest siostrą poszukiwanej przez niego panny.

- O co jej właściwie chodziło? - rzekł pod nosem lord Ravensden. - Ciekawe, czy instynkt mnie nie zawodzi, czy całkiem zamuliła mnie ta mgła?

Harry miał dziwaczne przeczucie, że kobieta, którą spotkał przed kilkoma minutami, celowo wysłała go nie tam, gdzie trzeba. Jej historyjka brzmiała prawdopodobnie, lecz mimo to trudno mu było uwierzyć w wiejskiego głupka, który ma zwyczaj obracania słupów milowych, żeby drogowskaz pokazywał niewłaściwy kierunek. Słup milowy jest diabelnie ciężki! Dlaczego jednak młoda kobieta, sprawiająca wrażenie całkiem zdrowej na umyśle, miałaby go oszukać?

Wcześniej zapytał o drogę mężczyznę, którego przy najlepszych chęciach można było nazwać jedynie głą-

bem. Zaczął obszernie coś tłumaczyć w zupełnie niezrozumiałym języku, aż Harry'emu przyszło do głowy, czy przypadkiem nocą nie przekroczył kanału i nie znalazł się na kontynencie. Naturalnie pomoc tubylca zdała się na nic. Potem bardzo długo nie widział niczego, co mogłoby uchodzić za znak orientacyjny, i już miał cofnąć się do chaty, którą właśnie minął, gdy natknął się na tę młodą kobietę.

Odniosł wrażenie, że jest szlachetnego rodu. Może była nieco zbyt skromnie ubrana, ale mimo to robiła dobre wrażenie. Uznał ją za żonę zbiedniałego ziemianina albo miejscowego księdza, bo szła, zdaje się, w stronę kościoła, który nieco wcześniej minął. Głos miała ciepły, miły dla ucha, i mówiła jak osoba wykształcona. Skorzystał z jej wskazówki, ponieważ nie potrafił znaleźć powodu, dla którego miałyby wprowadzić go w błąd.

Jakieś dziesięć minut później doszedł do wniosku, że należało jednak zaufać instynktowi i udać się prosto. W tej przekłętej mgle trudno było w czymkolwiek się zorientować. Zdaje się, że jechał raczej ścieżką niż drogą, i to przez czyjąś posiadłość, w mlecznym oparze majaczył bowiem ciemny kształt, zapewne opactwa wzniesionego pośrodku, między czterema wsiami. Właśnie rozważał, czy nie warto byłoby zawrócić, gdy znowu zobaczył człowieka.

Dzentelmen, to nie ulegało wątpliwości, był niedbale ubrany w wytartą, czarną pelerynę, która łopotiała na wietrze. Włosy miał przerzedzone na skroniach, mimo niesprzyjającej pogody nie nosił kapelusza, a na czubku nosa sterczały mu okulary w złotej oprawce.

- Dzień dobry panu - zawołał Harry. - Czy mogę zająć chwilę pańskiego czasu?

- Och, naturalnie - odrzekł Bertram Roade. - Nieczęsto zaglądamy do naszej wioski obcy. Czy pan przez przypadek nie zgubił drogi? Goście, którzy z rzadka tu bywają, zazwyczaj myślą cztery okoliczne wioski. Której z nich pan szuka?

- Abbot Giles. I rodziny Roade'ów. Jestem lord Ravensden, narzeczony panny Oliwii Roade Burton. Chciałbym ją odnaleźć.

- Och, to doprawdy szczęśliwe zrządzenie losu, że się spotkaliśmy. - Pan Roade promiennie się do niego uśmiechnął. Wiedział, że Beatrice wspominała mu coś o narzeczonym siostry, ale szczegółów nie zdołał przywołać. Mniejsza o to, sytuacja wydawała się całkiem jasna. - Rozumiem, że przyjechał pan w gościnę. Oliwia z pewnością będzie zachwycona. Nie wiem jeszcze, gdzie pana zakwaterujemy, ale Beatrice coś wymyśli. Jest bardzo zaradna.

- Beatrice? - Harry szybko dochodził do wniosku, że w tej okolicy mieszkają sami ludzie niespełna rozumu. - To znaczy...?

- Och, naturalnie. Przecież się nie znamy. Proszę mi wybaczyć to wielkie niedopatrzenie z mojej strony. - Pan Roade wyciągnął rękę do lorda Ravensdena, który musiał mocno schylić się w siodle, by dosięgnąć jej z końskiego grzbietu. - Bertram Roade. Oliwia jest moją młodszą córką...

- A Beatrice zapewne starszą? - W jego oczach zabłysło zrozumienie. - Wszystko jasne, Beatrice! - Har-

ry nie był tępy i natychmiast pojał, dlaczego został wysłany w przeciwnym kierunku.

Zsiadł z konia i ruszył z panem Roade'em, który posuwał się naprzód bardzo dziarskim krokiem.

- Czy nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że niezwłocznie po przyjeździe do domu przekażę pana pod opiekę damom? - spytał pan Roade. - Bo, pojmuję pan, z samego rana wpadłem na wspianiały pomysł. Często rozjaśnia mi się w głowie, kiedy zaraz po przebudzeniu wyjdę na spacer... to widocznie kwestia powietrza. A teraz muszę jak najszybciej wziąć się do pracy. Jeśli nie zanotuję pomysłu natychmiast, to potem mi ucieka. Tego zaś bardzo nie lubię.

- Ależ naturalnie. - Harry zrozumiał w tej chwili niejedno. - Może zechce mi pan opowiedzieć o tym pomysle? Jeśli będziemy o nim wiedzieć obaj, na pewno nie ucieknie.

- Znakomicie! Wpadła na to Beatrice, ale tym razem była w błędzie. Och, ona bardzo mi pomaga, ma wyjątkowo błyskotliwy umysł. Powiedziała, żeby przepuścić parę rurami, ale to wodę trzeba przepuścić. Beatrice się omyliła. Pewnie miała głowę zaprzątniętą gośćmi. Kobiety przejmują się takimi sprawami, prawda? A my nie jesteśmy przyzwyczajeni do podejmowania gości. Moja wina, naturalnie. Sprawy trochę wymknęły mi się z rąk, odkąd zmarła moja żona. Kochałem ją, bardzo ją kochałem.

- Rozumiem - powiedział Harry, widząc głęboki smutek malujący się w łagodnych oczach starszego pana. - Opowiadał mi pan o swoim pomysle...

- Tak, tak. - Pan Roade szybko się rozchmurzył. - Miło będzie znowu mieć gościa w domu. Zwłaszcza rozsądnego. Zamierza pan poślubić Beatrice, prawda?

- Oliwię, za pozwoleniem - odrzekł Harry z błyskiem w oczach. Na twarzy wykwitł mu żartobliwy uśmiech. - Chyba że pan woli, bym poślubił starszą pannę Roade.

- Nie, nie, już sobie przypomniałem, że chodzi o Oliwię. Ale wspomni pan moje słowa, Beatrice będzie wspaniałą żoną, znakomicie umie gospodarować. Ja się na tym nie wyznaję. Kłopot tylko taki, że nie wiem, czy znajdę kogoś, kto mi ją zastąpi. Za dobrze się mną opiekuje i do tego jest bardzo zajmującą towarzyszką.

- Musi pan pilnować, żeby kandydat na męża był bogaty jak Midas - podsunął z niewinną miną Harry. Doskonale się bawił. Prawdę mówiąc, nie przypominał sobie, kiedy ostatnio było mu tak wesoło. Czy naprawdę spodziewał się nudy w Northamptonshire? Tymczasem zupełnie mu to nie groziło.

- Co też pan mówi? Po co? - Pan Roade nagle przybrał nieufny wyraz twarzy.

- Wtedy pański zięć będzie miał dostatecznie duży dom, by wziąć pod swój dach oprócz żony również każdego innego domownika, którego panna Roade będzie potrzebowała do szczęścia.

Starszy pan nagle jakby coś zrozumiał.

- Potrzebuję kogoś, kto umożliwiłby mi sprawdzenie mojego pomysłu na ogrzewanie grawitacyjne - wyznał.

- Ogrzewanie grawitacyjne? - Harry uniósł brwi. -

To wspaniałe zamierzenie! Owszem, widzę taką możliwość. Mogłoby być bardzo przydatne w starych domach... gdyby chciało działać.

Ojciec Beatrice się rozpromienił.

- Właśnie. Życie byłoby wtedy znacznie wygodniejsze. Naturalnie problemem stałoby się z kolei przegrzanie, ale i z tyra dałbym sobie w końcu radę. Pan, jak wnoszę, nie ma starego domu, po którym hula wiatr?

Harry zaśmiał się cicho.

- Mój drogi panie Roade - powiedział - tak się składa, że mam ich stanowczo za dużo.

Beatrice pożegnała się z przyjaciółmi i wyruszyła w powrotną drogę do domu. Przez ostatnią godzinę popijała kordiał różany pani Hartwell i omawiała najświeższe wiejskie plotki.

Pani Hartwell powiedziała, że jej męża niepokoją opowieści o światłach, które znowu widziano w lesie Giles.

- Edwarda draży niepokój, że tam dzieje się coś niedobrego. Mam nadzieję, że nie poczuje się w obowiązku osobiście to zbadać.

- Lepiej nie - zgodziła się z nią Beatrice. - To mogłoby być niebezpieczne.

- Próbowałam mu to wytłumaczyć, ale on uważa, że zwracanie uwagi na takie sprawy należy do jego obowiązków wobec parafian.

- Musi bardzo się tym trapić.

W tej chwili wszedł do salonu wielebny Hartwell we własnej osobie. Bardzo się ucieszył na widok Beatrice,

która jego zdaniem wiodła przykładny żywot niezamężnej panny w zaawansowanym wieku. Ponieważ miała już dwadzieścia trzy lata, należało się spodziewać, że poświęci swoje życie ojcu. W podobnych okolicznościach nie tylko wypadało tak postąpić, lecz był to nawet jej obowiązek. Wielebny powiedział kilka miłych słów pod adresem Oliwii i przyjął zaproszenie na obiad - obiecał przyjść z żoną w następnym czwartek. Obiecał również posłać służącego z listem do panny de Champlain i przygotować dla niej nocleg na plebanii, żeby nie musiała wracać po zmroku do Steep Abbot.

- Nie zaznałbym spokoju, gdyby taka młoda panna musiała przechodzić wieczorem w pobliżu opactwa, panno Roade. Aż strach pomyśleć, co mogłoby się stać kobiecie, która by lekkomyślnie szła tamtędy sama.

Beatrice przyznała mu rację, bardzo zadowolona, że wielebny nie wie o jej przygodzie sprzed niewielu dni. Wkrótce opuściła Hartwellów i wyruszyła do domu znajdującego się na obrzeżach wsi.

Mgła tymczasem się podniosła. Beatrice pomyślała, że lord Ravensden z pewnością dawno już znalazł właściwą drogę, porozmawiał z Oliwią, pogodził się z odmową jak wzorowy dżentelmen i odjechał. Prawdopodobnie zbliżał się teraz do Northampton.

Weszła do domu od kuchni i zawołała ciotkę. Nan nie było jednak na jej zwykłym miejscu przy stole. Beatrice i Nan same gotowały dla całego domu, dziewczyna do pomocy, Ida, tylko przygotowywała warzywa. I to właśnie Ida siedziała przy ogniu, grzejąc sobie stopy, na których zimą zawsze miała odmrożenia. Przy

okazji obierała ziemniaki do baraniej potrawy na obiad. Ponieważ Beatrice wybrała najtańszego barana, starego i żyłastego, więc trzeba było długo trzymać mięso nad wolnym ogniem, żeby skruszało.

- Czy widziałaś moją ciotkę, Ido?

Dziewczyna zmarszczyła czoło i popadła w zadumę, wreszcie jednak coś sobie przypomniała.

- Nie, panno Beatrice, pani ciotka wyszła bardzo wzburzona prawie godzinę temu. Przyjechał taki jaśnie pan...

Beatrice skinęła głową. Ich nieproszony gość jednak znalazł drogę do celu, co nieco uspokoiło jej sumienie. Była pewna, że rozmowa niedawnych narzeczonych już się odbyła i lord Ravensden odjechał.

- Gdzie jest pani Willow?

- Chyba poszła na górę, proszę pani. I Lily też.

- A moja siostra?

- Jest u siebie w pokoju. Zamknęła się i powiedziała, że nigdy stamtąd nie wyjdzie.

- To dość dramatyczna decyzja. - Beatrice dyskretnie się uśmiechnęła. Nie spodziewała się takiego poruszenia w domu. - Pójdę poszukać ciotki, bo chcę wiedzieć, co się dzieje.

W wersję wydarzeń przedstawioną przez Idę nie należało wierzyć, dziewczyna nieraz bowiem mieszała fakty. Nikt inny ze wsi by jej nie zatrudnił, tu jednak pracowała za niewiele więcej niż utrzymanie, a przydawała się do brudnych prac w kuchni. Poza tym Beatrice pożałowała jej, gdy Ida przyszła zapytać o pracę chuda jak patyk, który może w każdej chwili przełamać się na

pół. Teraz wyglądała już zupełnie inaczej, gdyż Beatrice karmiła służbę tym samym, co dawała rodzinie.

Postanowiła najpierw zajrzeć do salonu, nie widziała bowiem powodu, dla którego Nan i Lily miałyby zajmować się porządkowaniem sypialni.

- Wróciłam... - Słowa zamarły jej na ustach, gdy tylko otworzyła drzwi. Zobaczyła wątyły, świeżo rozpalony ogień, który na razie ledwie lizał polana. Przed kominkiem przykląkł mężczyzna i miechem próbował podsycić płomienie. - Wielkie nieba...

Nieznajomy odwrócił się, a gdy zorientował się, kto wszedł, zmrużył powieki.

- Panna Roade, jak sądzę - odezwał się. - Proszę mi powiedzieć, czy mrożenie gości na śmierć należy w Abbot Giles do zwyczajów? Z tego przeklętego drewna jest tylko dym, w ogóle nie chce się rozpaścić.

- Zaraz się zajmie - odparła Beatrice - ale kominki w salonie i w mojej sypialni zawsze kopcą, kiedy jest wiatr z niedobrej strony. Papa zamierza rozwiązać ten problem jakimś wynalazkiem, ale na razie nie pozostaje nam nic innego, jak to znosić. - Skrzywiła się, zdziwiona tym, co powiedziała. - W każdym razie pan nie musi tego znosić. Nawet dziwię się, że jeszcze nie wyruszył pan w powrotną drogę do Londynu. W tym domu nie ma pan przecież czego szukać i chyba wie pan o tym?

- Prawdę mówiąc, nie - odrzekł Harry, którego wyjątkowo opuścił dobry nastrój. Był zmęczony i zmarznięty, a nikt nie zaproponował mu nawet herbaty. Jego narzeczona zamknęła się w sypialni i nie chciała go widzieć, a on umierał z głodu. - Pan Roade uprzejmie za-

oferował mi tutaj gościnę i mam zamiar z niej skorzystać, przynajmniej do czasu, aż Oliwia zgodzi się ze mną porozmawiać. Nie po to przejechałem taki szmat drogi, żeby wracać jak pies z podkulonym ogonem.

- Gdyby pan nie skompromitował mojej siostry, nie musiałby pan przyjeżdżać. A co do opuszczenia tego domu, lordzie Ravensden, byłoby najlepiej, gdyby pan niezwłocznie to zrobił. O ile wiem, moja siostra nie ma najmniejszego zamiaru z panem rozmawiać. W Northampton może pan znaleźć przyzwoity zajazd, gdzie kominek nie kopci.

- Już raz pani próbowała się mnie pozbyć. Czy miałaś nadzieję, że całkowicie stracę orientację i zamarznię na śmierć na jakimś pustkowiu? A może po prostu liczyła pani na to, że zmęczone błędzeniem i zawrócę?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - zełgała Beatrice. - Gdyby trzymał się pan kierunku, który wskazałam, i skręcił w prawo przy kaplicy, ścieżka wróciłaby do drogi, którą pan początkowo jechał, i tyle.

- W końcu pewnie tak by się stało, ale tylko pod warunkiem, że wcześniej nie zamarzyłbym na śmierć. - Kichnął, jakby chciał dowieść, że taka ewentualność była bardzo prawdopodobna. - Ktoś mógłby mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby zaproponować mi kieliszek wina.

- Czyżby nikt tego nie zrobił? - Beatrice poczuła, jak się rumieni. Zazwyczaj była bardzo gościnna i dzieliła się z gośćmi wszystkim, czym mogła. - Zaraz zajmę się tym osobiście. Nie mamy wielkiego wyboru, ale sherry ojca jest znośne.

- Dziękuję - odrzekł Harry. Panna wyglądała młodziej, niż wydało mu się przy pierwszym spotkaniu, a jej policzki pałały uroczym rumieńcem. Mimo burej sukni cechowała się naturalną elegancją i na swój sposób była atrakcyjna. - Och, do licha, panno Roade, czy musimy drzeć koty? Powstała bardzo niezręczna sytuacja i powinniśmy znaleźć sposób, żeby ją załagodzić.

- Jest pan winien przeprosiny mojej siostrze!

- Słusznie, panno Roade. Przeprosiłbym ją, gdyby tylko zechciała opuścić swoją sypialnię. A potem moglibyśmy wyjaśnić to zamieszanie.

- Powinien był pan niezwłocznie zwrócić się do lorda Burtona, wyznać, że wina leży całkowicie po pańskiej stronie i poprosić go o wybaczenie Oliwii.

- Nie było mnie w Londynie. Natychmiast po powrocie złożyłem wizytę lordowi Burtonowi. Ale ten głupiec jest uparty jak muł. Oświadczył, że może jej wybaczyć tylko wtedy, gdy ona mnie poślubi.

- Ojej... - Beatrice znalazła się w kropce. Lord Ravensden zdawał się mówić rozsądnie i wiedzieć, że sam zawinił, niewątpliwie jednak było to odgrywane na jej użytek. Przypomniała sobie jednak, co usłyszała o tym człowieku Oliwia. - Ty szubrawcze! Jak mogłeś być tak nieroztropny, by publicznie oświadczyć, że moja siostra może być jedynie kłaczą zarodową?

- No nie! - oburzył się Harry. - Nie pozwolę się oskarżać o tak grubiańskie słowa. Mogłem wspomnieć przyjacielowi, że nie zawieram małżeństwa z miłości... ale reszta to zwykłe kłamstwo.

- I pan oczekuje, że w to uwierzę? - Spojrzała na niego wyzywająco, prowokując następne usprawiedliwienie.

- Moja droga panno Roade - zirytował się Harry. - Nic mnie nie obchodzi, czemu w tej chwili daje pani wiarę. Najpierw omal nie zamarzęłem na śmierć, a potem zostawiono mnie samopas w tym zimnym salonie, gdzie nikt nie pali w kominku i nie podaje niczego do picia ani jedzenia. Zamierzałem błagać Oliwię, żeby przemyślała swoją decyzję, ale teraz sam nie wiem, czy postanowiłem rozsądnie. W jej rodzinie wszyscy muszą być niespełna rozumu, bo jeśli nie, to znaczy, że wypilem za dużo marnego wina i wkrótce zbudzę się z gigantycznym bólem głowy.

Beatrice wbiła w niego wzrok. Gdyby próbował wkraść się w jej łaski, uznałaby go za szalbierza. Teraz czuła się rozdarta, nie wiedziała bowiem, czy wybuchnąć słusznym gniewem, czy raczej śmiechem.

- Zaiste potraktowano pana niegrzecznie - przyznała łagodniej. - Zapewniam, że nie pił pan marnego wina, przynajmniej o ile wiem, mojego ojca stać bowiem na tak niewiele trunków, że kupuje wyłącznie najlepsze. Poza tym skoro pana niczym nie poczęstowano, nie miał pan okazji się upić. Co zaś do stanu umysłu domowników, to... hm, w tej sprawie musi pan wyrobić sobie pogląd samodzielnie. Zaraz pójdę po sherry, chleb i ser. Obawiam się, że do obiadu nie mogę panu zaproponować niczego więcej, chyba że woli pan migdały w cukrze i wino malinowe mojej ciotki. - Dostrzegła u niego na twarzy wyraz obrzydzenia, więc nie wytry-

mała i jednak parsknęła śmiechem. - Proszę usiąść, lordzie Ravensden. Nie pozwolę, żeby pan głodował.

Gdy opuszczała pokój, patrzył za nią. W kuchni znalazła chleb świeżo upieczony przez Nan, smaczny miejscowy ser, pikle i nieźłe sherry. Ojcu nie mogło zabraknąć sherry. Inne braki w domu się zdarzały, na ten nigdy nie pozwoliła. Ponadto mieli w piwnicy kilka skrzynek dobrego stołowego wina, kupionego w lepszych czasach, a podawanego przy rzadkich okazjach, gdy przychodzili goście na obiad. Dla lorda Ravensdena nie zamierzała jednak otwierać butelki. O, nie! Niech napije się sherry, zagryzie chlebem i serem, a potem zabiera się z powrotem do Londynu, bo tam jest jego miejsce.

- O, jesteś - powiedziała Nan ze schodów, gdy Beatrice wracała z tacą. - Wielkie nieba, powinnam była się o to sama zatroszczyć. Na śmierć zapomniałam. Wszystko dlatego, że poszłam na górę do twojej siostry, w dodatku na próżno.

- Zanieś to proszę do salonu. - Beatrice z ulgą podała jej tacę. - Ogień już chyba się rozpałił i lord Ravensden będzie mógł spokojnie coś zjeść. Ja tymczasem sprawdzę, czy nie będę miała więcej szczęścia od ciebie.

- Oliwia mówi, że nie wyjdzie z sypialni, póki on nie odjedzie.

- A on mówi, że nie odjedzie, dopóki jej nie zobaczy.

Nan pokręciła głową, zdziwiona takim przejawem upora, ale spełniła życzenie bratanicy, która tymczasem

szybko pobiegła na górę i zapukała do drzwi pokoju siostry.

- Oliwio, kochanie, wpuść mnie, proszę.
- Czy on sobie pojechał?
- Posiła się w salonie. Chce cię przeprosić.
- Ale ja nie chcę go słuchać. Powiedz mu, żeby od-

jechał.

- On nie odjedzie, póki się z tobą nie rozmówi. Nigdy nie widziałam tak upartego człowieka. Wcale się nie dziwię, że nie chcesz go poślubić. Co więcej, wydawałabyś mi się bardzo nierozsądna, gdybyś tego chciała...

Rozległ się trudny do nazwania odgłos, po czym Oliwia otworzyła drzwi. Była blada, twarz miała stężałą, ale nie płakała. Spojrzała na siostrę z kwaśną miną.

- Lord Ravensden dał papie do zrozumienia, że projekt naszego małżeństwa wciąż jest aktualny. Papa zaprosił go w gościnę... więc on tu zostanie. Wiem, że zostanie. Wierz mi, Beatrice, nie tak łatwo będzie się go stąd pozbyć. Ten człowiek ma wyjątkowo przewrotne poczucie humoru. Wydaje się rozbawiony całą tą sytuacją, a w każdym razie śmiał się, gdy papa przyprowadził go do domu.

- Kiedy opuszczałam salon, wcale nie było mu do śmiechu. Nie martw się, Oliwio. Nie sądzę, żeby zamierzał długo u nas zabawić. Taki człowiek jak on... och, będzie mu u nas niewygodnie.

- Przypuszczalnie masz rację. - Oliwii jej własna sypialnia również wydawała się mało przytulna, bo i tu nikt nie rozpałił ognia na kominku. - Czy naprawdę muszę z nim porozmawiać, Beatrice?

- Sądzę, że powinnaś przynajmniej go wysłuchać. Moim zdaniem on naprawdę zamierza cię przeprosić i błagać, żebyś jeszcze przemyślała swoją decyzję.

- Nie chcę go poślubić.

- Nie chciałaby tego żadna rozsądna kobieta - przyznała Beatrice - chociaż zdaje się, że on nie powiedział aż tyle, ile ci powtórzono. W każdym razie nie masz się czego obawiać. Jeśli po wysłuchaniu jego wyjaśnień nadal nie będziesz chciała go poślubić, zyskasz moje pełne poparcie. Pozwolę mu dziś przemocować, jeśli będzie nalegał, ale jutro wyprawię go do Londynu.

- I nie będziesz mnie zmuszać do tego małżeństwa?

- Czy lord Burton próbował cię zmusić? - Oliwia skinęła głową, a Beatrice poczuła gniew na jej przybranego ojca, który zachował się doprawdy głupio. - To było bardzo niewłaściwe. Ja w każdym razie niczego podobnego nie planuję. Umyj twarz i trochę się ogarnij. Zrobisz to samo i razem wejdziemy do jaskini lwa. Im szybciej przywołamy go do porządku, tym prędzej wyjedzie.

- Dobrze. - Oliwia wydawała się lekko zawstydzona. - Bardzo mnie wzburzyło, kiedy zobaczyłam, jak papa z nim wraca i obaj się śmieją. Zdawało mi się, że stroją sobie ze mnie żarty, chociaż prawdopodobnie rozmawiali o czymś zupełnie innym.

- Na pewno tak było. Papa nie śmiałby się z ciebie, najdroższa... i sądzę, że to dotyczy również lorda Ravensdena, mimo że jest wyjątkowo prowokującym osobnikiem.

Beatrice uśmiechnęła się i poszła doprowadzić się do porządku.

Tymczasem Harry namówił panią Willow, żeby posiedziała z nim w salonie i napiła się sherry.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała Nan, gdy lord Ravensden rzucił się na jadło z niezwykłym apetytem.

- Powinam była poczęstować pana winem i czymś do jedzenia, ale tak zdumiało mnie głupie zachowanie Oliwii, że zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Proszę nie czuć się winną - odparł Harry. - To ja powinienem był zatrzymać się na śniadanie w zajeździe, ale chciałem jak najszybciej dotrzeć do celu. Cały problem zasadza się na przykrym nieporozumieniu.

- Byłam pewna, że tak jest. - Nan uśmiechnęła się do niego. - Przypuszczam, że całe zło jest dziełem złośliwego języka.

- Niejednego - przyznał Harry. - Naturalnie wina leży po mojej stronie. Gdybym był w Londynie wtedy, kiedy zaczynały krążyć plotki, na pewno sprawa nie nabrałaby takiego rozgłosu.

- Wiedziałam, że Oliwia musiała fałszywie ocenić sytuację. - Nan spojrzała na niego aprobująco. Jej zdaniem lord Ravensden był ujmującym człowiekiem, a jego rychły przyjazd z przeprosinami stawiał go w jak najlepszym świetle. Oliwia wykazałaby całkowity brak rozsądku, gdyby odrzuciła propozycję pojednania. - Jestem pewna, że po rozmowie z panem moja bratanica nabierze rozumu... - urwała, bo z sieni dobiegły ją głosy obu siostr. - Przepraszam, muszę wracać do swoich obowiązków.

Wstała i opuściła pokój, minawszy na progu zbliżając się z przeciwka Beatrice i Oliwię.

Harry natychmiast zerwał się z krzesła. Oliwia była blada i wydawała się zdenerwowana. Bardzo dobrze wiedział, że ma swój udział w tym stanie rzeczy. Co za drań z tego Burtona, że tak ją potraktował!

- Proszę mi wybaczyć, panno Oliwio - rozpoczął bez ociągania. - Zaskoczyłem panią swoim nagłym przyjazdem, ale zaraz po powrocie do Londynu dowiedziałem się, co zaszło podczas mojej nieobecności, i doszedłem do wniosku, że muszę niezwłocznie panią odnaleźć.

- Byłam... bardzo wzburzona - powiedziała Oliwia, dumnie unosząc głowę - ale nie powinnam była uciekać. Bardzo ładnie pan postąpił, przyjeżdżając, naprawdę jednak niepotrzebnie zadał pan sobie tyle trudu. Moja decyzja jest ostateczna. Obawiam się, że na próżno pokonał pan taki szmat drogi.

Harry zerknął na Beatrice, która podeszła do ognia i bardzo energicznie przesuwiała polana pogrzebaczem.

- Czy przynajmniej pozwoli mi pani wystąpić z przeprosinami? Moje słowa były przejawem braku przezorności, ale pani powtórzono kłamstwa. Powiedziałem tylko, że nie zawieramy małżeństwa z miłości. Resztę dodali inni.

- To chyba wystarczy. - Oliwia wyzywająco spojrzała mu w oczy. - Gdyby nie dał mi pan do zrozumienia, że darzy mnie uczuciem...

- Och, niewątpliwie darzę... - Beatrice w dalszym

ciągu wymachiwała pogrzebaczem, a Harry'emu przemknęło przez myśl, że pewnie najchętniej potraktowałyby go tak samo jak polana w kominku. - Mam dla pani wiele szacunku, panno Oliwio. Nie wierzę w romantyczną miłość, ale myślę, że moglibyśmy być całkiem szczęśliwi. Nie zmieniłem zdania. Szczerze chcę wyjaśnić nieporozumienie, które nas poróżniło.

Za jego plecami rozległ się głośny trzask, a potem syk. Płomienie wreszcie strzeliły wysoko, a po pokoju rozeszło się ciepło.

- No, teraz jest dużo lepiej - oświadczyła zadowolona Beatrice. Wstała, otrzepała ręce z sadzy i wytarła je w spódnicę. - Myślę, że powinnaś przyjąć przeprosiny lorda Ravensdena, Oliwio. Wtedy nasz gość będzie mógł w spokoju ducha wrócić do Londynu.

- Tak, naturalnie. - Oliwia uśmiechnęła się. Naprawdę miała mnóstwo wdzięku, gdy na twarzy wykwiłał jej uśmiech. - Wierzę, że pańskie słowa zostały przeinaczone, ale nie czyni to żadnej różnicy...

Podszedł do niej i chciał ją ująć za ręce, ale odsunęła się i schowała dłonie za plecami.

- Może przynajmniej spróbuje mi pani przebaczyć - poprosił Harry. - Od lorda Burtona wiem, że nie zmieni swego postępowania, dopóki się nie pobierzemy... A ja nie chciałem pani skrzywdzić, Oliwio.

- Ale tak czy owak wyrządził jej pan krzywdę - stwierdziła Beatrice, gdy milczenie Oliwii się przedłużało. - Moja siostra jest teraz zanadto poruszona, by móc jasno myśleć. Proszę więc, by zostawił ją pan w spokoju. Przedstawiłeś swoje racje, daj jej czas do za-

stanowienia. Gdyby Oliwia zmieniła zdanie, zawsze może do pana napisać.

- Nie - powiedziała z determinacją Oliwia. - Nie będę pana oszukiwać. Przekonałam się, że nie pasujemy do siebie. Uległam złudzeniu co do swoich uczuć. Czas tego nie zmieni. Moja odpowiedź zawsze będzie taka sama.

- Przynajmniej proszę mi pozwolić... - Harry kichnął trzykrotnie raz po raz. - Do diabła! Proszę mi wybaczyć, ale mam wrażenie, że się przeziębiam. - Zmierzył Beatrice gniewnym spojrzeniem. - To na pewno wina tej przekłętej mgły. Przemarżłem do szpiku kości przez tę wilgoć.

Beatrice wytrzymała jego wzrok.

- Zagrzeję panu mleka z miodem i może pan ruszyć w drogę powrotną. Jeśli wyjedzie pan niezwłocznie, to zdąży przed nocą do domu.

- Ruszyć w drogę? Nie ma mowy - rozległ się głos pana Roade'a, który właśnie wszedł do pokoju. - Beatrice, co ty wygadujesz? Ravensden przyjechał z wizytą do mnie. Osobiście go zaprosiłem. - Zwrócił się do gościa: - Właśnie chciałem pana zobaczyć, Ravensden. Zacząłem szkicować ten projekt, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Proszę zrobić mi tę uprzejmość i wyrazić swoje zdanie na jego temat.

- Naturalnie, będzie mi bardzo miło. - Harry skłonił się przed wzburzoną Beatrice. - Serdecznie przepraszam obie panie. - Gdy wychodził z salonu, na wargach igrał mu uśmiezek.

Oliwia spojrzała na siostrę bardzo zirytowana.

- Sama widzisz, że on nie wyjedzie. Będzie tu tkwił i proponował mi małżeństwo dopóty, dopóki nie odpowiem „tak”.

- Czy tak samo postępował poprzednio?

- Owszem, chociaż zawsze mówił to w żartach i właściwie nie wiedziałam, czy należy traktować go poważnie. Pewnie sądził, że będę mu odmawiać. Zdziwił się, gdy w końcu przyjąłem jego oświadczenia.

- Czyżby? - Beatrice zmarszczyła czoło. - To mi do niego nie pasuje. On wydaje się szczerze żałować tego nieporozumienia. Czy nie sądzisz, że mogłabyś jeszcze się zastanowić...

- Beatrice, proszę, nie próbuj wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Obiecałaś tego nie robić.

- I nie będę, jeśli jesteś pewna słuszności swojego wyboru. Możesz nie mieć więcej okazji do zawarcia tak korzystnego małżeństwa. Jeśli zamieszkas z nami na stałe, możesz nawet w ogóle nigdy nie wyjść za mąż.

Oliwia dumnie się wyprostowała.

- Nie chcę zawierać małżeństwa bez miłości. Wolę już zostać guwernantką!

Beatrice ukryła uśmiech. Szansa, że Oliwia znajdzie taką posadę, była nikła. Niewiele kobiet chciałoby mieć pod swoim dachem tak urodziwą pannę, wszystko jedno w jakim charakterze.

- Przypuszczam, że do tego nie dojdzie - powiedziała i wyjrzała przez okno. - Zdaje się, że znowu nadciąga mgła. Nie możemy wypędzić lorda Ravensdena, póki pogoda się nie poprawi, a do rana nie ma co na to liczyć.

Oliwia również popatrzyła w okno i przybrała kwaśną minę.

- Miejmy nadzieję, że rano mgła się podniesie. Może Ravensden tymczasem zrozumie, że jego sytuacja jest beznadziejna, i jednak odjedzie.

- Jestem pewna, że jedna noc spędzona w naszym gościnnym pokoju skłoni go do rychłego wyjazdu - orzekła Beatrice z zagadkowym uśmiechem. - Chyba już ci wspominałam, że łóżko ma pękniętą ramę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przewracając się na bok, Harry odniósł przykre wrażenie, że materac ustępuje pod jego ciężarem. Zupełnie jakby był przełamany w połowie. Jeszcze nigdy w życiu Harry nie leżał na takim łożu tortur. Jeśli była to następna szykana ze strony panny Roade, mająca na celu skłonienie go do wyjazdu... Jęknął żałośnie. Przeszkadzało mu nie tylko łóżko. Bolały go nogi i ręce. Nachodziły go na przemian fale zimna i gorąca, kręciło mu się w głowie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się tak bardzo chory.

- Oszalałem... Musiałem kompletnie oszaleć, żeby przyjechać w takie miejsce...

Mimo gorączki pamiętał jednak o tym, co wcześniej zobaczył. Rodzina Roade'ów niewątpliwie żyła bardzo skromnie, dlatego sumienie nie pozwoliłoby mu zostawić Oliwii na łasce losu. Jakoś musiał ją przekonać do małżeństwa, a jeśli nie... Kłopot był poważny, tym bardziej że obie siostry Roade były aż nadto dumne.

Sam jednak wywołał zamieszanie, więc musiał teraz załagodzić sytuację. Nie miał pojęcia, dlaczego oskarżycielskie spojrzenie panny Roade aż tak bardzo go poruszyło, ale nie potrafił go zapomnieć.

- Idź sobie, kobieto - mruknął nieprzytomnie. - Daj mi spokój, dobrze?

Musiał coś wymyślić, żeby Oliwia i jej rodzina nie cierpiały przez jego niefrasobliwość. Gdyby tylko ten pokój przestał wirować... Znowu jęknął, bo mimo usilnych starań nie mógł znaleźć wygodnej pozycji do odpoczynku.

Był chory i potrzebował pomocy. Spróbował wstać, ale zawroty głowy mu na to nie pozwoliły. Bezwładnie opadł na poduszki i kolejny raz jęknął.

Beatrice, mająca sypialnię za ścianą, usłyszała jęki i groźnie zmarszczyła czoło. Doprawdy nie było powodu do takich demonstracji. Łóżko mogło wydawać się trochę niewygodne, ale lord Ravensden sam był sobie winien. Gdyby nie jego lekkomyślność... Chociaż każdy może niebacznie powiedzieć coś niewłaściwego, pomyślała nagle.

Nie potrzebowała wiele czasu, by zorientować się, że lord Ravensden wcale nie jest potworem, jakiego wyobraziła sobie, czytając list siostry. Owszem, wykazał brak zdolności przewidywania i pewną dozę okrucieństwa, ale może niecelowo. W każdym razie wierzyła w szczerą przeprosin i chęć zadośćuczynienia.

Oliwia wydawała się zdecydowanie odrzucać myśl o małżeństwie z Ravensdenem, ale minęło zaledwie kilka dni, odkąd lord Burton wyrzucił ją z domu. Co będzie, gdy zatęskni za przyjaciółkami i balami, na które chadzała z taką radością? Do tej pory starała się robić zuchowate miny, Beatrice podejrzewała jednak, że

w samotności Oliwia musi popłakiwać. Jak mogłoby być inaczej?

Usłyszawszy następne jęki, przykryła głowę poduszką. Ten człowiek jest nieznośny! Czyżby w ogóle nie liczył się z innymi? W ich ciasnym domu sypialnie przylegały jedna do drugiej, obawiała się więc, że nie zmruży oka przez całą noc. Pozostawała jej tylko nadzieja, że krótki pobyt w pokoju gościnnym wystarczy, by z samego rana lord Ravensden wyruszył w powrotną drogę do Londynu.

- Och, Beatrice - zaczęła Nan od progu, nie zważając na to, że dziewczyna jeszcze nie zdążyła na dobre się obudzić. - Bardzo cię przepraszam, kochanie, za to najście, ale wydaje mi się, że powinniśmy posłać po doktora Pettifera. Lily weszła rano do pokoju lorda Ravensdena zabrać termofor i mówi, że on majaczy, jakby mu się w głowie pomieszało. Natychmiast poszłam sprawdzić to osobiście i, niestety, Lily nie przesadza. Biedak ma wysoką gorączkę.

- Gorączkę...? Chcesz powiedzieć, że jest chory? - Beatrice ogarnęły wyrzuty sumienia. Jeśli ich gość zachorował, to bez wątpienia z jej winy. To ona pokazała mu złą drogę we mgle, a potem zostawiła go w lodowatym salonie... w dodatku pokój gościnny był nieużywany od wielu lat! Naturalnie Lily napaliła w kominku i włożyła termofor do łóżka, ale nawet nie można było porządnie przewietrzyć pokoju ani pościeli. - Już idę.

Włożyła szlafrok, wybiegła na korytarz i bez pukania weszła do sąsiedniej sypialni. Jedno spojrzenie na rozpa-

loną twarz lorda Ravensdena wystarczyło, by się przekonała, że Nan ma rację. Ich gość rzeczywiście był chory. Bardzo chory, sądząc po tym, jak rzucił się w pościeli. Podeszła do niego i położyła mu rękę na czole.

- Ty biedaku - powiedziała, przekonawszy się, że czoło jest gorące i wilgotne. - Co ze mnie za bezduszna jędza, że pozwoliłam ci tak cierpieć? - Spojrzała zawstydzona na Nan. - Słyszałam w nocy jego jęki, ale myślałam, że to z powodu łóżka. Musisz natychmiast posłać Bellowsa po doktora Pettifera.

- Naturalnie.

Nan szybko znikła. Beatrice przyjrzała się choremu. W tych okolicznościach nie było mowy o wyjeździe lorda Ravensdena w ciągu najbliższych kilku dni. A na niej spoczywał obowiązek doglądania go, póki nie wyzdrowieje.

- Ty prowokatorze - powiedziała żartobliwym, choć surowym tonem, jakiego używała wobec chorego papy. - Gdybym nie wiedziała, dlaczego zaniemogłeś, pomyślałabym, że zrobiłeś to celowo.

- Nie płacz, mamó - wymamrotał Harry, rzucając głową na poduszce. - Biednej Lilibet już nie ma, ale jeszcze ja ci zostałem. A ona poszła do nieba, do aniołków... czemu nie ja, tylko ten mały aniołek... - Przeszył go dreszcz. Harry zacisnął dłoń na ramieniu Beatrice. - To powinienem być ja. Do diabła! Słyszysz?

Miał przywidzenia. Beatrice odgarnęła mu włosy z czoła. Było bardzo rozpalone.

- Naturalnie, że cię słyszę, ty głupcze! Skoro jesteś pewien, to rzeczywiście powinieneś być ty - powie-

działał uspokajającym tonem, zastanawiając się, kim była Lilibet. - Odpocznij teraz, bo inaczej sam pójdziesz do aniołków.

Słyszając jej surowy ton, chory jakby się odprężył.

- Dobrze, kochana Merry. Zawsze robię tak, jak mi każesz...

Wciąż majaczył i zdawało mu się, że jest gdzie indziej. Beatrice poszła po miskę zimnej wody. Potem zwilżyła szmatkę i zaczęła ocierać mu twarz, szyję i kark. Gdy odchyliła prześcieradło, przekonała się, że ich gość nie włożył koszuli nocnej. Zapewne był całkiem nagi. Wstrząśnięta tym odkryciem przykryła go z powrotem. Co teraz robić? Nigdy w życiu nie znalazła się tuż koło nagiego mężczyzny.

Jak to możliwe, że jest sam na sam z lordem Ravensdenem w jego sypialni? Chyba oszalała! Nie powinna być tutaj... ale jeśli nie, to kto nim się zajmie? Na Lily nie można było polegać w tej sprawie, a ciotka miała zbyt wiele obowiązków na głowie. Trudno. Wszak nie wolno odwrócić się plecami do gościa w potrzebie, zwłaszcza że czuła się częściowo odpowiedzialna za jego chorobę. Zresztą chwilowo lord Ravensden był zupełnie bezsilny i z pewnością nie musiała się go obawiać.

- Czy wiesz, ile mi sprawiasz kłopotów, ty nicponiu? Pewnie nic a nic cię nie obchodzi, że moja reputacja będzie zszargana, jeśli ktokolwiek o tym usłyszy. - Beatrice zachichotała i nagle uświadomiła sobie, że w zasadzie nie ma to znaczenia. Właściwie nigdy nie brała udziału w życiu towarzyskim, a poza tym nie

chciała wyjść za mąż, w każdym razie na pewno nie chciała poślubić nikogo, kto się jej oświadczył. - Nie masz, człowieku, innego wyjścia, jak zdrowieć. Nie zgodzę się, by skompromitował mnie mężczyzna, który poddaje się bez walki. Słyszysz mnie? Spróbuj tylko umrzeć, a nie zaznasz spokoju w grobie, to ci przyrzekam.

- Co robisz? - Oliwia stanęła w drzwiach ubrana w szlafrok. Ostrożnie weszła do środka. - Czy on naprawdę zachorował? Nie udaje, żeby mógł dłużej zostać?

- Obawiam się, że zachorował, i to bardzo poważnie - odrzekła Beatrice. - Wczoraj wieczorem myślałam, że po prostu robi przedstawienie. Jak pamiętasz, przy obiedzie kilka razy kichnął. Byłam w błędzie. On ma gorączkę i w najbliższym czasie na pewno od nas nie wyjedzie.

- On wcale nie jest aż taki okropny. Podobał mi się zdecydowanie bardziej niż poprzedni kandydaci do mojej ręki i właśnie dlatego w końcu przyjął jego oświadczenia. Liczyłam, że w przyszłości może nawet go pokocham, ale teraz już wiem, że nie stałoby się to nigdy. Brakuje mu wrażliwości i duchowej głębi. Wszystko wydaje mu się zabawne, a ja nie zawsze rozumiem, co go bawi, i to mnie irytuje. Naturalnie nie chciałabym, żeby umarł. - Nagle Oliwia wyraźnie się zaniepokoiła. - Czy sądzisz, że to moja wina? Umiera, bo złamałam mu serce, zrywając zaręczyny.

- Szczerze w to wątpię. Dostał gorączki, bo się przeziębził. W pokoju jest zimno i wilgotno. Powinno być odstąpić mu swoje łóżko i przenocować z tobą. Zresztą kiedy przyjdzie doktor, spytam go, czy można przenieść

chorego do mojego pokoju. Tam będzie mu znacznie wygodniej.

- Nie przeziębiliby się, gdyby nie przyjechał tu za mną w takim pośpiechu. - Oliwia wydawała się skruszona. - Powinnam była z serca mu wybaczyć i zaproponować przyjaźń. Tak zresztą zrobię, jeśli tylko wyzdrowieje.

- Kiedy wyzdrowieje - poprawiła ją Beatrice. - Nie pozwolę mu umrzeć w domu papy. Co powiedzieliby ludzie? A teraz idź stąd, Oliwio. Nie wypada ci przebywać w jego sypialni.

Oliwia roześmiała się.

- Za późno, żeby martwić się o moją reputację. Naturalnie w opiece nad chorym niewiele mogę pomóc. Nigdy w życiu nie zrobiłam niczego użytecznego.

- Wobec tego możesz zacząć od zaraz. - Beatrice uśmiechnęła się do siostry. - Poproś Lily, żeby pomogła ci zmienić pościel na moim łóżku. Musi być świeża i czysta, przygotowana dla chorego, którego Bellows tam przeniesie po wyjściu doktora Pettifera.

Odprowadziła wzrokiem Oliwię do drzwi, a potem znów odwróciła się do Ravensdena. Wciąż był rozpalony i rzucał się po całym łóżku.

- Ty biedaku - powiedziała znacznie łagodniej niż przedtem. - Muszę coś wymyślić, żeby chociaż trochę ci ulżyć...

- Tak mi przykro, Lillibet - Beatrice raptownie drgnęła, ochrypli głos Ravensdena wyrwał ją z drzemki na krześle przy kominku. - Nie chciałem cię zabić...

Beatrice poczuła zimny dreszcz na plecach. Czym zawinił ten człowiek, że tak dręczą go wspomnienia?

Podeszła do łóżka. Znowu miał wyższą gorączkę. Ogarnął ją lęk. Co zrobić, żeby go ratować? Nie mogła stać z założonymi rękami i czekać, aż Ravensden umrze. Coś w niej głośno przeciwko temu protestowało.

Wcześniej, gdy obmywała mu twarz i szyję, wydawał się nieco przytomniejszy, ale teraz gorączka wróciła z dawną siłą, znów szarpały nim konwulsje i w każdej chwili mógł zrzucić z siebie okrywającą go lekką kołdrę.

Podczas przenosin do drugiej sypialni Bellows ubrał go w nocną koszulę, ale po godzinie była już mokra od potu i trzeba było ją zdjąć. Również pościel już kilka razy wymagała zmiany, więc Nan miała mnóstwo pracy.

- Ty żałosny biedaku - mruknęła Beatrice, przejęta głębokim współczuciem dla chorego. Poszła po miskę i znowu zaczęła obmywać mu twarz. - Czy tak lepiej, mój drogi?

- Tak, Merry. Gorąco mi... gorąco...

Zerknęła ku drzwiom. Był środek nocy. Nie należało się nikogo spodziewać o tej porze, ale na wszelki wypadek... Podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz, po czym znów stanęła nad łóżkiem chorego.

- Co tam - zdecydowała się. - Już i tak nic mi nie zaszkodzi.

Zsunęła kołdrę z nagiego ciała lorda Ravensdena. Przez chwilę wpatrywała się w niego z uwagą, mimo woli

zafascynowana harmonijną budową. Ten człowiek niewątpliwie bardzo dbał o utrzymanie sprawności fizycznej.

Złapawszy się na tych rozważaniach niegodnych damy, spłonęła rumieńcem. Zamoczyła szmatkę w zimnej wodzie, po czym zaczęła zwilżać mężczyźnie ramiona i klatkę piersiową.

- Jeśli ośmielisz się obudzić i zobaczysz, co robię, to umrę z zażenowania - powiedziała surowo. - Doprawdy jesteś wyjątkowo uciążliwym człowiekiem! Nie mam pojęcia, dlaczego z twojego powodu ryzykuję dobre imię. Wolę nawet nie myśleć, co powiedziałyby wielbny Hartwell...

Beatrice wsunęła ramię pod plecy chorego i lekko go uniosła, by ułatwić przełykanie. Przycisnęła mu łyżkę do warg. Mimo że gorączka jeszcze nie całkiem ustąpiła, stan lorda Ravensdena niezaprzeczalnie się poprawił. Wciąż jednak chory nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje, ani z tego, kto się nim opiekuje.

- Otwórz usta, ty wstrętny uparciuchu - poleciła Beatrice. - Nie wyobrażaj sobie, że mogę zmarnować cały dzień. Czekają na mnie ważniejsze sprawy. Muszę zrobić pikle i pocerować prześcieradła. Jeśli wyobrażasz sobie, że jesteś ważniejszy, to grubo się mylisz. Papa byłby bardzo zawiedziony, gdyby nie było pikli na Boże Narodzenie.

- Zrzędliva jędza...

W chwili gdy wargi Ravensdena się poruszyły, Beatrice wsunęła mu łyżkę do ust i gorzkie lekarstwo spły-

nęto do gardła. Wydał taki odgłos, jakby się dławił. Beatrice skosztowała kroplę mikstury. Lek był gorzki, ale zapewne zbawienny dla zdrowia.

- Dobrze ci tak - powiedziała. - Następnym razem najpierw pomyślisz, zanim się odezwiesz. Zresztą gdybyś odezwał się w porę, w ogóle nie doszłoby do tej sytuacji.

Położyła mu dłoń na czole. Było znacznie chłodniejsze niż jeszcze niedawno. Ravensden leżał bezsilnie już trzeci dzień, a przez ten czas Beatrice go nie odstępowała. Nawet spała na krześle przy kominku, żeby być w pobliżu, w razie gdyby chory zaczął krzyczeć. Nie była pewna, czy świadomość mu wraca, zwykle jednak reagował na jej połajanki.

Nan czyniła jej wyrzuty z powodu spędzania tylu godzin sam na sam z mężczyzną i wielokrotnie ją ostrzegała, co mogliby pomyśleć inni, gdyby wyszło to na jaw, ale Beatrice nic sobie z tego nie robiła. Naturalnie ciotka miała rację, ale dla niej ważniejsze było życie lorda Ravensdena.

- Nikt oprócz nas nie będzie tego wiedział - uspokajała ciotkę. - Poza tym on musi mieć odpowiednią opiekę. Doktor Pettifer powiedział, że pacjent może umrzeć.

Ta perspektywa tak przerażała Beatrice, że poświęciła choremu całą swoją uwagę. Wszystko, co należało, robiła przy nim sama.

Teraz znowu ocierała mu czoło. W tajemnicy przed wszystkimi trzy razy umyła nawet całe jego ciało. Był rozpalony, a zimna woda zdawała się przynosić mu ul-

gę. Poza tym smarowała mu plecy maścią, która powinna koić ból.

Wiele młodych panien uważałoby zapewne, że takie zadanie je przerasta, ale Beatrice pokonała tę przeszkodę, przez cały czas bowiem wyobrażała sobie, jak bardzo musi cierpieć jej pacjent.

Obmyła i osuszyła mu barki, ramiona, szyję i twarz. Nigdy nie przypuszczała, że mężczyzna może być taki piękny. Skórę okrywającą twarde mięśnie miał jak atlas, na nogach, klatce piersiowej i wokół pępka pokrywały ją delikatne włosy. Przekręciła go na brzuch i wymasowała mu plecy, silne i tak samo gładkie jak reszta ciała.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tego wszystkiego pamiętał - odezwała się, zmieniając mu pościel na świeżą. - A jeśli nawet będziesz, to wszystkiego się wyprę. Powiem, że to była Nan albo że to sobie wyobraziłeś.

- Tak, Merry - szepnął. - Dobrze... dziękuję. Śpij już.

Kim była kobieta imieniem Merry? W malignie zwracał się tak do niej kilkakrotnie. Może jego kochanką? Ravensden z pewnością miał kochankę. Nieżonaty, trzydziestokilkuletni mężczyzna potrzebował kobiety.

A co ją to obchodzi? Beatrice zmarszczyła czoło, zdumiona tokiem swoich myśli. Zachowywała się niezrozumiale. Przecież nie miało to dla niej znaczenia, nawet gdyby ten człowiek utrzymywał tuzin kochanek... Naturalnie jeśli nie brać pod uwagę jego narzeczeństwa z Oliwią.

Dni spędzone na pielęgnacji chorego sprawiły, że Ravensden stał się dla niej kimś bliskim, o tym jednak

musiała szybko zapomnieć. Taki mężczyzna by się dla niej nie nadawał. Stanowczo nie, nawet gdyby nie był zaręczony z Oliwią, a przecież był, a w każdym razie mógł być, gdyby Oliwia przyjęła przeprosiny. Zresztą rzadko spotykało się tak irytującego i upartego osobnika. Właściwie szkoda było się poświęcać dla kogoś takiego.

Wiedziała jednak, że sama się oszukuje. Od początku traktowała tego człowieka niesprawiedliwie. A przecież przyjechał do Oliwii niemal natychmiast i próbował ją przeprosić. To w dużym stopniu zdejmowało z niego brzemień winy.

Słyszała też, jak mówi Oliwii, że darzy ją szacunkiem. Wiele kobiet nie miało nawet tego. Wciąż chciał się z nią ożenić. Może nie byłoby to małżeństwo z miłości, ale obu stronom przyniosłoby zadowolenie.

W pierwszym odruchu Oliwia oburzyła się na jego niefrasobliwość i nie ma czemu się dziwić, ale przez ostatnie trzy dni zachowywała się przykładowie i naprawdę interesowała się losem byłego narzeczonego. Przyносиła na górę jedzenie i starała się wypełniać obowiązki, które Beatrice zaniedbała z powodu opieki nad chorym.

Czy to możliwe, że zaczynała się wahać i stopniowo wracała do myśli o małżeństwie? Nie należałoby się temu dziwić. Z pewnością rozumiała, że byłaby szczęśliwsza jako żona Ravensdena niż jako mieszkanka domu, w którym nigdy nie ma dość pieniędzy na zaspokojenie codziennych potrzeb, by nie wspominać o luksusach, do jakich ją przyzwyczajono.

Każda rozsądna kobieta powinna to rozumieć, a Oliwia mimo romantycznych skłonności bez wątpienia miała swój rozum.

Lord Ravensden był upartym, irytującym człowiekiem, ale nie potworem. Gdyby dać mu szansę, mógłby nawet okazać się całkiem troskliwym mężem.

Beatrice jeszcze raz spojrzała na swojego pacjenta. Spał spokojnie. Najgorsze minęło. Teraz potrzebował tylko czasu, by odzyskać siły. Naturalnie nie było mowy o wymówieniu mu gościny, póki nie będzie mógł ruszyć w drogę.

W końcu gorączka ustąpiła, lord Ravensden mógł więc bezpiecznie odpoczywać. Beatrice bardzo jednak nie chciała, by dowiedział się, ile sił włożyła w opiekę nad nim przez ostatnie dni.

Postanowiła zakończyć czuwanie i wrócić do pokoju, który od niedawna dzieliła z siostrą. Zdecydowała, że z rana Lily przyniesie choremu porcję pożywnego bulionu.

Cichy odgłos sprawił, że Harry otworzył oczy i spojrzał w stronę kominka. Służąca dokładała polan do ognia. Bardzo się zirytował, że go zbudziła. Do diabła! Przecież dopiero świta. Co ta dziewczka robi w jego pokoju? Beckett, jego osobisty służący, zawsze był niezwykle sprawny i bardzo uważał, żeby go nie zbudzić po długiej nocy, a sądząc po bólu pulsującym mu w skroniach, ostatnia noc musiała być wyjątkowo długa! Nie pamiętał, by kiedykolwiek miał z rana taki zamęt w głowie. Ciekawe, co pił?

Zamknął oczy, żeby uciszyć ból, ale znowu podniósł powieki, poczuł bowiem, że służąca się nad nim pochyła.

- Gdzie jest Beckett? - spytał ze złością. Czy ta dziewczka nie została odpowiednio wyszkolona? Przecież w ogóle nie powinna wchodzić do jego pokoju. Jak gospodyni może na to pozwalać? -I co ty tutaj robisz, do diabła?

- Pani powiedziała, że mam rozpalić ogień, a potem przynieść panu bulionu, jeśli pan się zbudzi.

- Pani? - W jego domu nie było żadnej pani! Gdzie on jest, u licha? Harry wyteżył umysł. Poprzedniego wieczoru musiał wypić końską dawkę alkoholu. Wielki Boże! To nie był jego pokój. Nigdy przedtem tego miejsca nie widział. Spróbował usiąść, ale nie udało mu się i z jękiem opadł na poduszki. - Do pioruna, jestem słaby jak kocię.

- Jest pan chory. Od trzech dni.

- Chory, powiadasz? - Harry spojrział na nią oszołomiony. - Chory, do diabła?

Spróbował zebrać myśli. Przed oczami przesuwały mu się nieostre obrazy. Zdawało mu się jednak, że coś sobie przypomina. Miękkie dłonie obmywające jego ciało, kojące dotkliwy ból w plecach... strofujący głos, surowy, lecz niepozbawiony życzliwości. Nie, głos nie był nieżyczliwy, wydawał się brzmieć nawet figlarnie, jakby jego właścicielka chciała go skłonić do walki z chorobą, celowo prowokowała, próbowała zmusić do reakcji. To musiała być Merry Dawlish. Nie znał żadnej innej kobiety, która zdobyłaby się wobec niego na taką poufałość.

- Poproś lady Dawlish - polecił dziewczynie. - Ze-
chciej ją spytać, czy może tutaj niezwłocznie przyjść.

Dziewczyna wytrzeszczyła na niego oczy tak, jakby
powiedział coś dziwnego. Ciekawe dlaczego. Merry
nie miała przecież zwyczaju zatrudniać służby ociążalej
umysłowo.

- Kogo, sir?

- Och, naturalnie twoją panią. - Harry zmarszczył
czoło, bo dziewczyna nadal wpatrywała się w niego
bardzo zdziwiona. - Chcę z nią porozmawiać i podzię-
kować jej za opiekę.

- Bardzo pana przepraszam, ale nie znam lady Daw-
lish.

- Nie znasz jej... więc gdzie ja, u diabła, jestem? -
Harry zmarszczył czoło tak, że aż zbiegły mu się brwi,
usiłował bowiem przypomnieć sobie coś, co pomogłoby
mu zorientować się w sytuacji. - Kto się mną...

- Dziękuję, Lily - rozległ się głos od drzwi. Tym ra-
zem to Harry wytrzeszczył oczy, na progu sypialni sta-
nęła bowiem prawdziwa piękność: kobieta z bujnymi,
kręconymi włosami opadającymi na ramiona. Była
ubrana w suknię z miękkiego, zielonego materiału,
najwyraźniej jednak przerwała w połowie toaletę i nie
wydawała się zadowolona z tego powodu. - Myślałam,
że czuje się pan lepiej, lordzie Ravensden, ale wygląda
na to, że nadal ma się pan nietęgo.

Harry zamrugał powiekami, nagle bowiem poznał tę
kobietę i od razu rozstąpiła się mgła zasnuwająca mu
pamięć. Znajdował się w domu Bertrama Roade'a... ale
nie w pokoju, który dano mu do dyspozycji pierwszego

wieczoru. O tym był przekonany. A kobieta stojąca w nogach jego łóżka i piorunująca go wzrokiem z pewnością nie miała nic wspólnego z panną Roade. To była bogini, piękność, która właśnie zstąpiła z niebios.

- Skąd pochodzisz, pani? - spytał zdumiony jej przeobrażeniem. Zamiast zaniedbanej młodej kobiety, która wysłała go Bóg wie gdzie, lub siostry mścicielki dzierżącej pogrzebacz zobaczył uroczą istotę, której widok pobudził jego zmysły.

Beatrice podeszła i przytknęła mu dłoń do czoła. Było chłodne, ślady gorączki znikły.

- Przypuszczalnie czuje się pan dość osobliwie - powiedziała, nadal mierząc go groźnym spojrzeniem. - Byłeś bardzo chory. Gorączka spadła, ale może minąć jeszcze dużo czasu, zanim zdoła pan zebrać myśli.

- Przy pani to w ogóle będzie trudne - odparł Harry, chwytając ją za nadgarstek, żeby nie odeszła. - Domyślam się, że to właśnie pani jestem winien podziękowanie za opiekę i wspieranie mnie w chwilach tej przekłętą słabości.

- Mnie? - Beatrice dostrzegła w jego oczach błysk, który bardzo ją zmieszał. Tylko raz mężczyzna patrzył na nią w taki sposób. Wielkie nieba! Czyżby Ravensden wyobraził sobie, że skoro pielęgnowała go w gorączce, to jest kobietą lekkich obyczajów? - Widzę, że błędnie interpretuje pan sytuację. Odwiedzałam ten pokój tylko wtedy, gdy wzywał mnie doktor... - Zauważyła, że służąca wciąż stoi na progu i przysłuchuje się ich rozmowie z otwartymi ustami, jakby zastawiła pułapkę na muchy. - Możesz iść, Lily.

- Dobrze, proszę pani. - Dziewczyna ani drgnęła. - A co z bulionem jego lordowskiej mości? Czy mam go teraz przynieść?

- Naturalnie.

- Nie ma mowy - zaprotestował natychmiast Harry. Myślał już nieco jaśniej, chociaż wciąż odczuwał wielką słabość. - Chcę wołowego mięsa. Krwistego befsztyka z musztardą i piklami.

- Możliwe, że tego właśnie pan chce, lordzie Ravensden - powiedziała Beatrice, notując w myślach, że należy posłać do Northampton po nowe zapasy. Takiego gościa nie można było karmić potrawką, pasztetem i kiszka, które stanowiły podstawę ich codziennego jadłospisu. - Tymczasem jednak ani tego panu nie zalecam, ani nie mogę dostarczyć. Ciotka przyrządziła dla pana pożywny bulion na baraninie, jest też trochę szynki na zimno i pasztet z gołębi na kolację. Jeśli do wieczora poczuje się pan dostatecznie silny, by zjeść trochę czegoś pożywniejszego, z radością to panu podamy albo tutaj w pokoju, albo na dole w jadalni.

- To była pani, prawda? - Harry zmrużył oczy. Zapach wydawał mu się ten sam i ton głosu również. To ona tak troskliwie się nim opiekowała. - Muszę podziękować... prawdopodobnie za uratowanie mi życia. - Gdyby zachorował w jakimś przydrożnym zajeździe, zapewne już nie byłoby go wśród żywych. Ocaliły go poświęcenie i umiejętności tej kobiety.

- Ale nie mnie - skłamała bez mrugnięcia okiem Beatrice. - Opiekowała się panem moja ciotka. Ja mam

stanowczo za dużo zajęć, żeby jeszcze obsługiwać chorych. Teraz też muszę już iść.

- Niech pani nie idzie. - Harry zacisnął dłoń na jej nadgarstku z zaskakującą siłą jak na wyczerpanego człowieka. - Proszę jeszcze chwilę ze mną pobyc. Przysięgam, że nic pani z mojej strony nie grozi. Jestem nieszkodliwy jak nowo narodzone jagnię.

- Lily zaraz przyniesie panu bulion - powiedziała Beatrice. Zawahała się, wiedziała jednak, że nie wolno jej ulec tej prośbie. Wszelkie przejawy poufałości między nimi należało zdławić w zarodku. - Albo -jeśli pan woli - zrobi to moja ciotka, chociaż muszę zwrócić uwagę, że ma wiele pracy i trudno ją zastąpić. Nie znajdziesz w tym domu wiele służby, milordzie.

- Jestem przyzwyczajony do osobistego służącego. Czy pani ojciec nie mógłby mi pożyczyć swojego?

- Bellows nie usługuje gościom - odparła Beatrice z zadumaną miną. - Ale jeśli pan chce...

- Niech przyjdzie, chyba że woli pani karmić mnie i golić osobiście.

Błysk w jego oczach onieśmielał Beatrice, a dotyk ręki sprawiał, że po całym jej ciele przebiegały intrygujące dreszczyki.

- Bellows pewnie poradzi sobie z tym lepiej - orzekła. A jeśli przy okazji coś zwędzi, to Ravensden sam sobie będzie winien, pomyślała. - Zaraz po niego poślę.

- Dziękuję, doceniam pani uprzejmość. - Kąciki ust uniosły mu się w szelmowskim uśmiechu. - Bardzo

proszę przekazać moje najserdeczniejsze podziękowania ciotce, panno Roade. Jeszcze nigdy tak troskliwie mną się nie opiekowano, dlatego jestem jej nad wyraz wdzięczny. Za wszystko, co dla mnie zrobiła...

Akcent na „wszystko” nie pozostawił wątpliwości. Beatrice się splotła. A więc on wie! Kpi sobie z niej. Bardzo subtelnie, podziękowania są szczerze... ale ten błysk w oczach. Niedopuszczalne. Dżentelmen nie patrzy na pannę w taki sposób. To oczywiście, że przekroczyła granicę stosownego zachowania i powinna szybko wycofać się, bo inaczej straci zarówno dobrą reputację, jak i spokój ducha. Postąpiła krok do tyłu, a Ravensden wreszcie ją puścił.

- Z przyjemnością przekażę podziękowania. Nan bardzo się ucieszy, że poczuł się pan lepiej. - Spojrzała na niego surowo. - O pańskim powrocie do Londynu tymczasem nie ma mowy. Wprawdzie nie jesteśmy przyzwyczajeni do podejmowania gości, postaramy się jednak zapewnić panu wygodę do czasu, gdy będziesz mógł wyjechać, milordzie.

- Widzę, że nadal chce pani jak najszybciej mnie stąd wyrzucić. - Harry zmrużył oczy. Doszedł do wniosku, że umysł pracuje mu podejrzanie wolno. Panna Roade, rzecz jasna, nie chciała przyznać się do czuwania przy jego łóżu, bo gdyby ktoś domyślił się, co robiła, straciłaby raz na zawsze dobre imię. A Harry doskonale wiedział, do czego posunęła się jego opiekunka. Ponieważ jednak konwenanse pozostawały konwenansami, nie mógł podjąć tak niedelikatnej kwestii w rozmowie z bardzo zasadniczą panną. - Doprawdy nieładnie tak

mnie popędzać. Jestem o wiele za słaby, żeby myśleć o wyjeździe.

- Co też znowu pan mówi? - odezwała się Nan, która właśnie weszła z tacą do pokoju. - Potrzeba przynajmniej kilku dni, żebyś odzyskał siły. Nawet nie przyszłoby nam do głowy pana przynaglać. Tymczasem przyniosłam bulion. Proszę wszystko grzecznie zjeść, bo nie przyjmuję żadnych wymówek. Beatrice, moja droga, szuka cię ojciec.

- Lord Ravensden wyraził życzenie, żeby usłużywał mu Bellows - powiedziała Beatrice, widząc szansę honorowego wyjścia z kłopotliwej sytuacji. - Jestem przekonana, że chętnie zje zupełę, którą mu przyniosłaś, skoro tyle dla niego zrobiłaś, gdy leżał złożony gorączką. Co do mnie, mam dużo pracy i nie mogę mitrzyć tu czasu.

- Pikle... - mruknął Harry, przypomniał sobie bowiem coś z poprzednich dni. - Skoro tak sprawy się mają, nie będę pani dłużej zatrzymywał, panno Roade. Z przyjemnością pozwolę nakarmić się bulionem, pani Willow. Wolałbym jednak, żeby gołeniem rzeczywiście zajął się Bellows, jeśli nie uzna pani za niewdzięczność.

Beatrice zostawiła go z Nan. Na korytarzu usłyszała jeszcze śmiech ciotki, zaraz potem znalazła się na górze, w sypialni, żeby dokończyć toaletę. Co też jej przyszło do głowy, żeby iść do niego w szlafroku? Wszystko przez Lily, wezwała ją tak nagle, jakby znowu dostał gorączki... ech, nieważne. Lord Ravensden tylko zawadza w tym domu. Spełniła swój obowiązek, ale niebez-

pieczeństwo minęło, więc powinna teraz schodzić mu z drogi aż do jego wyjazdu.

Tymczasem musiała posłać kogoś do farmera Ekinsa, który przed kilkoma dniami zabił świnie. Wołowinę należało sprowadzić z Northampton, Beatrice nie lubiła kupować mięsa na targu w Abbot Quincey, bo można tam było trafić na pośledni towar, choć naturalnie dla siebie takie luksusy sprowadzali rzadko. Domowa kuchnia opierała się na drobiu, baraninie i wieprzowinie z pobliskich farm.

Beatrice ze smutkiem pomyślała o kurczących się zasobach na utrzymanie domu. Najpierw musiała kupić nowe łóżko dla Oliwii, potem zapłacić doktorowi za trzy wizyty. Naturalnie nie miała do nikogo pretensji o te wydatki, oznaczały one jednak, że należy znaleźć sposób na zrównoważenie budżetu.

Bardzo nie chciała naruszyć niewielkiego kapitału Oliwii, ale swoją kwartalną pensję wydała niemal w całości. Może papa... Trzeba było jeszcze zapłacić kupcowi winnemu, potrzebowali też węgla do kuchni i woskowych świec do salonu. Często zastanawiała się nad przenosinami do mniejszego domu, drogi papa nie chciał jednak słyszeć o pozostawieniu miejsca, w którym kiedyś zaznał tyle szczęścia z żoną.

Co tam, jakoś związą koniec z końcem. Przecież odłożyła parę szylingów na nową suknię u Hammonda, który miał sklep w Abbot Quincey, a w nim również sukna i tkaniny. Stare stroje mogą jej służyć trochę dłużej.

Z westchnieniem popatrzyła na ziemistoszarą suknię,

którą włożyła tego ranka. Wyglądała w niej staro, niemodnie i nieciekawie, chociaż wcale tak się nie czuła. Niestety, suknia jeszcze nadawała się do noszenia. Można było najwyżej ozdobić ją dodatkowo wstążką albo falbanką.

Ubrawszy się, związała włosy w schludny koczek z tyłu głowy, wypuszczając na policzki tylko kilka wijących się loczków. Potem wygładziła spódnicę sukni i poszła na dół poszukać ojca.

Siedział zapracowany w gabinecie i naturalnie do niczego jej nie potrzebował. Przynajmniej jednak podniósł głowę, słysząc, że weszła.

- Jak tam Ravensden, moja droga? - spytał. - Rozumiem, że lepiej, bo inaczej nie zobaczyłbym cię tutaj.

- Najgorsze już za nim, papo, ale wyjechać jeszcze nie może.

- Och, to byłoby nie do pomyślenia - powiedział pan Roade. - Podoba mi się ten człowiek, Beatrice. Ma wyjątkowo świątły umysł. Chyba pójde go potem odwiedzić i przy okazji pokażę mu kilka swoich rysunków.

- Na pewno będzie to dla niego zajmujące, papo - odparła i uśmiechnęła się rozbawiona tym wyrazem aprobaty dla Ravensdena. - Uważaj jednak, żebyś go nie zmęczył. On jeszcze wciąż jest bardzo słaby.

- Nie może być inaczej - przyznał ojciec. - Głupio zrobił, że wybrał się w podróż w taką pogodę. Mgła jest bardzo niebezpieczna dla zdrowia... wiesz, wilgoć i chłód, najgorsze możliwe połączenie.

- Tak... - Beatrice znów ogarnęły wyrzuty sumie-

nia. Gdyby nie jej złośliwość, lord Ravensden zapewne uniknąłby choroby.

- Całe szczęście, że to się stało tutaj - skostatował pan Roade. - Gdyby zatrzymał się w zajeździe, mógłby nie mieć takiej dobrej opieki. Byłaś dla niego nadzwyczajnie troskliwa, moja droga.

- Nic takiego nie zrobiłam - zastrzegła się, ale i tak zapiekły ją policzki. - Jeśli mnie nie potrzebujesz, papo, to pójdę już do swoich zajęć.

- Naturalnie, naturalnie... - Skinął jej ręką na pożegnanie, ale gdy zamknęły się za nią drzwi, nie od razu skupił się znowu na swoich rysunkach. Pan Roade był roztargniony, ale nie głupi. Dobrze wiedział, jak wyglądało życie jego córki przez ostatnie kilka lat. - To naprawdę bardzo świątły umysł... - rzekł do siebie. - Podobnie jak twój, Beatrice.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Gdzie jest Bellows? - spytała Beatrice, wszedłszy do kuchni następnego ranka. - Musi przynieść drewno do kominka w salonie. Chłodno tam, a Oliwia ceruje prześcieradło. Nie byłoby dobrze, gdyby teraz ona zachorowała.

Nan podniosła głowę znad robótki.

- Bellows usługiwał rano jego lordowskiej mości, a potem pojechał coś załatwić. Zdaje się, że wziął konia lorda Ravensdena.

- Wielki Boże! - Beatrice zdumiała się nie na żarty. - Mam nadzieję, że dostał na to pozwolenie.

- Jego lordowska mość polecił mu załatwić swoją prywatną sprawę - wyjaśniła Nan. - Oni od pierwszej chwili przypadli sobie do gustu. Bellows mówi, że poczuł się jak za dawnych lat. Widocznie już kiedyś golił dżentelmenów. Przecież różne obowiązki poza domem wypełnia dopiero od czasu, gdy Bertram stracił większość majątku.

- Pewnie masz rację - powiedziała Beatrice, marszcząc czoło. Rodzina pamiętała jeszcze lepsze czasy. Sara Roade miała dożywotnią rentę, a jej mąż nie od razu poczynił wszystkie nierozsądne inwestycje. - Czy lord Ravensden nie może sam się ogolić? Czyżby nadal był

taki słaby? Brak Bellowsa to dla nas duży kłopot, chociaż jego lordowska mość pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Doprawdy nie pomyślał. Ale czego się można spodziewać po takim człowieku? Wszystko pasuje!

- Sądzę, że on żyje w zupełnie innym świecie. Zawsze ma do dyspozycji osobistego służącego, który może go ogolić albo załatwić coś w mieście - stwierdziła Nan, przyglądając się bratanicy w zadumie. Beatrice rzadko wpadała w taki zły nastrój. - Przecież drewno może przynieść Ida. Zaraz ją poproszę.

- Naturalnie. - Beatrice westchnęła. - Tak tylko rozmyślałam.

- Może pójdziesz chwilę porozmawiać z naszym gościem? - zaproponowała Nan. - Pytał o ciebie wcześniej, moja droga.

- Jestem za bardzo zajęta. Zaprosiliśmy parę osób na obiad w czwartek. Czyżbyś o tym zapomniała? Mam dużo do zrobienia w kuchni.

- Czwartek jest jutro. Czy naprawdę musisz coś przygotować już dzisiaj?

- Może i nie, ale nie powinnam odwiedzać Ravensdena w jego sypialni. - Beatrice wolała nie patrzeć ciotce w oczy. - Dziwię się, że w ogóle złożyłaś mi taką propozycję.

- Och... - Nan uśmiechnęła się, dostrzegła bowiem żal malujący się w oczach Beatrice. - Naturalnie masz rację. To byłby przejaw wielkiej nieskromności i trudno tego od ciebie wymagać, skoro przez cały okres ciężkiej choroby jego lordowskiej mości ani na chwilę nie weszłaś do jego pokoju.

- Przestań ze mnie kpić. - Beatrice zdobyła się na wymuszony śmieszek. — Musiałam mu tak powiedzieć. Wyobraź sobie, co by pomyślał, gdyby wiedział, że to ja. Mniejsza o to. Uważam, że nie powinnam do niego wchodzić i już. Papa podobno zastał Ravensdena w wyśmienitym nastroju.

- Jak sobie życzysz, moja droga. Zresztą lord Ravensden zapowiedział, że później zapewne wstanie i zejdzie do salonu.

- Co za brak rozsądku! Jeszcze na tyle nie wydobrzał.

- Zwróciłam mu uwagę, że powinien poleżeć przynajmniej dzień dłużej, ale on uważa... - Nan pokręciła głową. Wołała nie powtarzać tego, co usłyszała od lorda Ravensdena, który przecież przyjechał po to, by skłonić młodszą z panien do małżeństwa, a nie uwieść starszą. - Powiedział, że nie lubi leżeć w łóżku, a czuje się już dużo lepiej.

- Pójdę posprzątać nasze sypialnie - zdecydowała Beatrice. - Lily może potem zająć się sypialnią lorda Ravensdena.

Wzięła ścierki i pastę do mebli, sporządzoną z pszczelego wosku i nasion lawendy, z których osobiście wycisnęła olej.

To jest w najwyższym stopniu irytujące, myślała nieco później, doprowadzając do połysku komodę w pokoju ojca. Konwenanse są takie głupie. Tylko dlatego, że jest panną, nie wolno jej nawet zajrzeć do sypialni lorda Ravensdena, chociaż jej ojciec może tam wejść kiedy tylko chce. Zupełnie jakby groziło jej uwiedzenie!

A ona nawet go nie polubiła... Gdyby nie sądziła, że Ravensden jest dobrą partią dla siostry, w ogóle nie zainteresowałaby się jego chorobą.

Przyjechał do nich w piątek pierwszego listopada. Był szósty, minęło pięć dni, odkąd zachorował. Za ledwie pięć dni? Dlaczego złości ją u niego brak rozsądku i to, że postanowił wstać po tak krótkim okresie odpoczynku?

Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia! Czemu miałyby przejmować się tym, co robi ten uciążliwy człowiek? Tyle że przez trzy dni był naprawdę ciężko chory, więc trudno jej było uwierzyć, że całkiem ozdrowiał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ten uparciuch celowo za szybko wstaje z łóżka, żeby znowu zachorować!

Wyszedłszy z pokoju ojca, przystanąła jeszcze w korytarzu, żeby odkurzyć stolik. Pracowała z marsową miną, bijąc się z ponurymi myślami, więc nie zauważyła człowieka idącego z naprzeciwka. Stary, wytarty dywan zagłuszył bowiem odgłos kroków.

- O, naprawdę jest pani zajęta. - Aż podskoczyła, słysząc głos tuż obok. - Myślałem, że pani Willow mnie zwodzi, gdy spytałem, dlaczego nie mogę liczyć na pani odwiedzinę, wygląda jednak na to, że byłem w błędzie.

- Lord Ravensden! - Serce podeszło jej do gardła. Naturalnie tylko dlatego, że ją przestraszył. Ten nicpoń celowo podszedł tak cicho. - Co pan tu robi? Z pewnością jeszcze nie odzyskał pan sił na tyle, żeby samodzielnie zejść na dół. Dużo lepiej by pan zrobił, gdyby postarał się wypocząć.

- Skoro pani nie przysłała do mnie, musiałem przyjść do pani - odpowiedział Harry. - Zresztą czuję się już dużo lepiej i nie wytrzymałbym w łóżku ani dnia dłużej, wiedząc, jak wielki kłopot sprawia moja wizyta w tym domu.

- Jaki kłopot, ty nierozsądny człowieku?! - odparła Beatrice. - Nie po to cię pielęgnowałam, żebyś tak bez troski ryzykował... - urwała, wściekła na siebie. - Naturalnie miałam na myśli ciotkę. To Nan pana pielęgnowała.

- Naturalnie. W pani sytuacji byłoby wysoce niestosownie zajmować się opieką nad chorym mężczyzną, panno Roade. A ponieważ bardzo się pani pilnuje, żeby zanadto się do mnie nie zbliżyć, widzę, że istotnie jesteś bardzo dobrze ułożoną młodą damą.

- Nie taką młodą, drogi panie. Mam dwadzieścia trzy lata i nie jestem naiwnym podlotkiem, który... który...

- ..kąpie nagiego mężczyznę? - Uśmiech Harry'ego był doprawdy ohydny. - Masuje mu obolałe plecy?

- Rzeczywiście, coś takiego nawet by mi się nie śniło - skłamała Beatrice czerwona jak burak. - Musiał pan mieć przywidzenia w gorączce.

- Możliwe - przyznał Harry, patrząc na nią z podziwem. - Proszę mi wybaczyć, ale mam bardzo pokrętne poczucie humoru. To jest moja fatalna cecha. Matka powtarza mi to od niepamiętnych czasów, a Merry zawsze mnie łąja za gorszący brak powagi.

- Kim jest Merry? - Beatrice nie mogła pohamować ciekawości. - Wspominał ją pan tyle razy...

- Naprawdę? Ciekawe dlaczego? - Harry zmarszczył czoło. - Merry to żona lorda Dawlisha, Percy'ego Dawlisha. On jest moim najlepszym przyjacielem, a Merry zawsze szeroko otwierała przede mną drzwi ich domu. Pewnie myślałem, że to ona tak troskliwie się mną opiekuje.

- Rozumiem. - Beatrice uśmiechnęła się, zadowolona z tego wyjaśnienia. - Ciotka mówiła, że wspominał pan Merry kilka razy.

- Ach, ciotka, naturalnie. Pani Willow jest wyjątkową kobietą... pod niejednym względem. - Harry spochmurniał, zobaczył bowiem, że Beatrice znów bierze szmatkę do ręki. - Czy zawsze pani tak ciężko pracuje, panno Roade, czy po prostu zakłóciłem rytm życia domowego?

- Przetrzeć meble zawsze warto. Lily przejęła część obowiązków Bellowsa, więc tymczasem muszę ją w tym i owym wyręczyć.

- Rozumiem. Nie pomyślałem o tym i z rana poleciłem Bellowsowi załatwić dla mnie kilka spraw w Northampton. Proszę mi wybaczyć, bo przecież zanim wydałem polecenie pani służącemu, należało spytać, czy nie spowoduję zamieszania.

- Pan jest przyzwyczajony do całej armii służących. - Beatrice lekko się zaczerwieniła. - Ten dom musi się panu wydawać dziwny, lordzie Ravensden. Bardzo przepraszam, że nie możemy zapewnić panu więcej komfortu.

- Nie ma potrzeby za cokolwiek przepraszać. - Harry ujął ją za rękę. Beatrice włożyła przed sprząaniem

bawełniane rękawiczki. - A więc tak chroni pani skórę? Masz delikatne dłonie, panno Roade. Cieszę się, że o nie dbasz. Szkoda byłoby, gdyby zniszczyła je praca, którą powinni wykonywać inni.

- Przyzwyczaiałam się - powiedziała, szybko cofając rękę. - Zresztą częściej coś piekę, niż poleruję meble. Lubię pracę w kuchni. Lubię też przygotowywać maści i mikstury domowej roboty. Większość kobiet ze wsi to lubi, milordzie.

- Rozumiem. - Harry uśmiechnął się do niej tak, że aż zaparło jej dech. - A co pani robi, kiedy nie wzywają obowiązki?

- Czytam... grywam na pianinie mamy, no i szyję - odrzekła. - W ładną pogodę dużo spaceruję.

Skinął głową, nie odrywając skupionego spojrzenia od jej twarzy.

- Nie jeździ pani konno?

- Dawniej jeździłam... - Opuściła głowę zaniepokojona, że mężczyzna za dużo wyczyta z jej oczu.

- Utrzymanie wierzchowca jest kosztowne, lordzie Ravensden. Papa niekiedy pożyczka wierzchowca ze stajni pana Hartwella i ja też pewnie bym mogła, pod warunkiem, że miałabym znośny kostium do konnej jazdy.

- Ach... rozumiem. Pan Roade wspomniał mi, że kilka jego poprzednich eksperymentów wiązało się ze znacznymi kosztami.

- Tak... - Beatrice nadal odwracała wzrok. - Nie chcemy współczucia, milordzie. Jesteśmy zadowoleni z takiego życia, papa i ja... powinien pan jednak pomy-

śleć o biednej Oliwii. - Wreszcie spojrzała mu w oczy z miną pełną wyrzutu. - To ona wszystko straciła.

- Jestem tego świadom. - Harry spowaźniał. - Problem polega na tym, co można w tej sprawie zrobić.

- Naturalnie musi jej pan wytłumaczyć, że w swoim dobrze pojętym interesie powinna pana poślubić.

- Muszę? - Harry ściągnął brwi. - Cóż, podejrzewam, że tak właśnie wygląda honorowe wyjście z tej sytuacji. Gdzie mogę znaleźć pannę Oliwię?

- Jest w salonie, ceruje prześcieradło.

- Naprawdę? Biedna panna Oliwia. Powinienem natychmiast do niej iść.

- Proszę łaskawie to zrobić.

Wyminął ją, więc znów zajęła się polerowaniem stolika, ale stłumione przekleństwo kazało jej się odwrócić. Zobaczyła, że lord Ravensden ciężko wspiera się na poręczy schodów, jakby potrzebował pomocy. Odrzuciła szmatkę i podeszła do niego z zatroskaną miną.

- Ty niemądry człowieku - powiedziała z wyrzutem. - Powinnam przewidzieć, że tak się stanie. Pewnie wymyślił pan sobie, że jeśli spadnie ze schodów i połamie nogi, to będzie pan mógł spędzić kilka dni więcej w łóżku. Ale nic z tego. Proszę wziąć mnie pod ramię, zejdziemy razem. Nie dopuszczę do tego, żeby znowu znalazł się pan na łożu boleści.

- Och, to byłaby z mojej strony wyjątkowa niewdzięczność, prawda? Zważywszy na to, że oddała mi pani swój pokój. - W oczach zamigotały mu iskierki. - Chyba że chce mnie pani odesłać na to okropne łóżko

w pokoju gościnnym, skoro wyzdrowiałem już na tyle, że można mnie przenieść.

- Lepiej, żeby pan nie przesadził z tym dobrym samopoczuciem - zauważyła Beatrice, która znów poczuła wyrzuty sumienia. - Przypuszczalnie zachorował pan z mojej winy, lordzie Ravensden. Tego pokoju nie używano od lat, a chociaż napalono w kominku natychmiast, gdy wyraziłeś życzenie spędzenia tu nocy, to naturalnie wilgoć pozostaje wilgocią.

- Prawdę mówiąc, przyszło mi do głowy, że zamierzała mnie pani stąd wypłoszyć. Łóżko miało wyjątkowo niewygodny materac.

- Rama jest pęknięta - wyjaśniła Beatrice. - Muszę spytać Bellowsa, czy umie ją naprawić.

- Czyli jednak zamierza mnie pani skazać na banicję?

Stanęli u podnóża schodów.

- Naturalnie nie zamierzam pana odsyłać z powrotem do tamtego pokoju. Tymczasem jest mi całkiem wygodnie z siostrą.

- O ile wiem, jest jeszcze jedna nieużywana sypialnia, przylegająca do pokoju pana Roade'a. - Harry uniósł brwi. - Gdyby przewietrzyć pościel, mógłbym się tam przenieść za dzień lub dwa. Chyba że i tam łóżko jest połamane?

- Nie, ma bardzo dobry materac - odrzekła. - To był pokój mojej matki. Nie korzystamy z niego od jej śmierci. Naturalnie nie mogłam umieścić tam Oliwii, bo mama umarła właśnie na tym łóżku, ale jeśli panu to nie przeszkadza...

- Osobiście nie boję się duchów - powiedział Harry.
- Jeśli pani Roade była tak samo szczodra, jak teraz jest jej córka, to bez wątpienia będę spał w tym łóżku spokojnie. A pani będzie mogła znowu zażywać komfortu w swoim pokoju.

Beatrice wpatrywała się w ścianę. Nie spodziewała się tyle zrozumienia ze strony człowieka, który rzekomo jest niefrasobliwy. Co zamierzał przez to zyskać? A może to ona grzeszyła zbytnią nieufnością?

- Dobrze, każę przewietrzyć pokój i pościel, ale przeniesie się pan tam dopiero za kilka dni - zdecydowała i dodała: - Czy zamierza pan pozostać u nas długo?

Harry wybuchnął śmiechem.

- Nie ma dla mnie litości. To ja troszczę się o twoją wygodę, a ty ciągle myślisz o wyrzuceniu mnie z domu?

Beatrice zerknęła na niego, ale zaraz znowu odwróciła wzrok, bo serce gwałtownie jej zabiło. Ten człowiek miał stanowczo zbyt wiele uroku. W dodatku wyobrażał sobie, że tym urokiem może wszystkich zająć. O, nie! Jeśli mu się zdaje, że owinie ją sobie dookoła małego palca, to grubo się myli.

- Proszę iść do mojej siostry. Nie jestem aż tak bezwzględna, żeby pana stąd wyrzucić, zanim odzyska pan jej względy. Zaznaczam jednak również, że nie będę wpływać na Oliwię, by przyjęła oświadczyzny, a to samo dotyczy mojego ojca. Musi pan sam wygrać tę bitwę.

- Taki mam zamiar, panno Roade. - W oczach Har-

ry'ego znów zabłyśły wesołe ogniki. - Cel uświęca środki, zwłaszcza na wojnie i w miłości, czyż nie?

Beatrice przesłała mu wymowne spojrzenie i odeszła w chwili, gdy pukał do drzwi salonu. Maniery pana młodego in spe pozostawiały wiele do życzenia, ale Beatrice postanowiła, że nie będzie Oliwii ani zachęcać, ani zniechęcać.

Gdyby wyrzuciła go z domu od razu pierwszego dnia, nie byłoby komplikacji. Okoliczności sprzyściły się jednak przeciwko niej. Teraz wszyscy stali się zabawkami w rękach losu i musieli się z tym pogodzić.

Był czwartek, siódmego listopada. Beatrice krzątała się w kuchni, gdy chłopak od farmera Ekinsa wszedł drzwiami dla służby. Podniosła głowę i uśmiechnęła się, widząc na jego ramieniu koszyk. Mina chłopca zdradzała, że jest wiele do opowiedzenia. Ned odwiedzał liczne domy we wszystkich czterech wsiach, dostarczając towary z farmy, a przy okazji roznosił najświeższe plotki.

- Proszę, panno Roade - powiedział, postawiwszy kosz na stole. - Wieprzowy udziec i dwa tłuste kurczaki, pewnie dla dżentelmena, który tu jest w gościnie. Mama mówi, żeby jej nie płacić. Nie chce pieniędzy, woli raczej tego pysznego domowego chleba, kiedy będzie pani miała okazję go upiec, i słoiczek lub dwa pikli. Tata bardzo je lubi. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ludzie mówią, że jego lordowska mość jest narzeczonym panny Oliwii... i że panna Oliwia też przyjechała. Ma pani pełny dom, ho, ho.

- Jeśli chodzi o moją siostrę i lorda Ravensdena, to nie jesteśmy pewni, czy do siebie pasują. Nic jeszcze nie zostało postanowione - odparła Beatrice. Poczęstowała gościa pączkami, które upiekła wcześniej. - Masz dla mnie jakieś wiadomości, Ned?

Chłopiec oparł się o krawędź stołu, ugryzł kęs pączka i zrobił zachwyconą minę. Żadna pani domu w czterech odwiedzanych przez niego wsiach nie piekła takich pyszności, jak panna Roade, a w dodatku panna Roade zawsze chętnie nimi częstowała.

- Hm... To zabawne, że akurat pani o to pyta - odparł z błyskiem w oczach. - Bo dopiero co byłem na plebanii. Pani Hartwell potrzebowała trochę jaj i kawałek bekonu, ale kiedy przyszedłem, była w salonie, a nasza Mary powiedziała mi... - Zawiesił głos, żeby wzmocnić efekt. - Zdaje się, że dzisiaj z samego rana wielebny był w opactwie. Poszedł napomnieć pana markiza, bo jak tak dalej pójdzie, jego lordowska mość może smażyć się w piekle za swoje grzechy.

- Zdaje się, że masz rację. - Siostra Neda, Mary, była kucharką w domu wielebnego Hartwella. - I co się stało? Czy pan markiz potraktował go bardzo niegrzecznie? - Wydawało się to bardzo prawdopodobne i nawet dziwiło ją trochę, że wielebny naraża się na przykrości, składając niezapowiedziane wizyty.

- Nasza Mary mówi, że otworzył drzwi osobiście... mówię o markizie. Był bardzo zły... i pijany, daję słowo.

- A gdzie podział się jego kamerdyner? - spytała Beatrice. - Przecież otwieranie drzwi należy do obowiązków pana Burnecka.

- Nasza Mary słyszała, jak wielebny opowiadał wszystko pani. Markiz otworzył drzwi jeszcze w szlafroku i był bardzo wzburzony, bo Kruk nie wrócił na noc do opactwa. Po południu pojechał odwiedzić kuzynkę w Northampton i po prostu nie wrócił.

- Kruk...

Beatrice uśmiechnęła się na dźwięk tego przewiska, często używanego przez wieśniaków w stosunku do Solomona Burnecka, kamerdynera markiza. Burneck służył u swojego pana od lat, zaczął, jeszcze zanim markiz zamieszkał w opactwie. Nazwano go Krukiem, ponieważ zawsze nosił to samo zniszczone czarne ubranie, a poza tym wyróżniał się wielkim nosem, podobnym do ptasiego dziobu. Oczy miał blisko osadzone, wargi wąskie i blade, ale mimo swego małego reprezentacyjnego wyglądu cieszył się szacunkiem miejscowych, a niektórzy darzyli go nawet swoistym podziwem. Solomon Burneck nie odzywał się często, ale kiedy już coś mówił, nieraz cytował Biblię, miał więc opinię człowieka religijnego. Dlaczego ktoś taki pozostawał w służbie człowieka pokroju markiza pozostawało tajemnicą, ale Beatrice sama dobrze wiedziała, że czasem trudno wytłumaczyć, na czym opiera się czyjaś lojalność.

- Nie wiedziałam, że pan Burneck ma krewnych.

- Ona przyjechała tu z panem markizem i pracowała u niego kilka lat - odpowiedział ochoczo Ned. - Pani tego nie pamięta, ale mama tak. To było już dawno, dawno. Panna Burneck wyjechała, aby poślubić kupca, który miał własny dom i sklep, tyle wiem od mamy.

- I pan Burneck nie wrócił na noc po wizycie u ku-

zynki? Hm, to dziwne - zauważyła Beatrice. - Zastanawiam się dlaczego. Czy sądzisz, że zrezygnował z pracy u pana markiza?

- Jeśli dał nogę, to nie on pierwszy - odrzekł Ned, bardzo z siebie zadowolony. - Markiz szalał ze złości i powiedział wielebnemu coś okropnego, kazał mu się zabierać i nigdy więcej go nie nachodzić. Powiedział też... - Ned zrobił efektowną pauzę - ..że milady zabrała rzeczy i wyjechała. Podobno został sam jeden w całym domu. I co pani na to?

- Powiedział, że żona wyjechała. - Beatrice przypomniała sobie wieczór, gdy markiz omal jej nie strącił. Ten krzyk, który słyszała... przerażający, nieludzki krzyk! - A jak dawno wyjechała?

- Nie wiem. Może kilka dni temu, może dawniej. - Ned pokręcił głową. - Nasza Mary nic więcej nie usłyszała. Pani wyszła z salonu, złapała ją z uchem przytkniętym do drzwi i odesłała do kuchni.

- I w opactwie nie było nikogo więcej ze służby? - Nan weszła do kuchni w porę, by usłyszeć zakończenie opowieści Neda. - Chyba nie ma się czemu dziwić. Wystarczy pomyśleć, co wyrabiał pan markiz. Jestem pewna, że żadna przyzwoita kobieta nie chciałaby tam pracować. Moim zdaniem to jedna wielka hańba i tyle. Pan markiz jest jednym z największych właścicieli ziemskich w okolicy. Powinien zatrudniać mnóstwo ludzi, a tymczasem we wsiach jest przez niego bieda. To wielki wstyd, że on tutaj zamieszkał.

- To wszystko jest bardzo dziwne - wtrąciła Beatrice. Wciąż czuła niepokój. Nie mogła przestać my-

ściec o przeszywającym krzyku, który słyszała wieczorem, gdy zdecydowała się pójść skrótem przez grunty opactwa. - Dokąd, twoim zdaniem, pojechała pani markiza?

- Myślę, że uciekła - stwierdziła praktycznie myśląca Nan. - Kto mógłby ją za to winić? Być żoną takiego człowieka i patrzeć, jak dom obraca się w ruinę...

- Tak. - Beatrice skinęła głową, nie mogła jednak uciszyć podejrzeń. Bardzo ją zaniepokoiło, co się stało z młodą żoną markiza. - Ale...

Nan pokręciła głową, jakby chciała ją ostrzec, i Beatrice przypomniała sobie, że nie są same. Po co niepotrzebnie rozsiewać plotki?

- Podziękuj w moim imieniu mamie - zwróciła się do Neda. - Powiedz, że chleb przyniosę jeszcze w tym tygodniu. Chcesz na drogę drugiego pączka?

Ned uśmiechnął się od ucha do ucha i naturalnie przyjął propozycję, po czym wyszedł kuchennymi drzwiami. Jeszcze z daleka było słychać jego radosne pogwizdywanie, gdy oddalał się z pustym koszykiem.

- Wiem, co myślisz - odezwała się Nan. - Pamiętaj, że milczenie jest złotem, Beatrice. Musimy starannie dobierać słowa. Nie ma sensu rozpuszczać jadowitych plotek, bo może się okazać, że lady Sywell w przyszłym tygodniu wróci.

- Masz rację - przyznała Beatrice. - Zresztą Ned mógł wszystko poprzekręcać. Ciekawe, co będzie miał do powiedzenia dziś wieczorem wielbny Hartwell i...
- urwała, bo kuchenne drzwi znów się otworzyły

i wszedł przez nie Bellows z dużym wiklinowym koszem w ręce.

- Zamówienia jego lordowskiej mości, panno Roade - powiedział. - Wołowe żeberka, sery, cała szynka, a na wozie czekają na wniesienie wina i brandy.

- Ciekawe, jak mamy za to zapłacić? - Beatrice poczuła, że wzbiera w niej złość. - Nie stać nas na takie specjały. - Otworzywszy kosz, znalazła w nim słoiki z Przysmakiem Dżentelmenów, marcepan, owoce kandyzowane, po kilka funtów herbaty i cukru, a nawet czekoladę! - Trzeba to wszystko zwrócić!

- Nie ma potrzeby tak się burzyć, lady - powiedział bezceremonialnie Bellows. - Wszystko poszło na rachunek jego lordowskiej mości, podobnie jak powóz i konie zamówione w stajni wraz z usługami stangreta i lokaja. Milord powiedział, że łatwiej mu wynająć służbę, niż posyłać po własną. - Bellows nieco stracił na pewności siebie, zauważył bowiem, że jego pani jest zła jak osa. - Milord zamówił też różne przedmioty osobistego użytku.

- Jak on śmie? - wybuchnęła Beatrice. - Jak śmie popisywać się taką arogancją. Wydaje mu się, że będę zachwycona, jeśli zapłaci za jedzenie, które dostaje w tym domu!

Zaczęła zdejmować fartuch. Nan zerknęła na nią nieufnie.

- Dokąd idziesz, moja droga? Mam nadzieję, że nie zamierzasz skrzyknąć jego lordowskiej mości. Przypuszczam, że on chciał jak najlepiej.

- Jak najlepiej? - W oczach Beatrice pojawił się wo-

jowniczy błysk. - To jest obelga, Nan, i zamierzam mu to powiedzieć prosto w oczy.

- Zechciej pamiętać, że ten nieszczęśnik wciąż jest chory! - zawołała Nan za bratanicą. - Chyba nie chcesz, żeby miał nawrót gorączki.

Beatrice już nie słuchała. Jak lord Ravensden śmiał ją tak obrazić? Wołowiny, której tak się domagał, nie dała mu od razu tylko dlatego, że nie chciała proponować mu byle czego, a po dobre mięso trzeba było jechać do Northampton, do kupca handlującego luksusowymi towarami, którego najwyraźniej odwiedził Bellows. Gdyby Ravensden wykazał nieco cierpliwości, dostałby wkrótce odpowiedni posiłek.

Gdy weszła do salonu, lord Ravensden siedział tam z tomikiem wierszy w ręku. Najwidoczniej czytał Oliwii, jej szycie leżało obok na stole. Zarumieniwszy się, sięgnęła z powrotem po ojcowską koszulę, w której odwracała kołnierzyk.

- Lord Ravensden czytał mi na głos *Pieśń o starym żeglarzu* Samuela Taylora Coleridge'a - powiedziała niepewnie Oliwia, patrząc na siostrę. - To jest mój ulubiony utwór.

- To wspaniale - odrzekła Beatrice. - Kochanie, czy mogłabyś przynieść mi szal z góry?

- Naturalnie. - Oliwia wydała się zaskoczona tonem siostry, ale posłusznie wstała i wyszła z pokoju.

- Lordzie Ravensden - zaczęła Beatrice, gdy tylko zamknęły się drzwi. Oczy zapłonęły jej gniewnym blaskiem. - Przypuszczalnie nie jest pan przyzwyczajony do przebywania w takim domu jak ten...

Gdy weszła do pokoju, Harry wstał. Słyszając napastliwy ton, zmierzył ją baczным spojrzeniem. Czym znowu zawinił?

- Proszę mi wybaczyć, panno Roade. W czym pani uchybiłem?

- Wysłał pan mojego służącego do Northampton, a potem miałeś czelność zamówić żywność i wino i zapisać to wszystko na swój rachunek. Wiem, że nie mogę zaofiarować gościny w takich warunkach, do jakich jest pan przyzwyczajony, ale gdybyś cierpliwie poczekał dzień lub dwa...

- Proszę mi wybaczyć - wtrącił Harry skruszonym tonem, który natychmiast wprowadził ją w zakłopotanie. - Postąpiłem niezręcznie i rozumiem, że uraziłem pani dumę. Zamierzałem jedynie zmniejszyć obciążenie, jakim jest moja obecność. W istocie nie mam nic do zarzucenia pani gościnności. Przeciwnie, nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek kiedykolwiek ofiarował mi tak wiele.

Nie było jednak łatwo ułagodzić Beatrice.

- Zamówił pan powóz i konie. Czy to znaczy, że wkrótce zamierzasz wyjechać?

- Och, nie, obawiam się, że jeszcze nie byłbym w stanie przedsięwziąć długiej podróży - odrzekł Harry i dostał ataku kaszlu. Dopiero po chwili mógł dokończyć: - Pomyślałem tylko, że przydałaby mi się służba... do załatwiania moich spraw. I do pomocy Bellowsovi w wypełnianiu obowiązków poza domem.

Beatrice bardzo się zmieszała. Nie mogła przecież zrobić mu wyrzutów, skoro starał się odciążyć Bellowsa.

- No... to chyba rzeczywiście byłaby pomoc.

- Czy to znaczy, że mogę liczyć na wybaczenie, pan-no Roade? - spytał Harry cicho. - Skoro rozumie pani moje intencje, to proszę o przyjęcie tego małego podarunku. O ile wiem, dziś wieczorem mają przyjść goście. Może uzna pani, że jednak warto ich tym poczęstować.

- Może uznam - potwierdziła Beatrice i spojrzała na niego srogo. - Jesteś bardzo uciążliwym człowiekiem, milordzie.

- To prawda, wiem o tym. - Harry zbliżył się do niej o krok. - Panno Roade...

Cokolwiek miał powiedzieć, pozostało to jego tajemnicą, wróciła bowiem Oliwia z szalem dla siostry. Wydawała się bardzo uspokojona, gdy stwierdziła, że jeszcze nie doszło do wymiany ciosów.

- Czy wszystko w porządku, Beatrice?

- Tak... tak, naturalnie. - Beatrice parsknęła śmiechem, nie mogąc zrozumieć, co ją tak zdenerwowało. - Zaszło pewne nieporozumienie. - Zawahała się. - Dziś wieczorem, jak wiesz, podejmujemy gości. Zanim przyjdą, powinnam chyba powiedzieć wam obojgu, czego dowiedziałam się dziś rano.

Oliwia przyjrzała się jej uważnie.

- Mów, siostrze. Czyżbyś chciała nam powtórzyć jakąś plotkę?

- Tak - odrzekła Beatrice. - Czy przypominasz sobie, że w wieczór twojego przyjazdu rozmawialiśmy o żonie markiza?

- Owszem. Powiedziałaś, że nic o niej nie wiesz, że żyje jak mniszka...

- Wygląda na to, że markiza znikła.

- Znikła? - Oliwia szerzej otworzyła oczy. - Co przez to rozumiesz?

Beatrice powtórzyła historię, którą niedawno jej opowiedziano, i zakończyła:

- Pewnie pamiętasz, że mniej więcej dwa tygodnie temu markiz omal mnie nie stratował, tak dokądś pędził? - Oliwia skinęła głową. - Chwilę przedtem słyszałam rozdzierający krzyk. Pomyślałam, że jakieś zwierzę wpadło w sidła, ale teraz...

Oliwia przytknęła dłoń do ust.

- Biedna markiza, zabił ją jej występny mąż!

- Powoli, Oliwio - zmiygotowała ją Beatrice. - Nie należy zbyt szybko wyciągać wniosków, ale rzeczywiście wydaje się to nieco dziwne.

- W jaki sposób zniknięcie markizy wyszło na jaw? - spytał Harry, wyraźnie rozbawiony podnieceniem Oliwii.

- Wielebny Hartwell złożył wizytę w opactwie - wyjaśniła Beatrice. - Wcześniej widziano nocą tajemnicze światła w lesie Giles i wielebnemu przyszło na myśl, że... że może się tam dziać coś nieobyczajnego. Uznał więc za swój obowiązek przypomnieć markizowi, że w każdej chwili może zostać powołany przed Stwórcę, dlatego powinien wzbudzić w sobie żal za grzechy.

- Rozumiem, że liczne - dodał Harry, który bez wątplenia doskonale się bawił. - Proszę mi powiedzieć, jak wielebny tłumaczył pojawienie się światła. O co podejrzewał markiza? Chyba nie o pogańskie orgie?

Beatrice spojrzała na niego z wyrzutem.

- Pan może nie wiedzieć, jaką reputację ma Sywell, ale potępiono go już ze wszystkim ambon w tym hrabstwie, tego jestem pewna. Podobno nigdy nie trzeźwieje... no i żadna kobieta nie była przy nim bezpieczna, przynajmniej do czasu, gdy się ożenił. Markiza była znacznie od niego młodsza i bardzo piękna, aczkolwiek nie przypominam sobie, bym widziała ją osobiście. Była adoptowaną córką rządcy markiza, wychowywaną przez macochę, będącą na posadzie guwernantki. Dlatego nie spotykała się z dziećmi ze wsi i nie chodziła do miejscowej szkoły. Na kilka lat wyjechała, prawdopodobnie sama przyjęła jakąś posadę, ale wróciła tutaj po śmierci swojego prawnego opiekuna. Wtedy markiz ją poślubił i zabrał do swojego domu. Potem już jej prawie nie widywano.

- To niegodziwość! - obruszył się Harry. - Rzecz wydaje się zupełnie oczywista. Markiz musiał popełnić jakieś łajdactwo.

- Bądź poważny, milordzie! - Beatrice przesłała mu wymowne spojrzenie. - Nawet nie wiemy jeszcze na pewno, czy ona znikła, a co dopiero mówić o morderstwie. Może po prostu pojechała do kogoś z wizytą.

- Gdyby tak było, markiz nie piekliłby się z powodu jej nieobecności, kiedy przyszedł wielebny Hartwell - powiedziała Oliwia. - Nie, nie, to jasne. On ją musiał zamordować. A ten wybuch gniewu miał zamaskować poczucie winy. Jestem pewna, że ją zabił!

- I pochował w nawiedzanej kaplicy dokładnie

o północy - podsunął Harry. - Na pewno zaczerpnął ten plan z powieści Fanny Burney!

- Pan kpi! - krzyknęła Beatrice i parsknęła śmiechem. - Mnie się *Ewelina* bardzo podobała. Gdyby powiedział pan, że z powieści pani Radcliffe... - Oczy figlarnie jej zabłyśły. - Ma pan rzeczywiście wyjątkowo pokrętne poczucie humoru. Dlaczego, milordzie, podsuwasz Oliwii takie niedorzeczności?

- Skąd możesz mieć pewność, że to niedorzeczności? - spytała Oliwia. - Sama słyszałaś krzyk, a potem widziałaś markiza pędzącego na koniu.

Beatrice zmarszczyła czoło. Tak poruszonej Oliwii jeszcze nie widziała. Historia zniknięcia młodej lady Sywell niezaprzeczalnie przemówiła do jej wyobraźni.

- Prawda jest taka, że ani ja, ani nikt z nas nie wie, co naprawdę zaszło. Myślę, że powinniśmy poczekać do wieczora i posłuchać, co ma do powiedzenia na ten temat wielebny Hartwell.

- Wspaniały pomysł - zapalił się Harry. - Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać.

- Czy na pewno czuje się pan już na tyle dobrze, aby wieczorem zasiąść z nami do stołu? - spytała Beatrice z udaną troską. - To kasłanie przed chwilą było bardzo bolesne dla mojego ucha. Może lepiej pójdiesz się położyć, milordzie, a ja polecę Bellowsowi, żeby natarł ci tors gęsim tłuszczem.

- O, nie. - Harry znowu kaszlnął, tym razem dwukrotnie. - Jeśli wolno, to napiję się trochę wybornej brandy, którą Bellows zamówił dla... dla nas i mam nadzieję, że starczy mi sił, aby zejść na obiad.

Beatrice przeszła go spojrzeniem, które mniej od-
pornego człowieka niechybnie zamieniłoby w kamień.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, czytajcie dalej -
powiedziała. - Ja nie będę mitrzyć czasu, jeśli mamy
dziś zjeść pożywny obiad.

Harry uśmiechnął się do niej tak, że szybko odwró-
ciła głowę. Cóż on sobie wyobraża, spoglądając na nią
w ten sposób? Przyjechał tutaj przekonać Oliwię do
małżeństwa, a nie przyprawiać o drżenie serca jej sio-
strę, starą pannę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ubrawszy się do obiadu, Beatrice zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Jej jedyna wizytowa suknia była żałośnie znoszona, a do tego niemodna. Obszycie nową wstążką i ozdobienie rąbka zieloną falbanką niewiele pomogło, w dodatku nie był to odcień korzystny dla cery.

Oliwia popatrzyła na siostrę i powiedziała:

- Mam więcej sukni, niż mi potrzeba, Beatrice. Powinnaś być pomyśleć o tym wcześniej. Może niektóre uda się przerobić tak, żeby na ciebie pasowały.

- Bardzo wątpię. - Beatrice parsknęła śmiechem. - Jesteś jak sylfida, a ja należę do osób zwanych kształtnymi. Nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia z powodu posiadania kilku ładnych sukien. Muszą ci przecież służyć bardzo długo.

- Wiem. Nie mam nic przeciwko temu, chciałabym tylko móc się nimi z tobą podzielić.

- Przerabianie ich byłoby zbyt trudne - uznała Beatrice. - Zresztą niedługo kupię materiał i na Boże Narodzenie uszyję sobie nową.

- Ech - westchnęła Oliwia. - Zdaje mi się, że żadna z nas nie będzie w najbliższej przyszłości potrzebować wielu modnych sukien.

- Czy jesteś z tego powodu bardzo nieszczęśliwa?
- Beatrice spojrzała zatroskana na siostrę. - Wiem, że brakuje ci dawnego towarzystwa, ale w okolicy mieszka kilka sympatycznych osób, które z czasem poznasz. Jest lady Sophia, jest Annabel Lett, wdowa z uroczą córeczką, i panna Robina Perceval. Ta ostatnia jest kuzynką proboszcza z Abbot Quincey, bardzo oddaną dziełu miłosierdzia i niezwykle życzliwą. Czasem bywa w naszej wsi i jeśli spotykamy się na ulicy, to rozmawiamy. Następnym razem zaproszę ją do nas na podwieczorek.

- Jestem pewna, że wkrótce znajdę nowe przyjaciółki - powiedziała Oliwia, choć w jej niebieskich oczach malowała się zaduma. - Nie martw się o mnie, Beatrice.
- Uśmiechnęła się i wzięła siostrę pod ramię. - Powinnyśmy już zejść. Wkrótce zjawią się goście...

- Nie rozumiem, dlaczego pan Hartwell uznał złożenie wizyty markizowi za dobry pomysł - powiedziała nieco później przy stole żona wielebnego. - Wszyscy wiedzą, co to za okropny człowiek...

Mąż spojrzał na nią z łagodnym wyrzutem.

- Czułem się w obowiązku spróbować, moja droga - wyjaśnił. - Sywell powinien pojednać się z Bogiem, zanim będzie za późno. Jako chrześcijański duchowny muszę spełniać moją posługę tak, jak ją rozumiem.

- Całkiem słusznie - powiedział Harry ze śmiertelnie poważną miną. - Powiedz mi, łaskawy panie, czy spodziewasz się rychłego zejścia markiza.

Beatrice spiorunowała go wzrokiem, po czym prze-

niosła spojrzenie na swoją przyjaciółkę, mademoiselle de Champlain.

- Powiedz mi, Ghislaine, jak układają się sprawy w szkole drogiej pani Guarding. Czy macie nowe uczennice?

Ghislaine była atrakcyjną kobietą zbliżającą się do trzydziestego roku życia, pełną wdzięku, lecz niezbyt urodziwą, jeśli nie liczyć pięknych, ciemnych oczu.

- Sama wiesz, Beatrice, jak tam jest. Jedne przychodzą, inne odchodzą - odparła. - Po świętach Bożego Narodzenia ma wstąpić do szkoły kilka panien i będziemy potrzebowały nowej nauczycielki dla najmłodszych. Czy zastanawiałaś się może nad powrotem?

- Ostatnio nie bardzo - odrzekła Beatrice. Zauważyła, że lord Ravensden bacznie jej się przygląda. - Ale jak wiesz, mam takie plany, pod warunkiem, że papa mógłby obejść się beze mnie. - Spojrzała na ojca, pochłaniającego kawał wołowiny z entuzjazmem człowieka, który nie jadł czegoś równie pysznego od bardzo, bardzo dawna.

- Co to jest, Beatrice? - zwrócił się pan Roade do córki. - Jaka wyborna wołowina, moja droga. Przeszłyście z Nan same siebie... Naturalnie możesz odwiedzać mademoiselle de Champlain, kiedy tylko chcesz. No i zaproś ją do nas na Boże Narodzenie. Czemu by nie? Zawsze miło mi widzieć twoje przyjaciółki. - Rozpromieniony zatonął we własnych myślach.

Beatrice zamierzała wrócić do tematu, ale Oliwia ją uprzedziła.

- Czy markiz naprawdę powiedział panu, że jego żona wyjechała? - spytała wielebnego.

Wielebny Hartwell spojrział na nią z należąca powagą. Ten czterdziestokilkuletni mężczyzna z przerzedzonymi włosami i piwnymi oczami zdawał sobie sprawę ze swojej eksponowanej pozycji w wiejskiej społeczności. Świat był pełen grzeszników, a on znał swój obowiązek. Nie mógł pozwolić, by posądzano go o zaniedbywanie duchowego zdrowia parafian, nawet owianych tak złą sławą jak markiz Sywell.

- Nie pytam, skąd pochodzi ta wiadomość, panno Oliwio. Źle się stało, że Mary Ekins podsłuchiwała moją rozmowę z panią Hartwell... obawiam się jednak, że plotki nie da się już zatrzymać. To prawda, wszystko wskazuje na to, że lady Sywell opuściła męża. Nikt nie widział jej od miesięcy...

- Dlaczego miałyby to zrobić, sir? - Niebieskie oczy Oliwii były wielkie i niewinne, a pytanie zostało zadane tonem uczennicy. Pan Hartwell natychmiast poczuł sympatię do panny Oliwii. - Czy to możliwe, że markiz był dla niej niedobry?

- Jak mogłoby być inaczej? - odrzekł wielebny i smutno pokiwał głową. - To małżeństwo od początku było skazane na niepowodzenie. Sywell przynosi hańbę swojej klasie, panno Oliwio. Powiedziałbym nawet, że hańbi cały ludzki rodzaj. Jestem daleki od potępiania bliźniego, ale zachował się w stosunku do mnie piekielnie nieelegancko. Nazwał mnie nudnym i wścibskim natrętem, i jeszcze... no nie, takie wyrażenia nie są odpowiednie dla uszu młodych dam.

- Z pewnością nie, panie Hartwell - przytaknęła jego żona i życzliwie uśmiechnęła się do Oliwii. - Po-

wiedz, proszę, czy przyjechałaś w rodzinne strony wziąć ślub.

- Nie... - Oliwia spaśowała. - To znaczy....

- Panna Oliwia nie jest jeszcze pewna, czy przyjmie moje oświadczyzny - wyjaśnił Harry. - Przyjechałem błagać ją na kolanach, ale na razie nie dała mi odpowiedzi.

- Zdawało mi się, że oświadczyzny były ogłoszone w *Timesie*. - Pani Hartwell spojrzała na niego zaskoczona.

- To była omyłka w druku - odrzekł bez wahania Harry. - Postawiła pannę Oliwię w bardzo kłopotliwej sytuacji. Rozważam nawet pozwanie redakcji.

- Jeśli tylko z mojego powodu, to stanowczo proszę tego nie robić. - Oliwia wydała zduszony chichot, ale zamaskowała go przytknięciem chusteczki do ust. Spojrzała rozbawiona na Ravensdena. - Omyłki się zdarzają ponieważ w ogóle nie mam zamiaru wyjść za mąż, kłopot nie jest aż tak wielki.

- Nie zamierzasz wyjść za mąż? - Pan Hartwell wydawał się wstrząśnięty. - Zawarcie małżeństwa jest z pewnością twoim obowiązkiem, moje dziecko, czyż nie? Wszak właśnie taki cel ma kobieta na tym świecie, to powód, dla którego została stworzona.

- Och, z pewnością... - Beatrice ugryzła się w język, przypomniała sobie bowiem, że wielebny jest jej gościem, więc zasady grzeczności nie pozwalają jej wdawać się w spór.

- Chciała pani wyrazić inne zdanie? - włączył się do rozmowy Harry. - Przypuszczalnie uważa pani, że ko-

bieta może realizować również inne cele poza tworzeniem rodziny.

- Moim zdaniem kobieta sama powinna decydować o tym, czy chce wyjść za mąż - powiedziała Beatrice, mierząc go surowym spojrzeniem. - Nie chcę jednak sprzeczać się z naszym gościem, którego opinia naturalnie zasługuje na szacunek.

- Właśnie... - Pan Roade potoczył po zebranych promiennym spojrzeniem. - Czy będziemy mogli skosztować dziś wieczorem jednej z twoich wybornych kiełbas, Beatrice?

- Tak, papo. Zaraz zadzwonię na Lily...

Wstała i podeszła do kredensu, po drodze zerkając na lorda Ravensdena. Ten uniósł brwi, ale odpowiedziała mu jedynie dezaprobującym ruchem głowy. To był wyjątkowo irytujący mężczyzna, postanowiła jednak, że nie pozwoli się sprowokować. Będzie miała dość czasu, by wygarnąć mu wszystko, gdy goście już pójdą!

- No cóż... - zaczęła Oliwia, gdy później tego samego wieczoru zostały same w salonie po odejściu gości. Pan Roade i Nan udali się na spoczynek, zostawiając troje młodych, aby mogli swobodnie porozmawiać. - Dla mnie sprawa jest oczywista. Lady Sywell nie widziano od wieków. Możecie być pewni, że mąż trzymał ją w opactwie przemocą, a w końcu zabił i teraz udaje, bo chce, żeby ludzie uwierzyli w jej ucieczkę.

- Opiera się pani na tym, że Beatrice słyszała krzyk, przechodząc przez grunty opactwa - domyślił się Harry, w zadumie kiwając głową. Wydawał się nieświadomy

faktu, że użył jej imienia, a Beatrice nie chciała mu na to zwracać uwagi. - Proszę to rozważyć od innej strony. Markizy nie widziano od miesiący, tymczasem Beatrice słyszała krzyk kilka tygodni temu. A może lady Sywell uznała swoją sytuację za niedopuszczalną i uciekła wkrótce po ślubie.

- Ktoś by ją widział - powiedziała Oliwia. - Poza tym mam przeczucie... - Wzdrygnęła się i przybrała posepną minę. Wielka aktorka Sara Siddons nie odegrałaby tego lepiej. - Jestem przekonana, że markiz Sywell zabił swoją żonę, a jej ciało pochował po kryjomu.

Beatrice zmarszczyła czoło, znów bowiem przypomniała sobie spotkanie z markizem, który wydał jej się wtedy bliski szaleństwa. Domniemanie Oliwii mogło okazać się prawdziwe. Ten człowiek z pewnością był brutalem, którego nic i nikt nie obchodzi.

- Nawet jeśli masz rację... Nie wiem, jak można by tego dowieść.

- Musimy znaleźć jej grób - odrzekła Oliwia z wyrazem determinacji w oczach. - Jeśli ją zabił, to musi być pochowana w opactwie.

- Albo w zburzonej kaplicy - podsunął Harry, czym zasłużył sobie na karcące spojrzenia obu siostr. - Proszę o wybaczenie. Z pewnością ma pani słuszność, panno Oliwio.

- Nie możemy szukać jej grobu - sprzeciwiła się Beatrice. - Grunty opactwa stanowią prywatną własność.

- Nie powstrzymało to pani przed skorzystaniem ze skrótu. - Harry uśmiechnął się z satysfakcją, by po

chwili skrzyżować ramiona i przybrać bardzo skruszoną minę. - Ale ten fakt przemilczę. Co pani proponuje, panno Roade? Czy mamy wezwać przedstawicieli władzy i zażądać natychmiastowego aresztowania Sywella?

- Powiedziałam ci, że jego lordowska mość niczego nie traktuje poważnie - zwróciła się Oliwia do siostry, dość mocno poirytowana. - Jak mogłabym poślubić kogoś takiego?

- Nie mogłabyś, rzecz jasna - odrzekła Beatrice i zgromiła Harry'ego wzrokiem. - Jeśli nie ma pan niczego rozsądnego do zaproponowania, to może położy się spać. Jest pan zmęczony i potrzebuje odpoczynku. Czy mam przysłać na górę Bellowsa z termoforem?

- Wolałbym dużą brandy - odparł Harry. - Dobrze, zostawię tu panie, będziecie mogły opracować plan kampanii. Lepiej znacie teren niż ja, więc zastosuję się do waszych poleceń. Sądzę, że będziemy musieli prowadzić poszukiwania nocami. Gdyby zobaczono nas za dnia, mogłaby powstać niezręczna sytuacja. Chyba że to tylko niepotrzebna obiekcja?

- Proszę iść już do łóżka - surowo poleciła Beatrice. - Porozmawiamy jutro rano.

- Dobrze, panno Roade. Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. - Harry uśmiechnął się do sióstr i opuścił pokój.

Beatrice spojrzała na Oliwię i wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację, moja droga - powiedziała. - On jest



nieznośny. Sądzę, że żadna rozsądna kobieta nie chciałaby go poślubić.

- Pewnie nie - odparła w zadumie Oliwia. - Dla właściwej kobiety mógłby być całkiem znośnym mężem. Ma mnóstwo uroku, nie sądzisz?

Beatrice odwróciła się do kominka, żeby sprawdzić, czy przegroda jest na swoim miejscu.

- Tak - przyznała. - Ma swoisty urok i w określonych okolicznościach kobieta zachowałaby się całkiem rozsądnie, przyjmując jego oświadczyzny. Chodźmy na górę, Oliwio. Musimy obie przespać się z tym problemem, a rano postanowimy, co zrobić.

Rozbierając się, Harry miał na twarzy uśmiech. Pobyt w Northamptonshire stawał się coraz bardziej zajmujący. Jego poczucie humoru kazało mu podchwycić absurdalną sugestię Oliwii, choć rozsądek mówił mu jednocześnie, że z pewnością nie znajdą żadnego grobu, chyba że światła w lesie miały jednak bardziej złowieszcze znaczenie, niż początkowo przypuszczał.

W zasadzie było całkiem możliwe, że gdzieś na terenie opactwa pogrzebano kobietę. To nie była przyjemna wizja i Harry wolałby przed zaśnięciem myśleć o czym innym.

Zaczął więc dumać nad kobietą, którą zostawił w salonie. Co w niej zaczynało go fascynować? O wiele za bardzo, by mógł zachować spokój ducha.

Sącząc brandy, przyniesioną przez Bellowsa, zastanawiał się dalej. A jeśli Oliwia będzie uparcie mu od-

mawiać? Westchnął. Sytuacja była niezręczna, nie akceptował jej ani trochę. Musiał znaleźć rozwiązanie, które byłoby zadowalające dla wszystkich.

Dlaczego sen nie chce przyjść? Beatrice przewracała się z boku na bok, ale poduszka wydawała jej się okropnie nierówna. Musiała zachowywać się dość głośno, bo Oliwia na chwilę się ocknęła, na szczęście zaraz potem zasnęła znowu.

To na nic! Jeszcze tylko tego brakowało, żeby na dobre zbudzić Oliwię. Beatrice ostrożnie wysunęła się z pościeli, otuliła szlafrokiem i wyszła z pokoju. Zazwyczaj zasypiała bez trudu, teraz jednak nic nie było zwyczajne. Przyjazd lorda Ravensdena przewrócił całe życie w ich domu do góry nogami. Czasem Beatrice zastanawiała się nawet, czy jeszcze kiedyś wszystko wróci do poprzedniego stanu.

W dodatku dręczyła ją teraz zagadka zniknięcia młodej markizy. Dokąd wyjechała? Czy naprawdę została zamordowana przez okrutnego męża, czy po prostu uciekła?

Znalazłszy się w kuchni, nalała sobie kieliszek wina, a potem dostrzegła owoce w cukrze, które zostały po obiedzie, i poczęstowała się dwoma. Były pyszne. Oblizła resztki cukru z palców i zrobiło jej się przykro, że skrzyczała lorda Ravensdena za zrobienie zakupów. Co za nieznośny człowiek...

Jak to się stało, że ktoś taki robi na niej wrażenie? Ciągle miała ochotę odpowiadać mu zjadliwymi ripostami, a mimo to cieszyła się, gdy go widziała.

Przez głowę przemknęła jej pewna myśl, lecz natychmiast ją odpędziła. To niemożliwe! Niemożliwe, żeby miała do niego słabość. Takie wytłumaczenie było nie do przyjęcia! Zwłaszcza po tym, co ostatnio mówiła o nim Oliwia. Z tego bowiem należało wnioskować, że zaczyna ona rozważać zmianę decyzji.

Beatrice odwróciła głowę, bo drzwi kuchni się otworzyły. I nagle serce szybciej jej zabiło, ujrzała bowiem lorda Ravensdena stojącego boso na progu, odzianego w jedwabny szlafrok. Pod tym modnym okryciem prawdopodobnie był nagi, tak jak wtedy, gdy obmywała go podczas choroby.

Zarumieniła się. Powinna się wstydzić takich myśli!

- A więc i pani nie mogła zasnąć - powiedział Harry. - Czy mogę się przysiąść?

- Tak, naturalnie. - Taca z brandy i kieliszki stały na stole obok resztek orzechów i słodyczy. - Brandy pomaga na sen, a ta jest bardzo stara i dobra.

- Cieszę się, że pani ją docenia - rzekł Harry. Boże! Czy ona ma pojęcie, jak pociągająco wygląda w tym szlafroku? Dobrze jej w tym kolorze. Powinna zawsze nosić stroje w odcieniach szmaragdów. - Czy można?
- Nie spuszczać z niej wzroku, nalał brandy do kieliszka i ogrzał go w dłoniach. - Czy pani zdaniem Oliwia mówiła poważnie o poszukiwaniach grobu lady Sywell?

- Tak sądzę - odrzekła Beatrice, marszcząc czoło. Zdawała sobie sprawę z fluidów, które przepływają między nimi. Zauważyła to już dość dawno, dotąd jednak starała się je ignorować. Łatwiej jednak było o to

w towarzystwie, niż kiedy znajdowali się sam na sam, w dodatku niekompletnie ubrani. - Nie jestem pewna słuszności jej podejrzeń, ale myślę, że nie zaszkodziłoby się rozejrzeć.

- A jeśli jakimś dziwnym trafem znajdziemy ten grób?

- Wtedy powinniśmy wezwać policję, lordzie Ravensden. To byłaby straszna zbrodnia i sprawcę należałoby ukarać. Czyżby się pan z tym nie zgadzał?

- Pani oczy w tym świetle wyglądają jak szmaragdy - powiedział Harry. - Nigdy nie widziałem kobiety z oczami w takim odcieniu, Beatrice.

Znowu! Znowu wypowiedział jej imię.

- Nie powinien pan prawić mi takich komplementów, milordzie. Nie wypada.

- Nie wypada również, żebyśmy tutaj razem siedzieli - zauważył Harry z zapierającym dech uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie zamierza odesłać mnie pani do pokoju. - Beatrice pokręciła głową. Powinna natychmiast sama wyjść z kuchni, ale wcale tego nie chciała.

- Myślę, że przekroczyliśmy granice grzecznościowej konwersacji. Jest pani piękną kobietą, dlaczego udajesz starą pannę?

- Skończyłam dwadzieścia trzy lata, sir. Nie mam posagu i zniechęciłam do siebie wszystkich wdowców, którzy widzieli we mnie dobrą kandydatkę na matkę ich osieroconych dzieci. Po co miałabym się stroić w krzykliwe suknie?

- To doprawdy zbrodnia, że nosisz szarości i brązy, skoro najlepiej ci w zielonym... a może w granato-

wym... - zastanawiał się Harry. - W każdym razie powinnaś nosić intensywne odcienie.

- Proszę być przez chwilę poważny, milordzie.

- Jestem wcieleniem powagi - odparł Harry i zrobił zabawną minę. - Czy musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie? Dla tych, których darzę miłością i zaufaniem, jestem Ravensdenem albo Harrym.

- Na przykład dla Merry i lorda Dawlisha? - spytała, patrząc mu w oczy. Wstrzymała oddech, zobaczyła w nich bowiem pragnienie.

- I jeszcze kilku innych osób. Może kiedyś również dla ciebie, Beatrice.

- Gdy poślubi pan Oliwię? - Jej oczy przybrały wyzywający wyraz. - Zamierza pan ponownie jej się oświadczyć, prawda?

- Chyba muszę - odparł Harry. - Wpadliśmy w ładne tarapaty, Beatrice, nie sądzisz? Nie myłę się, przypuszczając, że coś do mnie czujesz...

Ta rozmowa w ogóle nie powinna się odbywać! Nie miała najmniejszego sensu. Beatrice nie wiedziała, czy Ravensden chce ją mieć za kochankę, czy... No nie, to nie wchodziło w grę. Bądź co bądź, był narzeczonym Oliwii i należało się spodziewać, że siostra w końcu dojrzeje do tej roli.

- Powinam iść...

Wstała, ale Harry zrobił to samo. Chwycił ją za nadgarstek, zmuszając, by na niego spojrzała.

- Naprawdę muszę już iść...

Nie udało jej się to jednak, bo nagle znalazła się w jego ramionach. Ogarnęło ją ciepło męskiego ciała. Przez

chwilę patrzył jej w oczy, a potem pochylił się i dotknął jej warg. Początkowo pocałunek był delikatny, stopniowo jednak, nie bez udziału Beatrice, stawał się coraz głębszy i coraz bardziej namiętny.

I nagle, gdy Beatrice już obawiała się, że zemdleje z rozkoszy, Harry cofnął usta i rozchylił ramiona. Na twarzy malowało mu się widoczne cierpienie. Czyżby tak bardzo jej pragnął? Jeszcze żaden mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób.

- Wybacz mi - szepnął chrapliwie. - Nie mam prawa tego robić, nie mam najmniejszego prawa.

- Ani ja nie mam prawa panu na to pozwalać. Oboje wiemy, że ma pan zobowiązania wobec Oliwii. Lubisz ją, a ona bardzo dobrze nadaje się na pańską żonę. Potrzebuje pan damy, a ja nawet nie bywam w towarzystwie. Jestem zwykłą i bardzo przeciętną panną ze wsi, nie umiem niczego, co jest potrzebne w wielkim świecie.

- Jakby to miało znaczenie... Chyba nie myślisz tak naprawdę, Beatrice?

- Sama nie wiem, co myśleć - odrzekła. - Proszę, milordzie, pozwól mi już iść. Muszę wrócić do siostry. Dłuższe pozostawanie tutaj mogłoby okazać się dla nas niebezpieczne.

- Harry... Proszę cię, chcę usłyszeć chociaż raz, jak wymawiasz moje imię.

Po dłuższej chwili Beatrice powiedziała, czując bolesne ukłucie w sercu:

- Harry... A teraz puść mnie, mój drogi. Sam wiesz, że to jest wysoce niestosowne, prawda?

- Tak. - Cofnął się, a gdy spojrzął na nią, miał nieprzeniknioną minę. - Gdybyś nie była siostrą Oliwii, może znalazłbym jakiś sposób, ale tak... to jest zupełnie niemożliwe.

Beatrice szybko się odwróciła, żeby nie zauważył, jaką przykrość sprawiły jej te słowa. A więc Ravensden chciał ją mieć właśnie za kochankę, a nie za żonę. Zatem dobrze się stało, że siostrzane uczucie nie pozwoliłoby jej zagarnąć narzeczonego Oliwii.

Szybko wyszła z kuchni, żeby nie postąpić bardzo nierozsądnie. Wbiegła na schody z myślą, że sama jest sobie winna, bo pozwoliła Ravensdenowi na zbyt wiele. Musiał pomyśleć o niej, że jest rozwiązła.

Dumnie unosząc głowę, walczyła ze łzami cisnącymi jej się do oczu. Nie miała gdzie pobyć w samotności, a poza tym powtarzała sobie, że nie wolno jej płakać z takiego powodu. Czyż nie dostała bolesnej lekcji, gdy była jeszcze naiwną młodką?

Wyglądało na to, że wszyscy mężczyźni są jednako- wi. Wykorzystują te kobiety, które są dostatecznie nierozsądne, by oddać im swoje serca i ciała, a żenią się z niewinnymi pannami, zwłaszcza tymi, które dziedziczą pokaźne majątki.

W przyszłości będzie lepiej się pilnować. Tego wieczoru czujność ją zawiodła, ale to nie mogło się powtórzyć.

Beatrice obserwowała siostrę, która śmiała się weso- ło z czegoś, co powiedział Ravensden. Zmiana, jaka w niej zaszła przez ostatnie dwa dni, graniczyła z cu-

dem. Zniknięcie markizy rozbudziło wyobraźnię Oliwii, a ponieważ lord Ravensden zdawał się okazywać jej niemałą wyrozumiałość, dziewczyna czuła się w jego towarzystwie coraz śmielej. Jeśli nawet z nim nie flirtowała, to w każdym razie gawędziła jak z dobrym znajomym.

Naturalnie w Londynie podczas sezonu z pewnością rozmawiali wiele razy. Beatrice poznała siostrę trochę lepiej i wiedziała już, że Oliwia musiała bardzo lubić Harry'ego Ravensdena, bo inaczej nigdy nie przyjęłaby jego oświadczeń. Złośliwie plotki o zaręczynach głęboko Oliwię uraziły. Teraz jednak, gdy zrozumiała, że Harry powiedział znacznie mniej, niż mu przypisano, a w dodatku darzy ją szczerym poważaniem, najwyraźniej wszystko mu przebaczyła.

Beatrice spędzała z nimi czas, nie zawsze jednak była w odpowiednim nastroju, by włączać się do słownej szermierki. Starła się zachować dystans, często więc wymawiała się od towarzystwa, powołując się na liczne obowiązki. W piątek i sobotę sprzątała kredens z obrusami oraz spiżarnię z takim zapamiętaniem, że Nan i Lily przyglądały jej się z najwyższym zdumieniem, a biedna Ida zamknęła się w służbówce i wyszła stamtąd dopiero na specjalną prośbę.

W niedzielę rano Beatrice pozwoliła się jednak namówić na pójście do kościoła z siostrą i lordem Ravensdenem, a w drodze do domu ni stąd, ni zowąd znalazła się obok Harry'ego. Po nabożeństwie lady Sophia, córka siwowłosego, bardzo dystyngowanego earla

Yardleya, podeszła do Oliwii, chcąc ją poznać, i obie wdały się w rozmowę.

Beatrice bardzo się ucieszyła, że córka earla tak życzliwie odnosi się do jej siostry, i celowo szybko odeszła, żeby obu pannom nikt nie przeszkadzał. Zaraz potem dołączył do niej lord Ravensden.

- Ostatnio jest pani bardzo zajęta - odezwał się. - Powiem więc, że tymczasem opracowaliśmy z Oliwią plan działania.

- Czy naprawdę chce pan się w to angażować? - Beatrice spojrzała mu w oczy, ale szybko odwróciła głowę, odniosła bowiem wrażenie, że widzi w nich wyrzut.

- Czemu nie? Nikomu to chyba nie szkodzi. Poza tym Oliwia jest bardzo zdecydowana. Obawiam się, że gdybyśmy odmówili jej pomocy, rozpoczęłaby poszukiwania na własną rękę. A jeśli, nie daj Boże, w plotkach jest ziarno prawdy, mogłaby narazić się na niebezpieczeństwo.

Beatrice przeszył zimny dreszcz.

- Ma pan rację, milordzie. Wcale nie wykluczałabym stanowczo tego, że markiz zabił żonę i pogrzebał jej ciało... Ludzie zaczynają snuć różne domysły. Wczoraj zaniósłam chleb na farmę Ekinsów i tam usłyszałam, że markizy rzeczywiście nikt od miesiący nie widział.

- A więc mogła zostać zamordowana - powiedział Harry, marszcząc czoło. - Taka ewentualność wcale mi się nie podoba. A pani?

- Mnie też nie - przyznała Beatrice. - Gdyby ona

zginęła z rąk męża, byłoby to wyjątkowo okrutne i ohydne.

Harry skinął głową. Wyraz twarzy miał niesłuchanie posępny.

- Tak. Spodziewam się, że nie chciałaby pani, aby sprawca uniknął kary.

- Z pewnością nie. Co postanowiliście z Oliwią?

- Powinniśmy za dnia na zmianę przeszukiwać teren opactwa. Czasem Oliwia i ja, czasem panie we dwie, a niekiedy... - Spojrzał na nią smutno. —Czy zniosłaby pani moje towarzystwo? Nie wątpię, że jesteś na mnie zła z powodu mojego nieprzemyślanego zachowania kilka wieczorów temu.

- Zła... - Och, gdyby wiedział, jak bardzo tęskniła, żeby znów poczuć smak takiego pocałunku! Nie. Nie wolno jej o tym myśleć. Lord Ravensden był dla niej owocem zakazanym. Na wszelki wypadek nie patrzyła na niego, gdy zapewniała bez przekonania: - Wcale nie jestem zła, milordzie.

- Beatrice, przecież wiesz, że... - Harry urwał. - Do licha! Nie wierzę własnym oczom. Toż to kariolka Percy'ego. Poznałbym ją wszędzie. Co on, na Boga, tutaj robi?

Beatrice zerknęła w stronę domu i zauważyła na podjeździe elegancki powozik z wielkimi żółtymi kołami. Mężczyzna stojący obok niego zaczął gwałtownie wymachiwać ku nim ramionami. Wielkie nieba! Co on miał na sobie? Surdut był zupełnie zwyczajny, z niebieskiego, bardzo dobrego sukna, skrojony idealnie na miarę dość przysadzistego właściciela, za to spod spodu

wyglądała kamizelka w żółto-czarne pasy, a halsztuk był tak ekstrawagancko wysoki, że mężczyźnie z pewnością trudno było obrócić głowę!

- Niech mnie kule biją! - wykrzyknął lord Dawlish i ruszył ku nim wielkimi krokami z wyrazem ulgi i radości na twarzy. - A więc znalazłeś się, Harry, cały i zdrowy. Wiedziałem, że tak będzie, a Merry upierała się, że zachorowałeś.

Harry plasnął się w czoło.

- Ojej, obiecałem jej towarzyszyć na bal u lady Melchit. Ona mi nigdy tego nie wybaczy. Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Już sobie wyobraziła, że leżysz na łożu śmierci - powiedział oburzony Percy. - Kazała mi tutaj przyjechać, taki szmat drogi.

- Prawdę mówiąc, miała rację - odrzekł Harry, przesyłając Percy'emu ciepły uśmiech. Dawlisha nie trzeba było długo namawiać do czynu, gdy uważał, że przyjaciel jest w potrzebie. - Gdyby nie panna Roade, mógłbym nawet umrzeć.

- No nie mów! Czy to znaczy, że Merry miała rację? - Percy wytrzeszczył na niego oczy. - Niesamowite. Byłem pewien, że to niedorzeczność, ale skoro tak twierdzisz... Muszę przyznać, że nie wyglądasz najlepiej. W każdym razie Merry nie dałaby mi spokoju, gdybym cię nie odszukał. Twój służący powiedział, że wyjechałeś, ale nie chciał zdradzić dokąd, a musisz wiedzieć, że po Londynie krążą w tej sprawie plotki. Jest tam teraz ten Quindon, wydaje się niezmiernie z siebie zadowolony. Podejrzewam, że chciałby zostać

twoim spadkobiercą. A ludzie snują domysły, gdzie się podziałeś tak bez słowa, wspominają o samobójstwie i wymyślają różne podobne bzdury. Naturalnie nie uwierzyłem im ani przez chwilę, ale dopiero Merry odgadła, że mogłeś przyjechać właśnie tutaj.

- Bardzo rozsądnie postąpiłeś, nie dając wiary głupim plotkom, no i masz bardzo mądrą żonę - powiedział Harry i szlemowsko się uśmiechnął. - Ale nie poznałeś jeszcze panny Roade... Beatrice, to jest mój najlepszy przyjaciel, Percy Dawlish. Chyba wspomniałem pani i o nim, i o jego żonie Merry? Percy, poznaj, proszę, damę, która uratowała mi życie.

- Nic takiego się nie zdarzyło - zastrzegła się Beatrice. - Lorda Ravensdena pielęgnowała naturalnie moja ciotka. Ja tylko posłałam po doktora.

- Och, naturalnie, zapomniałem, jak to było. To pani Willow pielęgnowała mnie w chorobie. - Harry'emu zabłyśły oczy. - Byłoby wyjątkowo niestosowne, gdyby właśnie na panią spadł ten obowiązek, Beatrice.

- Chyba tak. - Percy popatrzył dość niepewnie na jedno, potem na drugie. Panna Roade nie wyglądała tak jak młode damy, z którymi zwykle flirtował Harry, ale niewątpliwie coś między nimi zaszło. Wystarczyło tylko się im przyjrzeć, by zauważyć nić porozumienia. - Miło mi panią poznać, panno Roade. Muszę serdecznie podziękować pani, a może owej pani Willow... Merry byłaby załamana, gdyby cokolwiek się stało temu tutaj hultajowi. Ona go bardzo lubi, chociaż twierdzi też, że Harry potrafi być wyjątkowo uciążliwą osobą.

Beatrice wybuchnęła śmiechem. Natychmiast polu-

biła tego człowieka, który niewątpliwie darzył lorda Ravensdena wielkim przywiązaniem. Zapomniała nawet o strapieniu, które dręczyło ją przez ostatnie dni.

- Zawsze się cieszę, gdy mogę poznać przyjaciela lorda Ravensdena - powiedziała. - Zwłaszcza takiego, który zdaje się znać go doskonale.

- No wie pani, Beatrice. - Harry spojrzał na nią z wyrzutem. Miał zamiar powiedzieć więcej, ale w tej chwili podeszła do nich Oliwia. - Percy, Oliwię naturalnie znasz.

- Naturalnie. To prawdziwa radość dla moich oczu, tak pięknie pani wygląda, panno Roade Burton.

- Panno Oliwio, jeśli wolno prosić. Nie chcę teraz używać nazwiska moich przybranych rodziców.

- Oczywiście. - Percy trochę stracił kontenans. - To bardzo niezręczna sytuacja. Nie mam pojęcia, co naszło Burtona, że tak postąpił.

- Nie ma w tej sytuacji nic niezręcznego - odparł Harry, zanim Oliwia zdążyła otworzyć usta. - To zwykłe nieporozumienie, Percy. Wszystko się ułoży, potrzeba tylko czasu.

Oliwia chciała coś powiedzieć, ale chyba zmieniła zdanie, gdy Beatrice nieznacznie pokręciła głową.

- Czy zje pan z nami obiad, lordzie Dawlish? - spytała Beatrice i obdarzyła go pięknym uśmiechem. - W niedzielę jadamy zwykle o wpół do szóstej. Wcześniej, dobrze o tym wiem, ale takie zwyczaje panują na wsi.

- Z przyjemnością przyjmę zaproszenie - odrzekł Percy. - Widziałem po drodze z Northampton przy-

zwoity zajazd. Czy sądzi pani, że znajdę tam gościnę na kilka dni?

- Kilka dni, Percy? - Harry przeszył go bezlitosnym spojrzeniem. - Co ty mówisz? Jak ty to wytrzymasz? W Northampton?! Przyjacielu, czy Merry nie będzie się o ciebie martwić?

- Zaraz wyślę do niej liścik, że wszystko jest w najlepszym porządku. Myślę, że zatrzymam się tutaj na dzień lub dwa, muszę przecież przekonać się, czy naprawdę odzyskałeś już siły.

- Czy możesz w to wątpić, skoro jestem w rękach oddanych przyjaciół? - Harry uśmiechnął się szeroko.

- Ty zawsze i wszędzie węszysz tajemnicę, Percy. Zobaczysz, któregoś dnia ciekawość zaprowadzi cię prosto do piekła. Ale jeśli chcesz tu zostać, to nawet możesz się przydać. We czworo szybciej odnajdziemy grób, naturalnie jeśli jest co znaleźć.

- Grób... - Percy otworzył usta ze zdumienia. - No nie, Harry. Nie przesadzaj, przyjacielu. Co ty znowu knujesz? Chętnie ci pomogę, nawet ryzykując życie, ale dobrze wiesz, że nie znoszę zagadkowej gadaniny.

- Usiłujemy stwierdzić, czy w pobliskim opactwie nie doszło do haniebnych wydarzeń - wyjaśnił Harry, gdy wszyscy razem ruszyli za Beatrice w stronę domu.

- Nie łamiemy prawa, Percy, musimy tylko trochę pochodzić po cudzych gruntach.

- Podejrzewamy, że markiza Sywell mogła zostać zamordowana - powiedziała Oliwia. - Proszę opowiedzieć o tym lordowi Dawlishowi.

- Natychmiast, moja droga. - Harry uśmiechnął się.

- Rzecz ma się następująco, Percy. Młoda kobieta zaginęła w niejasnych okolicznościach. Istnieje możliwość, że ją zamordowano...

- A ciało pochowano na terenie opactwa - wtrąciła zniecierpliwiona Oliwia. - Dlatego wszyscy będziemy szukać śladów jej grobu.

- Zaginęła... - Percy wydawał się zdezorientowany.
- Nie całkiem nadażam.

- Zapraszam na kieliszek sherry - powiedziała Beatrice, wprowadzając towarzystwo do salonu. - Markiz Sywell ma bardzo złą reputację. Przed rokiem poślubił pannę pochodzącą ze znacznie niższych sfer, ale od miesięcy nikt jej nie widział.

- Lady Sophia powiedziała mi, że markiza Sywell wcale nie szukała towarzystwa - znów wtrąciła się Oliwia. - I słyszała też, że markiza znikła już przed kilkoma miesiącami.

- Sywell. - Percy zmarszczył czoło. - Znam go. To bardzo nieprzyjemny człowiek. Raz złapałem go na oszustwie przy grze w karty, potem naturalnie już nigdy nie graliśmy.

- Wyzwałeś go? - spytał Harry.

- Nie było o co, staruszk. Straciłem tylko kilka gwinei. To przykre nazywać kogoś oszustem. Naturalnie nie mam dowodu oprócz głębokiego przekonania, że nie grał uczciwie. - Percy pokręcił głową. - To jest człowiek zdolny do wszystkiego. Coś trzeba z tym zrobić, do diabła! Nie można pozwolić, żeby uszło mu to płazem. To nie zabawa.

- Właśnie staramy się dojść prawdy - powiedziała

z uśmiechem Oliwia. - Czy zechce pan nam pomóc? - Przechyliła głowę i zrobiła tak wdzięczną minę, że Percy się zaczerwienił. - Naturalnie ani Beatrice, ani ja nie możemy szukać same... gdyby więc zechciał mi pan towarzyszyć, Harry mógłby roztoczyć opiekę nad moją siostrą.

Percy był oddany bez reszty lady Dawlish, ale nie czyniło go to całkiem odpornym na wyrazy zainteresowania urodziwych młodych dam.

- Będzie mi bardzo miło, moja droga panno. Naturalnie za nic nie puściłbym pani samej. Jeśli ten łajdak kręci się w pobliżu, musi pani mieć towarzysza, który będzie pilnował, by nic złego się nie stało. Jestem do usług.

- Dziękuję. Wiedziałam, że mnie pan nie zawiedzie - rzekła Oliwia i w nagrodę za tę intrygę została obdarzona przez Harry'ego żartobliwym uśmiechem.

Beatrice była zaskoczona, odkrywszy towarzyskie obycie swojej siostry. Oliwia wcale nie była taka bezbronna ani niewinna, jak jej się początkowo zdawało. Zerknęła na Harry'ego, który bardzo niestosownie do niej mrugnął.

- Wobec tego będę pilnował panny Beatrice - powiedział, wyraźnie usatysfakcjonowany rozwojem wydarzeń. - Kiedy przystępujemy do poszukiwań?

- Rano - odparła Beatrice. - W niedzielę nie ma to sensu. Zresztą muszę zająć się przygotowaniem obiadu. Tymczasem każę podać wino i ciastka, żeby można było trochę oszukać głód.

Zobaczyła, że lord Dawlish mierzy zdziwionym

spojrzeniem Harry'ego - teraz nie mogła już o nim myśleć inaczej, skoro kazał jej zwracać się do siebie po imieniu! - a potem odchodzi, uśmiechając się pod nosem. Bez wątpienia przyjaciel Harry'ego uznał, że znalazł się w bardzo osobliwym domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Beatrice siedziała przy oknie w pokoju, który dzieliła z Oliwią, i wpatrywała się w mrok. Siostra spała, ona jednak nie mogła znaleźć dość spokoju, by zasnąć, a bała się zejść w szlafroku do kuchni, pamiętała bowiem o gościu.

Księżycowy blask objął świat; trawniki, drzewa i żywopłoty mieniły się srebrzyście. Beatrice nie mogła przestać myśleć o wieczorze, który dobiegł końca, i o tym, jak przyjemnie jest gościć zabawne towarzystwo. I lord Dawlish, i Harry mieli duże poczucie humoru, naturalnie każdy na swój sposób, powoli zaczynała jednak rozumieć, że Harry jest o wiele bardziej złożonym człowiekiem, niż zdawało się jej na pierwszy rzut oka. Ponieważ jak zwykle bardzo uważał, by nie zdradzać się ze swymi myślami, wieczór spędzili, tocząc lekką rozmowę z mnóstwem wzajemnych przytyków. Było bardzo wesoło.

Raz pochwyciła spojrzenie Harry'ego, gdy jej się przyglądał. Serce na chwilę jej zamarło, a potem zaczęło bić jak szalone. Teraz uśmiechnęła się rozbawiona biegiem swoich myśli, zupełnie nieodpowiednich dla skromnej młodej kobiety.

Uśmiech nieco jej przygasł, gdy zaczęła rozważać

sens poszukiwań na terenie opactwa, które planowali. Oliwia była święcie przekonana, że młodą markizę zamordowano, ale Beatrice taka możliwość wydawała się okropna.

Jak bardzo samotna musiała być lady Sywell, zamknięta w wielkim domostwie sam na sam z mężem potworem. Beatrice nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, teraz jednak niespodziewanie poczuła wyrzuty sumienia. Wszyscy dookoła zgrzeszyli wielkim brakiem życzliwości! Może gdyby niektóre kobiety ze wsi spróbowały się z nią zaprzyjaźnić, zamiast potępiać to małżeństwo, trochę podniosłyby tę biedaczkę na duchu.

Beatrice westchnęła i wróciła do łóżka, bardzo starając się przepłoszyć ponure myśli. Wiedziała, że musi odpocząć, bo inaczej rano nie będzie miała siły niczego zrobić.

- Dość tu dziko - stwierdził lord Dawlish, gdy czwórka konspiratorów zebrała się następnego dnia przy zachodniej bramie opactwa Steepwood. - Dziwne miejsce. Prawie nieużytek, jeśli sądzić na pierwszy rzut oka. Aż ciarki przechodzą po plecach. - Dla dodania sobie odwagi poklepał kieszeń surduta, w którym miał ukryty niewielki, lecz śmiercionośny pistolet.

- Beatrice i ja pójdziemy w stronę jeziora - zdecydował Harry. - Pogoda na szczęście nam sprzyja, nie ma śladu mgły ani deszczu. Gdyby grób miał gdzieś tu być, to raczej nie w pobliżu zabudowań. Za bardzo rzucałyby się w oczy. Powinniśmy skupić się na miejscach, które są osłonięte.

Percy z powątpiewaniem rozejrzał się dookoła. Miło snuć plany w ciepłym salonie przy kieliszku brandy, ale gdzie rozpocząć poszukiwania w tej dziczycy?

- Nie jestem pewien, czy to jest najlepszy pomysł, Harry.

- *Courage, mon brave!* - zawołał Harry i uśmiechnął się. - Krajobraz jest nieco przygnębiający, ale wyobraź sobie, że po prostu wyszliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. W służbie markiza został podobno już tylko jeden człowiek. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek nas tu niepokoił. Zresztą sam wiesz, co należy mówić, gdyby ktoś protestował przeciwko naszej bytności w tym miejscu.

- Spróbujcie z Oliwią obejść dawny ogródek zielny - poradziła Beatrice. - Jest zarośnięty chwastami, ale zaciszny i wciąż dość przyjemny. Mur miejscami sypie się ze starości, ale nie jest tam tak niemiło jak w pobliżu zabudowań gospodarczych, no i nie tak niebezpiecznie. Wiele starszych budynków może runąć w każdej chwili.

- Powiada pani: ogródek zielny? To brzmi nie najgorzej, panno Oliwio. - Percy odzyskał humor. Poranek był słoneczny, więc spacer zapowiadał się obiecująco, a przed wiatrem wszyscy byli dobrze zabezpieczeni. Lord Dawlish podał ramię Oliwii. - Przynajmniej będzie łatwo zauważyć, jeśli ktoś ostatnio skopał tam grunt. Przecież tu wszystko zdziczało... co za haniebne niedbalstwo!

- Ruszamy? - Harry podał ramię Beatrice i oboje zaczęli oddalać się od swoich towarzyszy. - Percy ma

rację. Ten plan narodził się z ducha przygody, ale wcale nie będzie go tak łatwo wykonać, jak zdawało się Olivii.

- Moja siostra nie była tutaj od lat, więc nie ma pojęcia, jak teraz wyglądają włosci markiza - powiedziała Beatrice. Nie wsparła się na ramieniu Harry'ego, żeby nie zdradzić swoich uczuć. - Adoptował ją brat mojej matki, o czym zapewne pan wie. Ona była wtedy za małą, by rozumieć, dlaczego rozdzielono ją z mamą, i bardzo płakała przy odjeździe. Krajało mi się serce, to było takie okrutne. Nigdy nie zapomnę, z jakim wyrzutem na nas patrzyła.

- Ale pani to rozumiała. - Harry uniósł brwi. - Mimo to strata siostry musiała być bardzo smutnym doświadczeniem.

- Tak samo jak dla moich rodziców strata córki. Mama długo potem płakała. Nigdy nie zrozumiałam tak naprawdę, dlaczego przystała na propozycję Burtonów. Chociaż... Sądzę, że lord Burton obiecał spłacić część długów biednego papy. Och, to brzmi wręcz okropnie! Mama chyba sądziła, że takie rozwiązanie wyjdzie Olivii na dobre.

- I prawdopodobnie wyszło - przyznał Harry. - Oliwia korzystała z wielu przywilejów, o których pani nie mogła nawet marzyć.

- Pod niektórymi względami prawdopodobnie tak. Nie widzieliśmy jej bardzo długo, a kiedy lady Burton przywiozła ją w odwiedziny, wydawała się całkiem szczęśliwa. Dopiero gdy miała prawie czternaście lat, zaczęła pisać do mnie listy, chociaż ja pisywałam do

niej czasami, odkąd tylko ją od nas zabrano. Myślę, że przez kilka lat była tam na swój sposób szczęśliwa.

- Na pewno - potwierdził Harry. - Oliwię rozpieszczano i psuto na wszystkie możliwe sposoby. Wydaje mi się, że przynajmniej lady Burton bardzo przejęła się tym, co ostatnio zaszło. Może nawet cierpi z tego powodu.

- Przypuszczam, że to musi być dla niej smutny okres. Szkoda, że jej mąż nie umiał się zdobyć na więcej współczucia.

- Oliwia go zawiodła. Burton jest dumnym człowiekiem, a dał jej wszystko, czego tylko mogła zapragnąć pod względem materialnym.

- To naturalnie rozumiem, ale sędzę, że gdyby naprawdę się o nią troszczył, mógłby zachować się bardziej wielkodusznie. Papa nigdy nie wyrzuciłby mnie z domu, bez względu na to, co bym zrobiła.

- Może Burton przeżył tym silniejszy zawód, że poświęcił jej wiele uwagi?

Beatrice popadła w zadumę, a tymczasem podeszli do ruin, które musiały być domkami służby w okresie, gdy opactwo zamieszkiwali mnisi. Niektóre zabudowania runęły, a gruzy pokryły się mchem i krzakami jeżyn. Przez wieki domki wielokrotnie naprawiano i odnawiano, ale w ciągu ostatnich osiemnastu lat nikt o nie nie dbał.

- Z pewnością ma pan rację. Ja doświadczyłam w domu rodziców prawdziwej miłości. Nie sędzę, żeby Oliwia doznała tego samego u Burtonów. Moim zdaniem, gdyby kochali ją tak, jak powinni, to nie potraktovaliby jej teraz tak okrutnie.

Harry skinął głową, ale nie podjął tematu. Potępiającym wzrokiem omiół zachwaszczone gruzowisko. Jaki właściciel ziemski dopuszcza do tak żalosnego marnotrawstwa? Sam miał rozległe włości i musiał wkładać wiele energii w ich utrzymanie, ale byłoby mu po prostu wstyd, gdyby można było znaleźć u niego ślady takich zaniedbań.

Beatrice zauważyła to spojrzenie i skinęła głową.

- Stały puste od lat. Odkąd rozeszło się po okolicy, jakim człowiekiem jest markiz, miejscowi nie chcieli tu pracować ani mieszkać. Przez pewien czas służbę sprostowano z miasta, ale nikt tutaj nie zagrzewał miejsca. Nawet gdyby markiz zamierzał naprawić te domki, trudno byłoby mu znaleźć kogoś, kto chciałby się do niego nająć.

- Wyglądają tak, jakby zwała je burza - zauważył Harry. - Przyjrzę im się dokładniej z bliska. Proszę tu poczekać, Beatrice, nie pozwoliłbym pani niepotrzebnie się narażać.

- Nie jestem dzieckiem, milordzie. Jeśli wyobraża pan sobie, że będę zawalidroga...

- Proszę mnie uwolnić od tego zarzutu. Może pani iść ze mną, jeśli musisz, ale błagam, ostrożnie. Kamienie są obluzowane, a grunt nierówny. Nie chcę, żebyś skreśliła nogę.

- Niech pan idzie pierwszy i przeciera szlak - powiedziała Beatrice, starannie wybierając drogę wśród gruzu i kęp trawy, które wypełniły wolne miejsca. Prawie spod samych nóg wyprysnął im królik. Beatrice zaczęła się zastanawiać, czy nie stąd pochodzą króliki,

które czasem niespodziewanie znajdowały drogę do ich spiżarni. To wyjaśniałoby zagadkę świateł w lesie.- Coś mi przyszło do głowy, milordzie - powiedziała, zrównawszy się z Harrym. - Podejrzewam, że Bellows zna ten teren dużo lepiej niż ktokolwiek z nas.

- Czemu sam o tym nie pomyślałem? - Harry z uznaniem spojrzął na Beatrice. - Wczoraj wieczorem jedliśmy wyborny pasztet z królika. - Z jednego ze zrujnowanych domków wyfrunął dziki gołąb. - A te gołębie w czerwonym winie też smakowały wyśmienicie, no i było ich dużo.

Beatrice zmarszczyła brwi.

- Powinam była już dawno się domyślić, skąd Bellows bierze swoje łupy, ale mieliśmy z nich duży pożytek, więc nie chciałam go zbyt szczegółowo wypytywać.

- Przedsiębiorczy z niego człowiek. Chyba okażę mu zaufanie. Czy sądzisz, Beatrice, że jego lojalność jest niepodważalna?

- Nie dostaje wypłaty od trzech lat - wyznała Beatrice. - Próbowałam oddać mu część należności na Boże Narodzenie w zeszłym roku, ale powiedział, że poczeka, aż ojciec dorobi się majątku, co być może nie nastąpi nigdy.

- Nie wiadomo - rzekł przekornie Harry. - Percy wykazał duże zainteresowanie pomysłem ogrzewania grawitacyjnego. Dawlish Manor jest wielkim i wyzębionym domem. Zimą doskwiera to szczególnie. Percy często mi o tym mówił.

- Mam szczerą nadzieję, że papie nie uda się namó-

wić go na eksperymenty w Dawlish Manor. Mogłyby okazać się bardzo kosztowne, a wyniki zapewne nie spełniłyby oczekiwań lorda Dawlisha.

Wśród walących się domków nie było widać żadnych podejrzanych wzniesień. Po kilku minutach podjęli spacer w stronę stodoł i innych zabudowań gospodarczych, które również służyły kiedyś zakonnej społeczności. Za rządów Yardleya wszystkie utrzymywano w dobrym stanie i wykorzystywano do przechowywania produktów pochodzących z różnych farm wciąż należących do opactwa, potem jednak również stodoły zostawiono ich własnemu losowi, toteż teraz w dachach ziały dziury. Z niektórych zostały już tylko pojedyncze ściany.

Miejsce roztaczało złowieszczą atmosferę, potęgowaną zapachem staroci i rozkładu, zupełnie jakby zagnieżdżyło się tu zło. Jakby na wszystko rzucono klątwę.

Na tę myśl Beatrice pokręciła głową. Taką niedorzeczność należało natychmiast odrzucić.

Mimo trwających pół godziny poszukiwań nie znaleźli nawet względnie świeżych śladów obecności człowieka. Doszli więc do wniosku, że grobu trzeba szukać w innym miejscu.

Zostawili za sobą przygnębiające skupisko przegniłych zabudowań gospodarczych i ruszyli w stronę jeziora. Teren był tu lekko pofałdowany, podobnie jak w niemal całym hrabstwie, wspięli się więc na pagórek i po chwili mogli spojrzeć z niego na wodną taflę. Uroda krajobrazu wciąż zapierała dech w piersiach.

W szarych wodach jeziora odbijało się sklepienie

nieba, a tam, gdzie słońce przeświecało przez chmury, szara powierzchnia srebrzyście się mieniła i była lekko pomarszczona. Wokół brzegu rosły wierzby powykrzywiane przez bezlitosne wiatry, w trzcinach kryły się gniazdujące ptaki, a pod powierzchnią wody leniwie przesuwały się rybnie kształty.

- Nigdy nie miałam okazji przyjrzeć się temu miejscu - powiedziała Beatrice. - Jeśli nawet czasem skracam sobie drogę przez opactwo, to zawsze idę najkrótszą drogą ze Steep Abbot do Abbot Giles, no i nie przystaję, żeby podziwiać okolicę. Ale widok jest piękny... nie sądzi pan?

- Kiedyś musiała to być wspaniała posiadłość - odrzekł Harry. - Jak to się stało, że przeszła w ręce markiza?

Beatrice zaczęła opowiadać dzieje opactwa, tak samo jak zrobiła to w wieczór przyjazdu Oliwii, a tymczasem szli przed siebie, ciesząc się swoim towarzystwem i myśląc o tym, jak miło spędzać czas w ten sposób. Naturalnie przy okazji bacznie rozglądali się wokół.

Prowadzili poszukiwania prawie trzy godziny, ale nie dostrzegli niczego, co wydałoby im się podejrzanym. Ponieważ zaś nieustannie rozmawiali, zdążyli trochę lepiej poznać swoje myśli, więc dzień był stracony.

Gdy zawrócili w stronę opactwa, nagle zauważyli zbliżającą się postać. Był to wysoki, chudy mężczyzna, ubrany w czerń. Beatrice zorientowała się, kogo ma przed sobą, zanim jeszcze zobaczyła jego twarz.

- To Solomon Burneck - wyjaśniła. - Na pewno mnie pozna.

Harry skinął głową. Stanowczym gestem podał jej ramię i ruszył naprzeciwko kamerdynera markiza.

- Dzień dobry panu - powiedział uprzejmie. - Proszę mi wybaczyć, obawiam się, że weszliśmy na teren prywatny?

- Jesteście na terenie opactwa Steepwood, które należy do mojego pana, markiza Sywell - odrzekł Solomon, przenosząc spojrzenie z Beatrice na Harry'ego, w którym natychmiast poznał dżentelmena. - Czy mogę spytać, co pan tu robi?

- Ravensden - przedstawił się Harry. - Panna Roade i ja byliśmy na spacerze z suką, ale niewdzięcznica nam uciekła i wbiegła za ogrodzenie. Postanowiliśmy jej poszukać. Pewnie powinniśmy najpierw zająć do właściciela i poprosić o pozwolenie, ale sądziliśmy, że ją znajdziemy, zanim sprawimy komukolwiek kłopot.

- Suka? - Burneck miał niewzruszoną minę. Potrafił poznać, kiedy ma do czynienia ze szlachetnie urodzonym człowiekiem, a ten intruz niewątpliwie nim był. - Czy można spytać, jakiej rasy była ta suka?

- Wilczarz - odrzekł Harry. - Wielka, głupia istota, ale wyjątkowo pocziwa. Domyślam się, że nie widział pan dzisiaj niczego podobnego.

- „Droga niewiernych prowadzi do zguby” - powiedział Solomon. - W tej dziczy stworzenie może łatwo się zgubić. W oczach Pana jest to miejsce obrzydliwości. Klątwa minionych wieków ciąży nad całą tą ziemią i nad tymi, którzy uzurpują sobie prawo do tego, co innym słusznie się należy.

- Słusznie - mruknął Harry, który jedynie nieznacznym mrugnięciem powieki dał Beatrice znać, co sądzi o zwracaniu się do niego w ten sposób. - Trudno, nie będziemy dłużej naruszać cudzej własności. Pozostaje nam nadzieja, że to głupie stworzenie znajdzie drogę do domu.

- „Żywy pies jest lepszy niż martwy lew”, Księga Salomona, rozdział dziewiąty, werset czwarty - oznajmił Solomon ze stosowną powagą. - Bóg zesła karę na niesprawiedliwych, a w obliczu Sądu Ostatecznego wszyscy ludzie będą przed Panem równi. „Bóg dał, Bóg wziął”.

- Tak, naturalnie, ma pan całkowitą rację - powiedział Harry i kaszlnął, zakrywając usta dłonią. - Trzeba żyć nadzieją, że nic strasznego tej biednej istocie się nie stało. - Zwrócił się do Beatrice. - Chodźmy, panno Roade. Nie powinniśmy dłużej zatrzymywać tego dżentelmena.

Beatrice skłoniła głowę przed Solomonem Burneckim. Nie odważyła się odezwać ani słowem, groził jej bowiem atak chichotu. Siłą woli dławiła w sobie śmiech dopóty, dopóki nie zeszli ze ścieżki, która wyprowadziła ich z opactwa i połączyła się z szerszą drogą wiodącą albo do wsi, albo pod górę, do Roade House. Dopiero wtedy zwróciła się do Harry'ego.

- Jest pan przebrzydłym niegodziwcem! Myślałam, że tam umrę. Nie wiem, jak zdołałam się powstrzymać.

- Czy źle się czujesz, Beatrice? Coś cię boli? - Zrobiła tak wymowną minę, że Harry się roześmiał. - Nie,

nie będę się z tobą drażnił. Pan Burneck zrobił na mnie wrażenie bardzo niezwykłego człowieka...

- Musi pan wiedzieć, że Solomon Burneck cieszy się wielkim poważaniem we wszystkich czterech wsiach - powiedziała Beatrice, poważniejąc. - Jest uważany za głęboko religijnego człowieka.

- Rozumiem, że to wskutek częstego cytowania Biblii? - Harry się zamyślił. - Moim zdaniem po prostu mydli ludziom oczy. Może dla wywarcia wrażenia albo... wyczuwam w nim głęboko ukrytą urazę, a pani? Jest w nim coś takiego, co wydaje mi się dość niezwykłe albo nawet niebezpieczne. Poza tym nieodparcie nasuwa się pytanie, dlaczego taki człowiek pracuje u Sywella. Gdyby był naprawdę religijny, z pewnością wymówiłby chlebodawcy przed wieloma laty. Może pan ma na niego jakiś bat? - Zmarszczył czoło. - Co on mógł mieć na myśli, pani zdaniem, mówiąc o kłątwie minionych wieków ciężącej nad całą tą ziemią?

- Skąd mogę wiedzieć? Krąży tu wiele plotek i opowieści, ale o kłątwie nie słyszałam, chociaż historia opactwa jest krwawa i pełna przemocy. Wielu mieszkańców tego majątku skończyło życie w tragiczny sposób - powiedziała Beatrice, nagle uświadamiając sobie, ile prawdy jest w tym stwierdzeniu. Z drżeniem przypomniała sobie uczucie, jakie ogarnęło ją, gdy oglądała ruiny stodół i domków. - Pan Burneck jest dziwnym człowiekiem. Nikt tak naprawdę go nie zna. Ostatnio dowiedziałam się, że ma kuzynkę, która dawno temu wyszła za mąż i mieszka w Northampton. Czasem ją

odwiedza, więc prawdopodobnie ją lubi. Ona też, zdaje się, pracowała dla markiza, ale to było przed wieloma laty.

Harry skinął głową.

- Może w grę wchodzi szantaż? Ta kobieta była kochanką Sywella i Burneck mieszka dalej w opactwie, żeby chronić jej reputację w obawie przed gniewem męża? Nie, to nie wytrzyma krytyki. Wątpię, czy Sywell w ogóle pamiętałby, że ta kobieta była kiedyś jego kochanką, a co dopiero mówić o szantażowaniu jej albo swojego służącego? Nie, ten człowiek musi mieć głęboko ukryty osobisty sekret i dlatego zachowuje lojalność wobec chlebodawcy. Coś, co każe mu tutaj trwać bez względu na markiza.

- A może... - Beatrice wpadła nagle na dość przerażający pomysł. Solomon Burneck był rzeczywiście zagadką. Do tej pory śmiała się z tego, co opowiadano o markizie i jego występkach, ale teraz nagle nabrała pewności, że jest coś dziwnego w opactwie i jego mieszkańcach. Szybko zmieniła temat rozmowy. - Ciekawe, dlaczego ludzie okazują komuś lojalność? Nieraz się nad tym zastanawiałam. Bellows odnosi się tak samo do papy.

- Ale ma znacznie lepsze powody - stwierdził Harry. - Pani ojciec jest powszechnie szanowanym i lubianym człowiekiem.

Beatrice uśmiechnęła się i skinęła głową. Po przyjacielsku ucisnęła jego ręce i poczuła, że pogodny nastrój jej wraca.

Odkąd rozstali się z Solomonem Burneckiem, ani na

chwilę nie puściła ramienia Harry'ego, a jego bliskość sprawiała jej wyraźną przyjemność. Teraz jeszcze podniosła ją na duchu świadomość, jak bardzo Harry poważają jej ojca.

- Tak, papy trudno nie kochać - powiedziała. - Jestem. .. - W tej chwili zobaczyła Oliwię z lordem Dawlishem, zbliżających się z przeciwnej strony, i wtedy przypomniała sobie, czym narzeczonym jest, a właściwie powinien być Harry. Puściła jego ramię. - O, idzie moja siostra.

Wszyscy czworo wymienili entuzjastyczne powitalne okrzyki i razem poszli do domu ogrzać się w salonie przy kominku, na którym buchał ogień.

- Znaleźliście coś? - spytała Oliwia. - My obezliśmy ogródek zielny i krużganki. Na tyłach budynku odkryliśmy otwarte drzwi, a ponieważ nikogo w pobliżu nie było, zaryzykowaliśmy wślizgnięcie się do środka. Obejrzałam przepiękne sklepienie, Beatrice, ale pomieszczenie wyglądało tak, jakby od lat przechowywano w nim stare meble i inne graty. Chciałam stamtąd przejść do głównego budynku, ale lord Dawlish mi nie pozwolił.

- Mogłaby powstać niezręczna sytuacja, gdybyśmy kogoś spotkali - powiedział Percy. - To jednak jest prywatny dom. Nie chciałbym, żeby po moim domu ktoś włóczył się bez pozwolenia.

- Poza tym markiz często jest pijany - dodała Beatrice. - To była słuszna decyzja, lordzie Dawlish. Zresztą szczerze wątpię, czy markiz pogrzebał ciało żony w murach domu.

- Wielki Boże, nie! Co za okropny pomysł - odrzekł Percy. - Może śnić się po nocach.

- Nie zauważyliśmy niczego podejrzanego - powiedział Harry - ale mogliśmy obejrzeć tylko niewielką część terenu, chociaż doszliśmy aż do jeziora i wróciliśmy inną drogą. Myślę, że potrzebujemy pomocy w poszukiwaniach. Musimy dokładnie obejrzeć zakonny cmentarz i przeczesać lasy...

- Także budynek infirmerii, który długo służył jako stajnia - wtrąciła Beatrice. - I naturalnie ruiny kościoła.

- Uśmiechnęła się do Harry'ego. - Obawiam się jednak, że z kościoła została tylko jedna ściana.

- Gdybym chciała ukryć ciało - powiedziała Oliwia - to myślę, że wybrałabym cmentarz.

- Jedna dusza więcej nie czyni różnicy? - Harry skinął głową. - Tak, zapewne... - urwał, bo drzwi się otworzyły i weszła bardzo zaaferowana Nan.

- Nareszcie - powiedziała, patrząc na Beatrice z łagodnym wyrzutem. - Dostyc długo was nie było, a ja zupełnie nie wiedziałam, co robić.

- Co się stało? - Beatrice spojrzała na nią zatroskana. Ciotka rzadko ulegała tak silnemu wzburzeniu.

- Bardzo się zirytowałam, bo kazałam mu przyjść później, ale naprawdę nie mogłam go wpuścić. - Nan przeniosła zatroskane spojrzenie na Harry'ego. - Dżentelmen, milordzie. Szukał pana, a kiedy mu powiedziałam, że pan wyszedł... nie był zbyt grzeczny.

- Jak wyglądał ten dżentelmen? - zainteresował się Harry. - Proszę go opisać, jeśli pani potrafi.

- Był niższy od pana, milordzie, krępy i miał rude, krótkie włosy, ostrzyżone tak, jak kiedyś nosili się purytanie.

- Odrażający Peregrine! - zawołali chórem Harry i Percy.

- Koniecznie chciał poczekać i był bardzo niezadowolony, kiedy powiedziałam mu, że nie może. - Nan przybrała zakłopotaną minę. - Naprawdę nie mogłam się nim zająć. Przyszedł w bardzo nieodpowiedniej chwili.

- Dlatego kazała mu pani iść swoją drogą - domyślił się lord Dawlish. - I tak trzeba było, miła pani.

- Dżentelmen, o którym mowa, jest moim kuzynem. - Harry uśmiechnął się krzepiąco do Nan. - To sir Peregrine Quindon. Nie mam pojęcia, co tutaj robi.

- Przyjechał sprawdzić, czy jeszcze żyjesz - powiedział Percy tonem człowieka dobrze poinformowanego. - Z pewnością usłyszał w Londynie plotkę i postanowił się przekonać, czy dużo mu brakuje do wejścia w posiadanie twoich włości.

- To jest elementarny brak życzliwości, Percy - odparł Harry. - Peregrine zawsze bardzo troszczy się o moje zdrowie. Nigdy nie zapomina mnie spytać, czy dobrze się czuję, ani wspomnieć, że źle wyglądam.

Percy parsknął śmiechem.

- Kpij sobie, jeśli chcesz, ale twój kuzyn nie może się doczekać, kiedy umrzesz, żeby wszystko po tobie odziedziczyć. Na twoim miejscu postarałbym się o dziedzica, a nawet o kilku. Trzeba zdusić jego ambi-

cje w załączku, zanim zaczną mu się roić pomysły, które go przerastają.

- Nie sądzisz chyba, że Peregrine zapragnie zrobić mi krzywdę? - Harry uniósł brwi. - Drogi Percy, pozwalasz swojej wyobraźni na zadziwiające harce. Mój kuzyn jest starym nudziarzem i wyjątkowo uprzykrzonym kompanem, ale przy tym o wiele za bardzo tchórzliwym i praworządnym, żeby uciec się do gwałtu. Gdybym tonał, może uciekłby, udając, że tego nie widzi, ale oczywiście nie zamordował by mnie.

- Czy jesteś tego całkiem pewny? - Percy nie wydawał się przekonany.

- Jestem. - Harry zerknął na Nan. - Muszę panią serdecznie przeprosić za zachowanie mojego kuzyna. Wiem, że Peregrine potrafi być bardzo dokuczliwy.

- Był wręcz niegrzeczny, lordzie Ravensden, ale bardziej martwiłam się tym, że źle potraktowałam pańskiego przyjaciela.

- Postąpiła pani najlepiej, jak mogła - zapewnił ją Harry i przesłał jej czarujący uśmiech. - Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy mój kuzyn, wychodząc, zdradził, dokąd się wybiera.

- Poszedł do zajazdu, milordzie. Zamierza wrócić później. - Nan spojrzała na Beatrice, oczekując wskazówek. - Czy mam przygotować dla niego obiad? Potrzebowalibyśmy więcej produktów.

- Proszę pozwolić, że się tym zajmę - włączył się Harry, zerkając na Beatrice. - Moja rodzina wciąż wykorzystuje waszą gościnność, a ja nie mogę dopuścić do

tego, żeby trwało to dłużej. Za pani pozwoleniem, Beatrice, wezmę dziś powóz, pojedę do Northampton i przywiozę wszystko, czego potrzeba.

- Zabiorę się z tobą - zaofiarował się Percy. - Już my dwaj objadamy panią ze wszystkiego, co jest w domu, a Peregrine... o, ten to dopiero lubi zjeść.

Beatrice nie pozostało nic innego, jak z uśmiechem podziękować za pomoc, chociaż trochę zaczęły ją piec policzki.

- Ale zanim pojedziecie, musicie coś przekąsić - powiedziała. - Przepraszam bardzo, pójdę do kuchni dopilnować przygotowań.

Beatrice ustawiła srebrne szczotki na komodzie w sypialni, która kiedyś należała do jej matki, i z podziwem przyjrzała się zdobiącym je herbom Ravensdenów. Potem rozejrzała się dookoła. Ogień płonął na kominku bez przerwy od kilku dni, więc w pokoju wreszcie zrobiło się ciepło. Łóżko zaopatrzone w świeżą, wywietrzoną pościel. Harry mógł wygodnie tutaj spać.

Przeniosła jego rzeczy w czasie, gdy wraz z lordem Dawlishem był w Northampton. Tym razem z wdzięcznością przyjęła propozycję pomocy. Nie miała wyboru. Nie byłaby w stanie wyżywić tylu gości. Jeden dodatkowy domownik stanowił kłopot, ale trzech to było już nie do przyjęcia.

Z satysfakcją przyjrzała się wynikowi swojej pracy. Połysk starego drewna sprawiał bardzo korzystne wrażenie. Była to bez wątpienia najlepsza sypialnia w domu, wyposażona w duże lustro na zawiasach, zgrabną

komódkę, elegancką leżankę i biurko. Za życia Sary Roade właśnie tutaj bilo serce domu.

Harry mógł tu wygodnie zamieszkać, a ona - powrócić do swojego pokoju. Naturalnie nie miała nic przeciwko dzieleniu sypialni z Oliwią, ale ostatnio często przewracała się z boku na bok, trochę się więc martwiła, że siostrze to przeszkadza.

Westchnęła i zebrała szmatki, którymi polerowała meble. Wydarzenia ostatnich dni odcisnęły wyraźne piętno i na jej sercu, i w głowie. Chwile spędzone tego ranka z Harrym tym bardziej przekonały ją, jak bardzo go polubiła.

Nie, to było stanowczo za słabe słowo na nazwanie jej uczucia do Ravensdena. Przeżywała coś znacznie poważniejszego niż przyjaźń lub nawet zauroczenie. Jeszcze żaden mężczyzna nie rozbudził tak jej zmysłów. Wystarczało, że na niego spoglądała, a już serce biło jej jak szalone. Jego dotyk zapierał jej dech w piersi i przyprowadzał ją o zadziwiająco słabość. Chciała, żeby znowu ją pocałował tak samo jak tamtego wieczoru w kuchni, by wziął ją do siebie, do łóżka i uczynił ją swoją.

Obudziła się w niej nie tylko namiętność... Polubiła go. Dzięki niemu znalazła w sobie radość. Mogła dzielić się z nim swoimi myślami jak z nikim innym, no, chyba że czasami z papą. Wystarczyłoby jedno jego mrugnięcie, jeden grymas tych namiętnych ust i chętnie oddałaby mu wszystko...

No nie! Co za nieskromne myśli. Nie wolno bez końca rozpamiętywać tego przekłętą pocałunku. Harry nie jest jej i nie dla niej są jego pieszczoty.

Tylko jak znieść myśl o ślubie Harry'ego z Oliwią? Beatrice wiedziała, że musi stać z boku i czekać, aż siostra samodzielnie zdecyduje, czy chce poślubić Ravensdena. Wiedziała jednak również, że jeśli tak postąpi, może pęknąć jej serce.

Z rozmyślań wyrwał ją męski głos, dobiegający z dołu, z sieni. Był głośny i zrzędlawy, natychmiast więc zorientowała się, że musi należeć do odrażającego Peregrine'a.

- Harry, ty niegodziwcze! - szepnęła do siebie, idąc po schodach. Jak mógł nazwać w ten sposób swojego kuzyna?

- O, jesteś, moja droga - powiedziała z ulgą Nan, gdy Beatrice stanęła w sieni. - Jak widzisz, sir Peregrine wrócił.

- Miło mi pana poznać. - Beatrice uśmiechnęła się do przybysza. Wielkie nieba! Wydawał się szalenie poirytowany. - Bardzo przepraszam, że rano nie było w domu nikogo, kto mógłby pana przyjąć. Moja ciotka miała, niestety, pilne zajęcia... ale proszę bardzo przejść do salonu i ogrzać się przy ogniu. Ostatnio zrobiło się chłodniej, więc zapewne pan zmarzł.

- A pani jesteś...? - Sir Peregrine spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Jestem panna Roade. Znajduje się pan w domu mojego ojca.

- Czy jest tutaj mój kuzyn? Przyjechałem zobaczyć się z Ravensdenem. Musiałem znieść wiele niewygód. Ten pośpiech i ta odległość...

- Obawiam się, że lord Ravensden załatwia sprawy

poza domem - odrzekła Beatrice. - Wkrótce tu wróci razem z lordem Dawlishem. - Spojrzała na ciotkę. - Nan, czy możesz nam przynieść sherry i ciasteczka?

- Naturalnie. - Starsza pani wyszła z wyraźną ulgą.

- Chodźmy, sir. Z pewnością przemarzłeś do szpiku kości - powiedziała Beatrice, wprowadzając gościa do salonu. - Zapraszam do ognia.

Usiadła na wytartym fotelu z wysokimi poręczami, stojącym przy kominku, i wskazała gościowi miejsce naprzeciwko. Sir Peregrine zignorował to zaproszenie i stanął przed samym kominkiem, odwrócony do niego plecami, skazując tym samym Beatrice na widok swojego profilu. Potoczył wzrokiem po pokoju, a to, co zobaczył - zniszczone meble reprezentujące różne style i epoki, stary dywan, spłowiałe zasłony - wzbudziło w nim niewątpliwą pogardę. Beatrice zdążyła się przyzwyczaić do tego stanu, ale wyraz twarzy Peregrine'a przypomniawszy jej, jakie wrażenie musi wywierać wnętrze domu Roade'ów na obcym człowieku.

- To bardzo miło z pańskiej strony, że odbył pan długą i męczącą podróż, żeby zobaczyć się z lordem Ravensdenem - powiedziała z przeświadczeniem, że powinna przynajmniej spróbować uprzejmej konwersacji.

Peregrine obdarzył ją niechętnym spojrzeniem.

- Z obowiązku, panno Roade. Ze zwykłego obowiązku. Lady Susanna Ravensden, matka Harry'ego, złożyła mi wizytę w Londynie. Była bardzo poruszona plotkami, które do niej dotarły. Te plotki, naturalnie, były niedorzeczne. Sam jej to od razu powiedziałem. By-

łem pewien, że Ravensdenowi nic się nie stało, i jak widać, miałem słuszność. Tylko straciłem czas, w dodatku musiałem jechać w taką pogodę! - Zabrzmiało to tak, jakby był rozczarowany, a nawet głęboko zawiedziony.

Beatrice milczała. Nie widziała celu w mówieniu temu człowiekowi, jak ciężko chory był Harry przez trzy dni.

- A więc - sir Peregrine znów koso na nią spojrzał - jest pani siostrą panny Roade Burton, a to jej rodzinny dom.

- Tak. To jest nasz rodzinny dom.

- Dla panny Roade Burton to poważna degradacja. Skłaniam się ku przypuszczeniu, że żałuje teraz zerwania zaręczyn z Ravensdenem.

Beatrice poczuła nagły przypływ gniewu. Jak on śmie tak mówić o Oliwii? Zachowuje się doprawdy haniebnie. Nie bardzo wiedziała, jak utrzymać nerwy na wodzy, ale na szczęście w tej chwili drzwi salonu się otworzyły i do środka weszli Harry i lord Dawlish.

- Wreszcie - powiedział sir Peregrine, witając kuzyna jadowitym spojrzeniem. - Już miałem iść, bo myślałem, że się ciebie nie doczekam, Ravensden.

- Czyżby, Peregrine? Co za pech. - Harry odniósł się do przybysza chłodno i z rezerwą. Beatrice patrzyła na niego zdziwiona. To nie był człowiek, z którym połączyła ją silna więź, natomiast właśnie tak mógł wyglądać ósmy markiz Ravensden. - Gdybyś powiadomił mnie listownie o swoich planach, może oszczędziłbym ci męczącej podróży. Nie było najmniejszej potrzeby, żebyś tu przyjeżdżał.

- To samo powiedziałem lady Ravensden, ale ona z uporem twierdziła, że coś ci się stało. - Sir Peregrine sprawiał wrażenie oburzonego. - Była bliska oskarżenia mnie o przyłożenie ręki do morderstwa! To niewyobrażalne! Mam nadzieję, że znam swoje powinności wobec ciebie jako głowy rodziny, Ravensden.

- Jestem tego absolutnie pewien, Peregrine. Jestem również pewien, że mama nie miała na myśli nic z tego, co nam opowiadasz. Sam wiesz, że czasem pozwała się ponieść nerwom, gdy coś ją szczególnie wzburzy lub poruszy - powiedział Hany, ale w jego oczach nie było ani krzty życzliwości. - Bardzo jednak szlachetnie z twojej strony, że się o mnie zatroszczyłeś, Peregrine. Teraz możesz już spać spokojnie. Jak widzisz, jestem wśród przyjaciół, do tego całkiem zdrowy.

- A skoro o kładzeniu się spać mowa. - Sir Peregrine zmarszczył czoło. - Jedyne znośny zajazd w okolicy jest przepełniony. Ufam, że możesz udzielić mi gościny na noc.

- To nie jest mój dom - odparł Harry z groźnym błyskiem w oczach. Beatrice czuła bijącą od niego złość. - Jednak gościnny pokój chyba się znajdzie.

Beatrice pochwyciła jego spojrzenie.

- Czy ma pan na myśli określony gościnny pokój?
- Skinął głową, a ona omal się nie roześmiała, widząc, jak kąciki ust nieznacznie mu się unoszą. Co też on sobie wyobraża? - Proszę się chwilę zastanowić, milordzie, nad możliwymi następstwami umieszczenia sir Peregrine'a w tym pokoju.

- A co jest złego w tym pokoju? - spytał lord Dawlish, wyczuwając intrygę. Tymczasem do salonu weszły Nan i Oliwia.

- Jest nawiedzony - oznajmiła zniecierpliwiona Oliwia. - Ukazuje się tam bezgłowe widmo, które o północy podzwania łańcuchami i może przyprawić gościa o utratę zmysłów.

- Co tam, duchy! - rzucił lekceważąco sir Peregrine i spojrzał na Oliwię z nieukrywaną niechęcią. - Nie wierzę, żeby chciały mnie niepokoić.

- Tego pokoju od wielu lat nie używano - wtrąciła Beatrice, nieco bliższa prawdy niż jej siostra. - Nie sądzę, żeby można go było na czas wywietrzyć. Poza tym łóżko ma pękniętą ramę. Ostatni człowiek, który tam spędzał noc, cierpiał znaczne niewygody.

- Poza tym dostał wysokiej gorączki - dodała Nan, przyciągając tym zaskoczone spojrzenia. - Co gorsza, właśnie upraliśmy pościel. Nie ma w domu suchych prześcieradeł.

To niezwykle zachowanie Nan dowodziło, że kuzyn Harry'ego bardzo jej się nie spodobał.

Sir Peregrine popatrzył na nią wstrząśnięty.

- Wobec tego nie zostaną - oświadczył. - Jestem delikatnej konstytucji. Nie, Ravensden. Nie pozwolę się namówić. Mam nadzieję, że przynajmniej posiłek mogę dostać? Potem wrócę do Londynu. Lepiej jechać nocą, niż spać w zawilgoconym pokoju.

- Jestem pewna, że podjął pan rozsądną decyzję - powiedziała Beatrice i mimo woli zerknęła na Harry'ego. Niewątpliwie był bliski wybuchu, choć nie wia-

domo, czy ze złości, czy z innego powodu. - Może tymczasem wszyscy napijemy się sherry?

Wychyliła kieliszek, po czym przeprosiła gości i poszła z Nan do kuchni, by pomóc w przygotowaniu posiłku, który składał się z pieczeni, gołębiego pasztetu i pieczonego karpia, którego dostarczył Bellows. Na wszelki wypadek nie spytała, skąd ta ryba, za to z wielką energią zajęła się przyrządzaniem sosów i deserów. Sir Pergerine mógł kręcić nosem na wszystko, co zastał w tym domu, ale na pewno nie na obiad.

- To był wyborny posiłek, moja droga! Wyborny!
- Pan Roade spojrział na swoją starszą córkę z wielką czułością. - Znowu przeszłyście z Nan same siebie. A teraz zapraszam damy do salonu, bo chciałbym chwilę porozmawiać z naszymi gośćmi.

- Naturalnie, papo.

Beatrice postawiła przed nim na stole karafki z porto i brandy, po czym wyszła z pokoju razem z Oliwią i Nan.

- Bardzo się ucieszę, kiedy ten straszny człowiek wreszcie nas opuści - powiedziała Oliwia nieco później, gdy popijały herbatę w salonie. - Nie sędzę, żebym mogła go polubić. Czy słyszałaś jego uwagi przy stole? Były w najwyższym stopniu obraźliwe. Omal nie powiedział wprost, że Ravensden mi się oświadczył, bo uknułam w tym celu intrygę. Zapewniam was, że wcale tak nie było.

- Nie daj mu się wyprowadzić z równowagi - przestrzegła Beatrice i zmarszczyła czoło. - Od razu widać,

że jest bliski pęknięcia z samouwielbienia... i z zazdrości. Chce poróżnić cię z... - urwała, bo sir Peregrine wszedł do salonu.

- Wysłałem waszego służącego z wiadomością dla mojego stangreta, że jestem gotów do wyjazdu - oznajmił pompatycznie. - Obawiam się, że nie mogę zostać dłużej, panno Roade. Proszę podziękować kucharce za smaczny obiad. Nawet w Londynie rzadko zdarzało mi się jeść lepszy. Aż się dziwię, że tu, na wsi, można znaleźć tak utalentowaną osobę.

Powiedział to takim tonem, jakby dziwiło go, że kucharz, mający jakiekolwiek umiejętności, może pracować na prowincji. Beatrice wstrzymała oddech i policzyla w myślach do dziesięciu. Gdyby nie był to kuzyn Harry'ego, wygarnęłaby mu, co o nim sądzi.

- Na wsi mamy wiele talentów, sir - wycodziła i wstała. - Odprowadzę pana do drzwi.

- To bardzo miło z pani strony, panno Roade. - Przepuścił ją przodem. Jego kapelusz i peleryna były w sieni. Poczekał chwilę, aż Beatrice mu je poda, ale ponieważ nic takiego się nie stało, sam musiał wziąć swoje rzeczy z drewnianego wieszaka. Przybrał marsową minę. - Muszę powiedzieć, że nie pochwalam tego małżeństwa, panno Roade.

- Słucham? - Beatrice z całej siły zacisnęła dłoń. Nie wolno jej stracić cierpliwości! Nie wolno! - Obawiam się, że nie rozumiem.

- Związek pani siostry z Ravensdenem został oparty na błędnych założeniach. Ona zerwała zaręczyny, a jemu bez wątplenia duma kazała tu za nią przyjechać, ale

lepiej by zrobił, gdyby zakończył tę znajomość. Nie mam dobrego zdania o panie Roade Burton.

- Pańska opinia o mojej siostrze zupełnie mnie nie interesuje - odparła najspokojniej, jak zdołała. - Poza tym, jeśli chce pan porozmawiać o czymkolwiek dotyczącym małżeństwa lorda Ravensdena, powinien pan zwrócić się bezpośrednio do niego.

- Dobrze powiedziane, Beatrice! - Harry wyszedł z jadalni. Miał taką minę, jakby chciał uderzyć kuzyna i powstrzymywał się ostatkiem sił. - Czy chcesz mi coś powiedzieć, Peregrine? Teraz masz okazję. Na wszelki wypadek ostrzegam cię, że moja cierpliwość się kończy.

- Powinienem już iść - bąknął sir Peregrine, blednąc. - Sam jesteś swoim panem, Ravensden, więc nie musisz korzystać z moich rad.

- Właśnie. Lepiej zapamiętaj to sobie raz na zawsze - wycodził Harry. - Szczęśliwej podróży, kuzynie. Gdybyś spotkał lady Susannę, powiedz jej, proszę, że cieszę się dobrym zdrowiem, a wkrótce będzie miała przyjemność poznać moją narzeczoną.

Quindon skłonił głowę i bez słowa wyszedł.

- Proszę wybaczyć mojemu kuzynowi te godne pożałowania maniery - rzekł Harry, zbliżając się do Beatrice. - Gorąco przepraszam, że przeze mnie musiała pani znosić jego obecność. Zbladłaś. Co on takiego powiedział?

- Tylko tyle, że nie aprobuję pańskiego zamiaru związania się z moją rodziną. - Ukryła twarz w dłoniach. - Wiem, że nie możemy równać się z panem pozycją.

- Czy ja coś takiego powiedziałem? - Harry przyjrzał jej się zdziwiony. - Czy kiedykolwiek dałem do zrozumienia pani lub komukolwiek z pani rodziny, że jesteście niżej postawieni?

- Nie. - Beatrice głośno nabrała powietrza. - Pan nie zrobiłby tego, rzecz jasna, ale wiem...

- Och, co ty wiesz - przerwał jej łagodnie Harry. Ujął ją za ręce i spojrzał tak czule, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. - Gdybym mógł powiedzieć to wszystko, co chciałbym, wtedy wiedziałabyś. Wierz mi...

W tym momencie pan Roade i lord Dawlish weszli do sieni.

- Lord Dawlish zgodził się spłacić mój dług w kuźni, Beatrice - powiedział rozpromieniony ojciec. - Dzięki temu kowal dostarczy części, których potrzebuję do nowego eksperymentu. Czy to nie wspaniała nowina, moja droga?

- Tak, papo. - Beatrice nie wydawała się przekonana, a oczy Harry'ego rozbliły się wesołością. - Mam taką nadzieję - dodała słabo, gdy ojciec z lordem Dawlishem przeszli do salonu w znakomitej komitywie! - Ojej, niedobrze się stało...

- Wydaje się pani zaniepokojona. - Harry spojrzał na nią. - Czy jest po temu jakaś szczególna przyczyna?

- Ostatnim razem, kiedy papa próbował przebudować piec, doszło do wybuchu. Mieliśmy wielką wyrwę w ścianie kuchni i dużo czasu minęło, nim udało się wszystko doprowadzić do porządku.

- Ach, rozumiem. Wobec tego pozostaje nam na-

dzieja, że udoskonalony piec jednak zadziała, prawda?

- Harry uśmiechnął się do Beatrice, bawiąc się palcami jej lewej dłoni. - Czy teraz czujesz się różnie?

- Tak, dziękuję. - Zaśmiała się cicho, żałośnie. - Muszę powiedzieć szczerze, Harry, że nie potrafię polubić pańskiego kuzyna.

Harry zachichotał.

- Nikt nigdy nie lubił odrażającego Peregrine'a. Zdziwiłbym się bardzo, gdyby przypadł ci do gustu.

- Och, Harry! - Tym razem Beatrice roześmiała się całkiem beztrosko. - Pan zawsze umie mnie pocieszyć.

- Naprawdę, moja droga? - Puścił jej rękę. - Powinniśmy chyba wrócić do reszty domowników, bo inaczej zapomnę, że jestem dżentelmenem i muszę żyć zgodnie z kodeksem honorowym, który wszczepiano mi od urodzenia.

- Tak. - Beatrice nie mogła uspokoić mocno bijącego serca. - Tak, powinniśmy iść do salonu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia Beatrice była na nogach od wczesnego ranka. Wiedziała, że reszta domowników jeszcze nawet nie przeciera oczu, więc po cichu wyszła z domu załatwić różne sprawy, które czekały zaniedbane, odkąd lord Ravensden przyjechał śladem jej siostry do Abbot Giles.

We wsi mieszkało kilkoro starych ludzi, zajmujących domki nadające się właściwie tylko do rozbiórki, więc Beatrice zawsze starała się w miarę możliwości im pomóc. Wprawdzie i jej rodzinie nie wiodło się najlepiej, ale dobrze rozumiała, że inni żyją w znacznie trudniejszych warunkach. A ponieważ w domu znalazło się nagle dużo smakołyków, wzięła dla przyjaciół ciastka, inne słodczyce i ser.

W pierwszym domku mieszkała panna Amy Rushmere, która w swym długim i barwnym życiu była damą do towarzystwa wielu zamożnych chlebobawczyń. Beatrice zawsze odwiedzała ją przynajmniej raz w miesiącu, wypijała z nią kieliszek wina z czarnego bzu i wymieniała najświeższe plotki o okolicznych właścicielach ziemskich.

Panna Rushmere otworzyła przed nią drzwi z szerokim uśmiechem.

- Och, jak dobrze, że przysłaś, Beatrice - powiedziała. - Na pewno masz mnóstwo pracy przy tylu gościach.

- Lord Ravensden rzadko wstaje przed południem - wyjaśniła Beatrice. - U siebie w domu pewnie jeździ na poranne przejażdżki, ale u nas ma status rekonwalescenta, bo wciąż pokasłuje.

- Tak, tak, słyszałam, że doktor Pettifer był u niego trzy razy - odrzekła staruszka i zafrasowana pokręciła głową. - Lord Ravensden musiał być bardzo chory.

- Przez pewien czas nawet baliśmy się o jego życie. - Beatrice spochmurniała na to wspomnienie. - Na szczęście ma silny organizm i czuje się już znacznie lepiej.

- Ano, tak - powiedziała panna Rushmere. - Widziałam was wczoraj rano na przechadzce. O, to bardzo przystojny mężczyzna.

- Owszem. - Amy Rushmere należała do najstarszych mieszkańców Abbot Giles i mogła pamiętać wiele z tego, czego nie pamiętał nikt inny. - Proszę mi powiedzieć, co pani sądzi o ucieczce lady Sywell.

- Zagadkowa sprawa, czyż nie? - Panna Rushmere zmarszczyła czoło. - Naturalnie można było przewidzieć, co się stanie, gdy on ją poślubi. To małżeństwo od początku było omyłką. Ona była adoptowaną córką Johna Hanslope'a, tak w każdym razie ludzie mówią.

- Wie pani o tym coś więcej?

- Nie, ale przypuszczam, że te plotki są prawdziwe. Widziałam ją kilka razy, ładne z niej było dziecko. -

Panna Rushmere uśmiechnęła się. Jej zmatowiałe oczy zdawały się spoglądać tam, gdzie wzrok Beatrice nie sięgał, głęboko w przeszłość. - W dzieciństwie często chodziłam po lesie Giles, także po tej części, która teraz należy do opactwa. Majątek wyglądał wtedy, rzecz jasna, zupełnie inaczej. Był dobrze utrzymany, pracowało tam mnóstwo ludzi. W tej części od strony opactwa jest tak zwany święty gaj, to pewnie wiesz...

- Nie, nie wiedziałam. - Beatrice nagle bardzo zainteresowała się rozmową. - To znaczy, może o tym słyszałam, ale zapomniałam.

- O, ja dobrze znam to miejsce z dzieciństwa i nawet niedawno tam byłam. To miły zakątek, zaciszny, jakby naprawdę był w pewien sposób święty. Jest tam również omszały głąz z dziwnymi literami. - Panna Rushmere zmarszczyła czoło tak, jakby nagle sobie coś przypomniała. - Raz widziałam tam lady Sywell. Siedziała sama. To było niedługo po jej ślubie. Wydawała się bardzo smutna. Pamiętam, że miała włosy w niezwykłym odcieniu i sprawiała wrażenie bardzo delikatnej, prawie bezbronnej. Odezwałam się do niej, ale tylko się uśmiechnęła. Kogoś mi przypominała, ale nie umiałam sobie przypomnieć kogo... Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- Ja też - przyznała Beatrice.

Panna Rushmere skinęła głową.

- Mówią, że ten, kto skała to święte miejsce, jest na zawsze przeklęty.

Zimny dreszcz przeszedł Beatrice po plecach.

- Ale lady Sywell z pewnością...

- Och, nie, moja droga. Myślałam o jej mężu. Kiedy się tu sprowadził, często bywał z przyjaciółmi w lesie, a opowieści o orgiach, jakie tam się odbywały, są do prawdy nie do powtórzenia. Sądzę, że opiekunka lasu, kimkolwiek jest, wolałaby skupić swój gniew na markizie niż na jego niewinnej żonie.

- Tak, to byłoby sprawiedliwsze - zgodziła się Beatrice. - Zaginęła jednak lady Sywell.

- Owszem. I człowiek zastanawia się, jaki los ją spotkał. Pamiętam rodzinę, która mieszkała tutaj dawno temu, i Ruperta jako chłopca...

Staruszka opowiadała o przeszłości jeszcze dosyć długo. Beatrice przyszła do niej z nadzieją, że panna Rushmere rzuci nowe światło na sprawę zniknięcia markizy, a historia o świętym gaju była doprawdy bardzo romantyczna - Oliwia uwielbiała takie historie! Jednak po rozmowie rozwiązanie zagadki nie wydawało się Beatrice ani o krok bliższe.

Po wyjściu od panny Rushmere zajrzała jeszcze do dwóch innych domków, ale nie zabawiła tam długo, tylko wręczyła mieszkańcom podarunki. Śpieszyła się bardziej niż zwykle, toteż nie od razu zareagowała, gdy ktoś zawołał ją po imieniu, ale kiedy odwróciła głowę, zobaczyła idącą ku niej młodą kobietę z dzieckiem. Dziewczynka miała około dwóch lat i rudawe włoski, natomiast włosy matki były znacznie ciemniejsze, zebrane z tyłu głowy w mało twarzowy, surowy koczek.

- Och, Beatrice - powiedziała Annabel Lett, gdy znalazła się bliżej. - Już myślałam, że cię nie dogonię. Wieki cię nie widziałam.

Annabel była wdową i mieszkała w Steep Ride z kuzynką. Nieżyczliwi, podejrzliwi ludzie poszeptywali, że Annabel wcale nie jest naprawdę wdową, może dlatego, że przyjaźniła się z Charlotte Filgrave, którą z kolei uważano za kobietę upadłą, ale Beatrice nic sobie nie robiła z takich plotek. Lubiła Annabel i chętnie z nią rozmawiała, chociaż nie zdarzało się to często, chyba że natknęły się na siebie podczas przechadzki.

- Byłam u panny Rushmere i jej sąsiadów - wyjaśniła Beatrice, gdy Annabel znalazła się obok niej. - Muszę już wracać do domu. Mamy gości, więc jest dużo pracy.

- Oczywiście - zgodziła się Annabel. - Przyszłam wcześniej, bo chciałam poradzić się doktora Pettifera. Po powrocie zajrzę do Charlotte Filgrave i Athene...

- Możesz do nas wpaść na kieliszek sherry, jeśli masz ochotę - powiedziała Beatrice. Annabel była dla niej w pewnym sensie pokrewną duszą, bo też miała niewielkie dochody i zapewne często czuła się samotna. - Oliwia na pewno chętnie cię pozna.

- Z przyjemnością przyjdę innego dnia, naturalnie jeżeli mogę wziąć z sobą Rebeccę. - Annabel uśmiechnęła się, bo Beatrice przykucnęła, żeby pożegnać się z dzieckiem. - Dzisiaj czeka na mnie Charlotte, ale koniecznie powiedz siostrze, że gdyby przechodziła przez Steep Ride, to zawsze serdecznie ją zapraszam.

- Powiem, a ty musisz kiedyś przyjść do nas na podwieczorek, Annabel. Przyślę ci bilecik przez Bellowsa.

Rozstała się z przyjaciółką i poszła do domu. Zaraz za progiem spotkała lorda Dawlisha, który zmierzał do

salonu. Szybko zdjęła czepek i pelerynę, po czym również znalazła się w salonie. Zastała tam jeszcze Oliwię i Harry'ego, a na stole czekały na wszystkich ciasteczka i sherry.

- O, Beatrice - powiedział Harry z zadowoleniem.
- Zastanawialiśmy się, gdzie pani przepadła.

- Byłam we wsi - odrzekła. - Nie wolno zaniedbywać przyjaciół, nawet jeśli ma się gości. Sądziłam, że przy okazji usłyszę coś, co pomoże nam w poszukiwaniach, ale niestety się zawiodłam.

- Ja mam coś nowego - oznajmił Harry. - Bellows zgodził się nam pomóc. Ma kilku zaufanych ludzi. Wybiorą się dziś wieczorem do opactwa i obszukają wszystkie te miejsca, do których nam byłoby trudno dotrzeć.

Oliwia stała przy oknie.

- Zaczął padać deszcz - zauważyła i usiadła na sofie. Wydawała się rozczarowana. - Nie będziemy mogli iść dzisiaj na spacer.

- Mimo wszystko ja też czegoś się dowiedziałam - oznajmiła Beatrice. - W części lasu niedaleko zabudowań opactwa znajduje się święty gaj. Od dawna uważa się, że każdy, kto go zbecześci, jest na wieki przeklęty. Panna Amy Rushmere widziała tam raz lady Sywell.

- Święty gaj? - Oliwia była zachwycona. - Bardzo chciałabym go zobaczyć! A do tego klątwa... dziwne!

- Święty gaj. - Harry skinął głową. - A obok zapewne świątynia matki ziemi. Może gdzieś w pobliżu znajdują się również szczątki świątyni Rzymian?

Beatrice spojrzała na niego dziwnie.

- To prawda. Słyszałam, że mnisi zbudowali opactwo na miejscu dawnej świątyni. Skąd pan to wie?

- Lubię studiować stare rękopisy i badać dawne pismo - odrzekł Harry z uśmiechem. - Kulty, które wprowadzają się do wiary w dobro i zło, mogą przybierać wiele form. Co ciekawe, często się potwierdza, że kapłani religii, które wydawałyby się całkowicie odmienne, budowali świątynie w dokładnie tych samych miejscach.

- Jak to możliwe? - zdziwiła się Beatrice zafascynowana bardziej odkryciem nowej twarzy Harry'ego niż samymi badaniami dawnych religii.

- Moim zdaniem siły zła i dobra znajdują się w powietrzu, ziemi, ogniu i wodzie, a także w głazach tworzących wzgórza i góry, a my usiłujemy okiełznać te bliźniacze siły i wykorzystujemy albo ku pożytkowi rodzaju ludzkiego, albo na jego zgubę. W niektórych miejscach na ziemi występuje szczególnie duża koncentracja tych sił, na przykład tam, gdzie rośnie stary las i jest woda...

- Czy pan neguje istnienie Boga?

- Nie, skądże. Czymże bowiem jest Bóg, jeśli nie największą siłą dobra znaną człowiekowi?

- A diabeł? - spytała Oliwia. - Czy również diabeł jest bezkształtną siłą?

- Myśli pani o złym? - Harry uśmiechnął się i skinął głową. - O, przypuszczam, że on może objawiać się w takiej formie, jaką sobie wybierze... Najbardziej niebezpieczny jest chyba pod postacią młodej kobiety. Proszę pomyśleć o Jezabel, Dalili i Salome...

- Ty niegodziwcze! - zawołała Beatrice. - Przysięgam, że w dziejach świata jest tyle samo występnych mężczyzn, co i kobiet... Niech pan pamięta, Harry, że to mężczyzna skazał na śmierć Jezusa Chrystusa, a po zmartwychwstaniu Pan ukazał się kobiecie.

- Temu nie przeczę - odrzekł Harry. - To, że Bóg zesłał na świat Zbawiciela pod znaną nam postacią, tylko potwierdza moje przekonanie, że siły wyższe mogą przybierać takie formy, jakie chcą. Pan przyszedł pokazać nam drogę dobra i miłości. Jak lepiej może każdy z nas służyć bliźnim, niż czyniąc dobro i traktując życzliwie tych, którzy mieli mniej szczęścia?

Na Oliwii jego słowa wywarły duże wrażenie. Czy naprawdę taki mógł być człowiek, którego posądziła o brak wrażliwości i duchowej głębi? A Beatrice pomyślała, że z tak wielką głębią ducha i wrażliwością Harry prawdopodobnie potrzebuje tarczy przed światem. Może właśnie dlatego ze wszystkiego drwi, żeby z niego nie drwiono?

- Rozumiem, że dałam panu pożywkę do przemyśleń. - Beatrice uśmiechnęła się. - Muszę już iść do swoich zajęć. - Gdy się odwróciła, Harry zakasłał. - Czy dobrze się czujesz, milordzie? Czy miał pan wygodne łóżko ostatniej nocy? Nie przemarzłeś?

- Dziękuję, było mi bardzo wygodnie - odrzekł Harry, rozbawiony jej troskliwością. Zapomniał już o chwili powagi i znów wcielił się w człowieka o nie-nagannych manierach. - Ten kaszel jest nieco dokuczliwy, ale sądzę, że z czasem ustąpi. Czuję się dobrze.

Zresztą jestem człowiekiem bardzo mocnej konstytucji. Rzadko zdarza mi się chorować.

- Mam syrop z dzikiej róży, może trochę panu pomoże. Zaraz go przyniosę - zaofiarowała się Beatrice.

Wyszła na korytarz i tam spotkała Lily, która właśnie miała zapukać.

- Dostarczono przed chwilą bilecik z Jaffrey House, proszę pani. Jest adresowany do panny Oliwii.

- To jej go daj.

Beatrice odeszła zamyślona. Gdyby Harry miał rację, znaczyłoby to, że złowrogie przeczucie, jakie ogarnęło ją wśród ruin na terenie opactwa, mogło mieć znacznie mocniejsze uzasadnienie, niż sądziła.

Pokręciła głową, usiłując odsunąć od siebie myśl, że stanie się coś złego. Tego samego doznała w wieczór, gdy wracała na skrót do domu, i jeszcze kilka razy później.

Była to jednak całkowita niedorzeczność. Harry prawdopodobnie znowu z nich drwił.

Weszła do spiżarni, wzięła stamtąd niebieski flakonik i szklanekę, po czym wróciła do salonu. Nalała porcję Harry'emu, który ostrożnie zamoczył usta w cieczy, zaraz jednak się uśmiechnął, stwierdził bowiem, że lek jest i smaczny, i kojący.

Oliwia podniosła wzrok znad bileciku, który czytała. Miała bardzo zadowoloną minę.

- Lady Sophia zaprosiła mnie na podwieczorek - powiedziała. - Czyż to nie miłe?

- Owszem, i bardzo uprzejme - przyznała Beatrice. Dobrze rozumiała, jak wiele znaczy ten gest dla jej sio-

stry. - Może lord Ravensden pożyczy ci swój powóz, jeśli nadal będzie padał deszcz?

- Oliwia naturalnie może wziąć powóz - natychmiast zgodził się Harry, ale zmarszczył brwi, bo Beatrice użyła jego tytułu zamiast imienia. Co znów ją ugryzło? - Czy pani nie dostała zaproszenia?

- Lady Sophia jest bliższa wiekiem Oliwii - odrzekła Beatrice, unikając jego badawczego spojrzenia. - W przeszłości papa odrzucił wiele uprzejmych zaproszeń earla i jego rodziny. Po prostu nie mogliśmy im odpłacić za gościnność, a papa nie chce żyć z czyjejs dobroczynności. Wyjątkiem jest przyjmowanie opału, ale on o tym nie wie, więc nie może czuć się urażony. Poza tym mam tu wiele do zrobienia...

- Ach, przypomniałem sobie, że muszę jechać do Northampton - odezwał się nagle lord Dawlish. - Czy dotrzymasz mi towarzystwa, Harry?

- Słucham? - Harry ocknął się z głębokiego zamyślenia. - Naturalnie, Percy. - Zerknął na Beatrice. - Przypuszczam, że z przyjemnością wykorzysta pani tych kilka godzin.

- Oczywiście. - Przesłała mu wymuszony uśmiech. Nie mogła wyjawić, co czuje; najlepszym rozwiązaniem wydawało się więc milczenie. - Przepraszam, czas na mnie.

Poszła pomóc Lily w sprzątaniu sypialni. Potem jednak zeszła do salonu. Odniosła wrażenie, że jest tam przeraźliwie pusto. Jakże przyjemne były ostatnie dni, gdy przez ich dom przewinęło się tyle osób.

Pomyślała, że będzie jej brakowało Oliwii, jeśli po-

ślubi ona Harry'ego. Nie! Nie wolno jej myśleć o nim w ten sposób. To tylko powiększało cierpienie. Bo cierpiała bardzo. Zakochała się w Harrym Ravensdenie i teraz musiała ponieść konsekwencje. Co za brak rozsądku!

Był najwyższy czas napisać do pani Guarding i spytać o posadę w szkole... może od wiosny. Otworzyła śliczne czarno-czerwone japońskie pudełko z przyborami do pisania i wyjęła z niego pióro. Zanurzyła je w kałamarzu. Kilka minut później przeczytała gotowy list, ale go nie zapieczętowała. Uznała bowiem, że najpierw powinna porozmawiać z papą.

Usiadła przy fortepianie i zaczęła grać smutną, zapadającą w pamięć melodię, która wyciskała jej łzy z oczu. Po chwili przerwała grę, nie mogąc sobie poradzić z coraz silniejszym poczuciem beznadziejności. Co robić?

- Dlaczego pani przestała grać? - rozległ się kobiecego głos. Raptownie obróciła się na stołku i zobaczyła damę stojącą na progu. Bardzo atrakcyjną, choć wchodzącą już w jesień życia. - To było piękne, panno Roade. Bo mam do czynienia z panną Roade, prawda? Pani Willow powiedziała mi, że właśnie tutaj panią znajdę, moja droga.

Beatrice wstała, odrobinę zdezorientowana. Nigdy dotąd nie widziała tej kobiety, ale odniosła wrażenie, że jest coś znajomego w jej oczach i zmysłowych, wydatnych ustach.

- Proszę mi wybaczyć. Nie wiem, z kim...

- Och, to moje zaniedbanie. - Śmiech kobiety

brzmiał jak dzwoneczki przy saniach. - Pani Willow zanonsowałaby moje nadejście, ale usłyszałam, że pani gra, i podkradłam się, by nie przeszkadzać. W tej grze było tyle uczucia, że nie mogłam się powstrzymać. Jestem matką Ravensdena, panno Roade.

Ależ naturalnie. Teraz podobieństwo rzuciło jej się w oczy.

- Lady Ravensden? - Beatrice natychmiast odzyskała wigor. Zerwała się, by powitać gościa. - Proszę wejść. Gdzie się podziały moje maniery? Na pewno pani zmarzła. Dzięki Bogu mamy tutaj solidny ogień, żeby mogła się pani ogrzać. Podróż na pewno była męcząca.

- Proszę nie traktować mnie zbyt oficjalnie. Dla przyjaciół jestem po prostu lady Susanną. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz. - A ty, panno, jesteś kochaną dziewczyną! Zjawiam się bez zapowiedzi, a mimo to witasz mnie z otwartymi ramionami.

- Martwiła się pani o Harry'ego, to znaczy o lorda Ravensdena - powiedziała Beatrice, znów poczuwszy piekące łzy pod powiekami. Zupełnie jakby była naiwnym podlotkiem. Zamrugała kilka razy, by się opanować. - To naturalne, że musiała pani przyjechać.

- Lady Dawlish przysłała wiadomość do mojego londyńskiego domu natychmiast, gdy tylko dostała list od męża. Podobno mój syn był chory?

- Tak, to prawda. Jego stan był bardzo poważny. - Widząc zaniepokojenie w oczach lady Susanny, Beatrice zrezygnowała z dyplomatycznych wykrętów. - Przez pewien czas bardzo się o niego martwiłam. Proszę usiąść, milady. Moja ciotka bez wątpienia za chwilę

przyniesie nam herbaty, bo pewnie woli pani napić się herbaty, a nie wina, prawda?

- Tak, dziękuję, moja droga. Opowiadaj dalej, jeśli możesz. O chorobie Harry'ego.

- Przeziębił się - powiedziała Beatrice. - Zachorował pierwszej nocy po przyjeździe, ale zorientowaliśmy się w tym dopiero rano. Natychmiast posłaliśmy po doktora Pettifera i robiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby mu pomóc. Miał wysoką gorączkę przez trzy dni, ale potem przyszło przesilenie i od tej pory szybko odzyskuje siły. Jest już dużo zdrowszy, chociaż nadal pokasłuje.

- Harry zawsze był silny. Jako chłopiec zaraził się od stajennego szkarlatyną. Wszystko przez to, że bez przerwy bawił się w stajni! Potem ciężko chorował, tak samo jego siostra Elizabeth. Ona... umarła, ale Harry wyzdrowiał i odzyskał wszystkie siły. Dzięki Bogu! Już się bałam, że stracę ich oboje.

- Ach, więc to była Lilibet. - Beatrice skojarzyła fakty. - Majaczył o niej w gorączce. Mówił, że to on powinien być umrzeć. Chyba bardzo się tym dreczy.

- Czy powiedział, że powinien być umrzeć zamiast niej? - Lady Susanna wbiła wzrok w jej twarz. - Jest pani tego całkiem pewna, panno Roade?

- Tak. Czy to ma znaczenie?

Lady Susanna skinęła głową.

- Może mieć. Od dawna zastanawiam się, czy on nie wini się za śmierć siostry. Uwielbiał ją. Naturalnie wszyscy ją kochaliśmy, ale on szczególnie. Jako dzieci nigdy się nie rozstawali. A on potem już nigdy nie był taki sam.

Beatrice dostrzegła smutek w jej oczach.

- Tak, naturalnie. To musiało być dla was wszystkich wstrząsające doświadczenie... strata dziecka. Aniołek, tak ją Harry nazwał.

- Bo była aniołkiem - powiedziała lady Susanna. - Pewnie dlatego tak szybko nam ją zabrano. Była za dobra dla tego świata.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, potem lady Susanna uśmiechnęła się. Miała uśmiech bardzo podobny do Harry'ego.

- To dawne dzieje, panno Roade. Musimy myśleć o przyszłości. Proszę powiedzieć, co takiego zrobił mój syn, że pani siostra zerwała zaręczyny. Przypuszczam, że okazał znaczną niefrasobliwość. On ma bardzo dziwne poczucie humoru.

- Czasem rzeczywiście - potwierdziła Beatrice, a jej spojrzenie zdradzało znacznie więcej, niżby chciała. - To naprawdę nie była jego wina. Proszę nie czynić mu zbyt ostrych wymówek. Powiedział przyjacielowi w zaufaniu, że nie żeni się z miłości, a ktoś to podsłuchał i dodał od siebie mnóstwo złośliwości. Gdy Oliwia usłyszała plotkę, bardzo się oburzyła.

- Naturalnie, każda panna na jej miejscu byłaby oburzona. - Lady Susanna zmarszczyła czoło. - Przypuszczalnie wiemy, kto rozpowszechnia te kłamstwa. Pani może nie słyszała o kuzynie Harry'ego, sir Peregrinie Quindonie, ale to wyjątkowo nieprzyjemny człowiek.

- Był tutaj wczoraj - powiedziała Beatrice. - Twierdził, że przyjechał, bo była pani niespokojna o lorda Ravensdena i błagała go, aby odszukał Harry'ego.

- Rzeczywiście, zaniepokoiłam się, słysząc te wszystkie historie, które opowiadano - przyznała matka Harry'ego. - Na pewno jednak nie prosiłam, żeby go odszukał. Nie zaufałabym mu w takiej sprawie. On zazdrości mojemu synowi majątku i tytułu.

- Tak, to było widać. - Beatrice natychmiast polubiła matkę Harry'ego, nawet bardzo. - I jestem pewna, że Harry to wie... - urwała i spłonęła rumieńcem, uświadomiła sobie bowiem, że znowu nazwała lorda Ravensdena po imieniu. - Proszę mi wybaczyć ten nieformalny sposób mówienia o pani synu. Pewnie wydaje się to pani dziwne, ale mieszkamy tu tak blisko siebie... prawie jak rodzina. Naturalnie powinnam pamiętać, by używać tytułu lorda Ravensdena w rozmowie z członkiem jego rodziny. Bardzo przepraszam za to zapomnienie.

- Nie ma powodu przepraszać, moja droga. Bardzo miło mi słyszeć, że Harry ma takich dobrych przyjaciół. Momentami sprawia takie wrażenie, jakby niczego nie traktował poważnie, obawiam się zresztą, że odziedziczył to po mnie. - Zadumała się. - Naprawdę czasem zachowuje się zupełnie tak jak ja.

- Nie ma w tym nic złego, jak sądzę.

Lady Susanna pokręciła głową.

- Kiedy rozum nie pozwala rządzić sercu, może stać się wiele złego - odrzekła. - W zaufaniu muszę ci powiedzieć...

Przerwał im szmer głosów w sieni, zaraz potem otworzyły się drzwi i do salonu weszli Harry, lord Dawlish i Oliwia, wszyscy rozbawieni i roześmiani.

- Mama! - Harry zdumiał się. - Co ty tu robisz?

- Dzień dobry, lady Susanno - powiedział Percy, znacznie mniej zaskoczony od przyjaciela. - Cieszę się, że panią widzę. Diabelnie zimno na dworze.

- Dzień dobry, lady Susanno. - Oliwia zarumieniła się i dygnęła, wyraźnie zakłopotana niespodziewanym spotkaniem.

Harry przeszedł przez pokój i pocałował matkę w policzek.

- To bardzo miło, mamó, że się o mnie troszczysz, ale nie powinnaś była wyruszać w długą podróż przy takiej złej pogodzie.

- Nie będzie jej dobrze w moim zajeździe - stwierdził Percy z chmurną miną. - Jest ogromnie hałaśliwy.

- Lady Susanna naturalnie zamieszka u nas - powiedziała natychmiast Beatrice. - Pan może wziąć mój pokój, lordzie Ravensden. Ja wprowadzę się do Oliwii, a lady Susanna do pańskiego pokoju. Nie ma lepszego rozwiązania, więc jestem pewna, że zniesie pan jeszcze jedną przeprowadzkę.

- Nie ja będę cierpieć niewygodę z tego powodu - powiedział Harry, spoglądając na nią ciepło. - Jeśli jest pani pewna, że to nie przeszkadza...

- Skądże znowu. Za nic nie moglibyśmy się zgodzić na to, żeby lady Susanna zamieszkała w zajeździe. Tutaj, z nami będzie jej dużo wygodniej.

- Wobec tego nie powiem ani słowa więcej na ten temat - stwierdził Harry i uśmiechnął się do matki. - Dziś po południu robiłem zakupy w Northampton, mamó. Znalazłem tam niejakiego Hammonda, i kupiłem

u niego kilka bel materiału. Pokażę ci je później i mam nadzieję, że ci się spodobają.

Lady Susanna wydała się zaskoczona.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Przywiozłem również podarki dla wszystkich tu obecnych - ciągnął Harry. - Pani, Oliwio, kupiłem wachlarz i tomik poezji. Dla pani Willow mam kupon dobrego, granatowego sukna. Mam nadzieję, że będzie jej odpowiadało. Dla Percy'ego kupiłem parę rękawiczek z koziej skóry. Dla pana Roade mam skrzynkę porto i skrzynkę madery. Dla Idy i Lily są ciepłe chusty. Dla Bellowsa - nowa para butów, dowiedziałem się od niego, jaki nosi rozmiar... - urwał i zatrzymał wzrok na Beatrice. - A dla panny Roade kupiłem suknię. Pani Willow pożyczyła mi wczoraj pani własność, Beatrice, więc modniarka mogła przysposobić jeden z gotowych wzorów, które miała na sprzedaż. Zapewniła mnie, że będzie idealnie pasować.

Beatrice spłonila się rumieńcem. Co za przewrotność! Dobrze wiedział, że odmówiłaby przyjęcia prezentu, gdyby próbował go dać tylko jej, więc obdarował wszystkich. Pokiwała głową, zdumiona jego taktem.

- Musiał pan wydać na to krocie.

- Przynajmniej miałem co robić w deszczowe popołudnie - odrzekł Harry. - Pani rodzina przyjęła mnie i moich bliskich z niezwykłą szczodrością i życzliwością. Chciałem odwdziżyć się każdemu z was przynajmniej jakimś drobnym podarkiem.

- Podzielaam zdanie Harry'ego - włączył się Percy, najwidoczniej wciągnięty do spisku już dosyć dawno

temu. - Dlatego i ja kupiłem kilka podarków, panno Roade. Nic wielkiego, rękawiczki i perfumy. Nie mam wprawy w wybieraniu takich drobiazgów. Zwykle powierzam to Merry. Ona radzi sobie doskonale. - Zadu-
mał się. - Wiecie co? Dziś wieczorem jeszcze zjem z wami obiad, a jutro z rana wracam do Londynu. Wszystko tutaj jest w porządku, nie będę przeszkadzał, a lady Dawlish na pewno za mną tęskni.

- To prawda. - Harry przesłał mu szeroki uśmiech. - Jeszcze dzień i będziemy tu mieli również Metry, która przyjedzie sprawdzić, gdzie się podziałeś. Lepiej wróć szybko do domu, żeby ją uspokoić, Percy.

- Tak właśnie pomyślałem - odrzekł przyjaciel i uśmiechnął się dość zagadkowo.

- Muszę porozmawiać z Lily i wydać dyspozycje do obiadu - powiedziała Beatrice. Rozejrzała się po radosnych twarzach osób zgromadzonych w salonie. - Czekam nas bardzo przyjemny wieczór. Będzie nam pana brakować, lordzie Dawlish.

- Przykro mi, że muszę wyjechać, panno Roade, ale przypuszczam, że w przyszłości będziemy się widywać dość często.

Mimo woli trochę się zasmuciła. Przez ostatnie kilka dni było nadzwyczaj przyjemnie, więc niechętnie myślała o pustce po wyjeździe gości.

Skinęła głową i bez słowa opuściła salon. Miała nadzieję, że może Oliwia udzieli jej gościny, kiedy zostanie żoną lorda Ravensdena. Należało tylko pamiętać, by właściwie go tytułować! Przy okazji mogło dojść również do spotkania z lordem i lady

Dawlish. Ale to będzie już co innego. Wszystko stanie się inne, gdy Harry poślubi Oliwię. Nie ma sensu się łudzić.

Beatrice zostawiła Lily, która kończyła przygotowania do obiadu, i poszła na górę do pokoju, który znów dzieliła z Oliwią. Siostra przebierała się w uroczą niebieską kreację. Na łóżku czekała rozłożona druga suknia, w kolorze szmaragdowym.

- Musiała ją uszyć jakaś francuska modniarka - powiedziała Oliwia. - Będzie ci w niej prześlicznie, Beatrice. Harry dobrze wybrał, no, ale on słynie ze znakomitego gustu. Jego dom w Londynie jest wspaniały. Byłam tam tylko raz, lecz zdażyłam zauważyć, że w środku są same piękne rzeczy.

Beatrice zerknęła na suknię, a potem z namaszczeniem dotknęła jej czubkami palców. Nigdy w życiu nie miała ani nie nosiła niczego równie eleganckiego. Oliwia przyglądała się siostrze, która przez chwilę nawet bała się wziąć tę suknię do ręki..

- No, włóż - przynagliła ją siostra. - On kupił tę suknię specjalnie dla ciebie. Chce, żebyś ją nosiła. Nie możesz odmówić, skoro zadał sobie tyle trudu. To byłoby niegrzeczne.

Beatrice skinęła głową. Słowa uwieźły jej w gardle, więc po prostu poszła za parawan umyć się i przebrać. Kilka minut później wyszła stamtąd w nowej sukni. Nerwowo spojrzała na Oliwię.

- I jak wyglądam?

- Pięknie. - Oliwia roześmiała się i zaciągnęła ją

przed lustro. - Pozwól, że ułożę ci włosy, moja droga. Możesz włożyć jeszcze moje bursztynowe korale.

- A ty nie chcesz ich włożyć? - spytała Beatrice, gdy Oliwia zapięła jej na szyi sznur niewielkich korali-
ków na złotym druciku. - Są takie delikatne.

- Włóżę krzyżyk na łańcuszku, który mama przysła-
ła mi rok przed śmiercią - powiedziała Oliwia i poca-
łowała siostrę w policzek. - Możesz zatrzymać te kora-
le, jeśli chcesz. Dostałam je od przyjaciółki. Kosztow-
niejsze klejnoty zostawiłam u Burtonów. Może postąpi-
łam niemądrze, ale nie chciałam ich wziąć.

- Słusznie - zapewniła ją Beatrice, a Oliwia zaczęła
układać jej fryzurę, znacznie swobodniejszą niż zwykle.
Opadające loki tworzyły wrażenie czarującego nie-
ładu. - Może któregoś dnia znowu będziesz miała ładne
rzeczy.

- Wachlarz, który kupił mi Harry, jest wspaniały -
powiedziała Oliwia, pokazując prezent siostrze. - Po-
patrz na te złote, filigranowe zdobienia.

- Bardzo eleganckie - przyznała Beatrice. Ukrad-
kiem jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Suknia ukła-
dała się na niej tak, jakby uszyto ją na miarę. Miała dość
głęboki dekolt, odsłaniający skrawek piersi, krótkie, bu-
fiaste rękawy, szeroką szarfę w talii i spódnicę akcentu-
jącą figurę w tak doskonały, że niemal nieprzyzwoity
sposób. - Czy ta suknia nie jest trochę zbyt śmiała,
Oliwio?

Siostra szukała czegoś w szkatułce z biżuterią.
W końcu zmarszczyła czoło i zaczęła wyciągać kolejno
szuflady.



- Nie mogę znaleźć krzyżyka od mamy... - Zwróciła się do Beatrice i ciepło roześmiała. - Powinnaś zobaczyć suknie, jakie niektóre damy noszą w Londynie. Te są naprawdę nieprzyzwoite!

- Czasem czuję się jak wiejska gęś. Lata już nigdzie nie byłam.

- Musisz czuć się bardzo samotna, odkąd umarła mama. - Oliwia zmarszczyła czoło. - Nie mam pojęcia, gdzie się podział ten łańcuszek, który od niej dostałam. Powinien być tutaj, ale nie mogę go znaleźć.

Była szczerze zmartwiona.

- Kiedy ostatnio go nosiłaś? Nie pamiętasz?

- Nie jestem pewna. - Oliwia zamyśliła się. - O, już wiem. Dotykałam go, gdy byliśmy w zielnym ogródku... Jejku, mam nadzieję, że go tam nie zgubiłam!

- Może przyczepił się do sukni, którą nosiłaś tamtego dnia - podsunęła Beatrice. - Włóż teraz co innego, a jutro poszukamy go razem. Jeśli nam się nie uda, pójdziemy do opactwa i sprawdzimy również tam.

- Dobrze. Bardzo nie chciałabym go zgubić. - Oliwia zapięła na szyi sznur pereł. Potem zerknęła na siostrę i poprawiła jej jakiś zabłąkany kosmyk. - Wyglądasz olśniewająco. Nie znam innego słowa, które oddałoby ci sprawiedliwość.

Beatrice skinęła głową nieco zawstydzona. Czy ta osoba widoczna w lustrze to naprawdę ona? Taka elegancka dama? Nie, to niemożliwe!

- Pójdziemy na dół?

- Muszę jeszcze zrobić użytek z perfum od lorda Dawlisha - powiedziała Oliwia, lekko wklepując pach-

riidło za uszami. - To miło z jego strony, że o nas pomyślał, czyż nie?

- Tak, bardzo miło. - Beatrice poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, gdy opuszczała pokój z Oliwią. Miała wrażenie, że stała się kimś innym.

Wszyscy czekali na nie w salonie. Oliwia wypchnęła siostrę przed siebie i zatrzymała się, więc przez chwilę Beatrice stała tuż za progiem sama.

- Och, Beatrice. - Nan pierwsza odzyskała głos. - Wyglądasz uroczo, kochanie. Prawda, Bertramie?

Pan Roade podniósł wzrok i skinął głową.

- Ładna suknia, moja droga. Pięknie wyglądasz dziś wieczorem, ale, prawdę mówiąc, mnie zawsze się podobasz.

- Co za szyk - rzekł zachwycony lord Dawlish.

- Ślicznie się prezentujesz, moja droga - zawtórowała mu lady Susanna. - Znakomicie ci w tym kolorze. Harry dobrze wybrał.

Ravesden milczał. Nie musiał jednak się odzywać, patrzył na Beatrice z zachwytem.

Spłonęła rumieńcem i uciekła przed jego pełnym uwielbienia spojrzeniem. Żeby tylko serce tak jej nie biło! Nie powinna robić sobie głupich nadziei z powodu tej sukni. Nic się nie zmieniło. Harry jest związany słowem z Oliwią. Musi go dotrzymać, bo tak nakazuje honor i od tego zależy szczęście jej siostry.

- Obiad gotowy - obwieściła Lily, stając na progu. Gdy Beatrice się odwróciła, służąca aż otworzyła usta ze zdumienia. - Jejku, panno Beatrice. Pani wygląda teraz jak prawdziwa dama!

Beatrice uśmiechnęła się i wyraźnie odprężyła.

- Dziękuję, Lily. Usiądźmy już do obiadu.

Jej ojciec podał ramię lady Susannie. Lord Dawlish prowadził do stołu Oliwię, a Harry zaofiarował swoje ramiona Beatrice i Nan.

- Dziękuję - powiedziała cicho, gdy podsunął jej krzesło. - Nigdy w życiu nie miałam tak pięknej sukni.

- To kobieta stanowi o pięknie sukni - odszepnęła Harry z figlarnym uśmiechem. - Kiedyś ci tego dowiodę, Beatrice.

Co mógł mieć na myśli? Wolała odwrócić głowę, gdy siadał naprzeciwko niej. Czyżby miał nadzieję, że gdy już weźmie ślub, uczyni ją swoją kochanką?

Cóż to byłoby za zgorzenie! A jednak była gotowa wyrazić zgodę na taką propozycję, gdyby był to dla niej jedyny sposób, by mieć Harry'ego dla siebie.

Cały następny ranek Beatrice spędziła na pieczeniu. Lily zaniósła lady Susannie na górę tacę z gorącą czekoladą i świeżymi, ciepłymi bułeczkami, toteż matki Harry'ego nie należało się spodziewać na dole przed południem. Harry i Oliwia zapewne poszli na spacer, chociaż Beatrice nie wiedziała, czy wybierają się do opactwa.

Miała właśnie wrócić do pokoju po zakończeniu pracy i przebrać się, gdy spotkała Harry'ego. Był sam.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Oliwia nie jest z panem? Sądziłam, że poszliście na spacer.

- Zdaje mi się, że była umówiona z lady Sophią -

odrzekł Harry z bardzo poważną miną. - Czy mogę porozmawiać z panią na osobności, Beatrice?

Wyraz jego twarzy bardzo ją zaniepokoił.

- Naturalnie, milordzie. Chodźmy do salonu. Czy coś się stało?

- Jak pewnie pani pamięta, Bellows z przyjaciółmi mieli przeszukać wczoraj wieczorem teren opactwa.

- Tak, naturalnie. - Beatrice poczuła niemiły dreszcz. - Czy coś się stało?

- Znaleźli w lesie miejsce, które może być grobem. Bellows mówi, że z pewnością ostatnio przekopywano tam ziemię. Jego zdaniem przed kilkoma tygodniami pagórka świeżej ziemi z pewnością nie było.

- Och, nie! - Beatrice opadła na sofę. Była wstrząśnięta do głębi, zrobiło jej się niedobrze. Chociaż sama brała udział w tych poszukiwaniach, nigdy nie sądziła, że istotnie zakończą się one znalezieniem grobu. Spojrzała na Harry'ego z pobladłą twarzą. - Czy sądzi pan... czy to na pewno grób markizy?

- Nie wiem. - Harry również wydawał się zaniepokojony. - Muszę przyznać, że istnieje taka możliwość, ale nie możemy być tego pewni, póki nie sprawdzimy.

- Zamierza pan... - Beatrice ogarnął lęk. - Czy nie lepiej byłoby wezwać policję i powierzyć im dochodzenie?

- Rozwahałem taką możliwość, ale gdyby okazało się, że nic nie znajdują, mogłaby powstać bardzo kłopotliwa sytuacja. Sywell ma jednak pewną pozycję, mimo że tak haniebnie się prowadzi. Zdecydowałem więc, że

pójdziemy tam wieczorem w kilka osób. Jeśli znajdziemy ciało, wezwę sędziego pokoju i dalej sprawą zajmie się wymiar sprawiedliwości. Jeśli nie znajdziemy niczego, możemy szukać dalej albo zrezygnować. Naturalnie w takim miejscu nawet długotrwałe poszukiwania nie muszą do niczego doprowadzić.

- No owszem. - Beatrice bardzo się zaniepokoiła, a zarazem miała poczucie, że sprawy ją przerosły. - Czy pan wszystko zorganizuje?

- Naturalnie. Nic strasznego się nie stanie. Bellows i jego przyjaciele doskonale znają opactwo. Na nich nie robią wrażenia opowieści o pogańskich rytuałach, które odprawiano przed wiekami w tamtejszych lasach, ani groźba narażenia się na klątwę bogów, którzy mieli tam swoje święte miejsce, zanim powstało opactwo. - Spojrzał na nią rozbawiony. - Nie wspomnę już o duchach mnichów wyrzuconych ze swej ziemi, które ponoć straszą w kaplicy. Obawiam się, że nasz Bellows prowadzi dość łądacki żywot, chociaż naturalnie ma po temu powody.

Beatrice uśmiechnęła się. Wiedziała, że Harry chce ją rozśmieszyć, żeby zapomniała o okropności tego, co dzieje się dookoła.

- Bellows od trzech lat pomaga nam utrzymywać dom - powiedziała. - Teraz, skoro już wiem, nie mogę pozwolić, żeby dalej było tak samo.

- Również jestem zdania, że należy położyć temu kres, zanim ktoś go złapie - poparł ją Harry. - Proszę się o to nie martwić, Beatrice. Obiecuję, że zanim wyjadę z Abbot Giles, wszystkie kłopoty zostaną rozwiązane.

Odwróciła wzrok, serce znowu biło jej jak szalone. Bała się jednak spytać, co Harry ma na myśli, wróciła więc do sprawy grobu w lesie.

- Czy powiedział pan Oliwii, że Bellows coś znalazł?

- Nie. I pani też nie wolno tego wyjawić dla jej dobra. - Harry uśmiechnął się dość smutno. - Zna pani swoją siostrę. Gdyby zaczęła podejrzewać, co się kroi, męczyłaby mnie tak długo, aż w końcu pozwoliłbym jej iść tam z nami. Ona umie posługiwać się kobiecymi wdziękami, gdy chce postawić na swoim. Pewnie zresztą to pani zauważyła.

- Tak. - Beatrice zaśmiała się, choć nie było jej wesoło. - Muszę przyznać, że mnie to najpierw zaskoczyło. Jej flirty są zupełnie niewinne.

- To prawda - przyznał Harry. - Oliwia jest uroczą panną. Jak pani myśli, dlaczego pół Londynu jej się oświadczyło?

Beatrice uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Było dla niej jasne, że Harry bardzo lubi Oliwię.

- Nie wolno dopuścić do tego, żeby towarzyszyła panu dziś wieczorem. To tylko utrudniłoby zadanie.

- Miałem na względzie przede wszystkim jej bezpieczeństwo - zauważył Harry. - Poza tym zrobiło się bardzo zimno na dworze. Dużo lepiej będzie jej w łóżku. Tym bardziej że jeśli cokolwiek odkryjemy, widok nie będzie przyjemny.

- Naturalnie. - Beatrice zadrżała i spojrzała na Harry'ego. - Domyślam się, że i mnie nie pozwoli pan iść?

- Zabronić niczego nie mogę, Beatrice - odrzekł

Harry - ale wolałbym, żeby została pani w domu. Wszystko potem opowiem. Proszę się nie obawiać, niczego nie będę ukrywał, bez względu na to, co znajdziemy.

- Wobec tego spełnię pańską prośbę - obiecała z uśmiechem. - Musi pan być głodny po przechadzce. Pójdę przebrać się, a potem podadzą nam w salonie południową przekąskę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez cały wieczór Beatrice nie odrywała oczu od Harry'ego. Obsesyjnie nachodziła ją myśl, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Nie było rozsądnie tak się zamartwiać, dobrze to wiedziała, znów jednak miała to samo złowieszcze przeczucie, jak wtedy, gdy po zmierzchu wracała do domu przez grunty opactwa. Dlaczego opactwo wydawało jej się takie niesamowite? Nigdy nie dawała wiary historiom o zjawach i duchach, a jednak teraz zastanawiała się, czy nad tym miejscem i jego mieszkańcami rzeczywiście nie ciąży klątwa.

Dręczył ją lęk, bała się o Harry'ego i Bellowsa. Czy dawni bogowie nie wpadną w gniew z powodu kolejnego najścia ich świętej ziemi?

Ech, głupio bać się czegoś, co istnieje tylko w legendach i mitach. Beatrice była pewna, że Harry takich obaw nie ma, wbrew temu, co mówił o siłach dobra i zła i ich skupieniu w niektórych miejscach na ziemi.

Gdy o wpół do dziesiątej wszyscy udawali się na spoczynek, przesłała Harry'emu wymowne spojrzenie, które ten skwitował uniesieniem brwi. Pokręciła głową. Nie miała nic do powiedzenia i nic nie mogła zrobić. Harry z nią rozmawiał i poprosił, by została w domu,

więc musiała posłusznie spełnić tę prośbę. A ponieważ dała słowo, że nikomu nie wspomni o jego planach, musiała również dotrzymać obietnicy.

O zaśnięciu jednak nie mogła marzyć. Leżała, wpatrując się w mrok, jeszcze długo po tym, jak Harry ukradkiem wyślizgnął się z domu. Gdyby mogła z nim iść! Miała ochotę wykraść się na dwór i ruszyć jego śladem, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że tylko przeszkadzałyby w poszukiwaniach. A Harry nie był sam. Towarzyszyło mu czterech silnych mężczyzn. Co złego mogło go spotkać? Naturalnie nic.

Mimo to sen nie nadchodził. Nie dawało jej spokoju przecucie, że Harry'emu coś grozi. Nie potrafiła pozbyć się niepokoju.

Straszne! Nie mogła leżeć obok siostry w czasie, gdy wszystkie jej myśli były przy mężczyznach w lesie. Postanowiła zejść na dół.

Zamierzała poczekać na Harry'ego w kuchni, ale nogi zaprowadziły ją gdzie indziej i nagle znalazła się przed drzwiami swojego pokoju, który teraz zajmował Harry. Może już wrócił?

Cicho zapukała i weszła do środka. Łóżko było puste, a więc Harry jeszcze nie wrócił. Postawiła świecę na gzymsie kominka, zapaliła dwie dodatkowe, po czym usiadła na parapecie. Wytrzymała w bezruchu zaledwie kilka minut i zaczęła nerwowo obchodzić wszystkie kąty. Zdawało jej się, że wszędzie odnajduje zapach Harry'ego.

Dotknęła jego szczotek, potem przytknęła twarz do szlafroka i kilka razy głęboko odetchnęła. Poczwała za-

pach sandałowego drewna i upręży. Och, jak kochała tego mężczyznę!

Nie spodziewała się, że kiedykolwiek obudzą się w niej takie uczucia. Były dla niej zadziwiającym odkryciem.

Wzięła z sobą szlafrok Harry'ego i usiadła na krawędzi łóżka, przyciskając go do piersi. W tej chwili zrozumiała, że dla miłości jest gotowa poświęcić wszystko.

Jeśli poprosi ją, by została jego kochanką, to się zgodzi. Nie mogła znieść myśli, że Harry wyjedzie, a ona więcej go nie zobaczy. Bez względu na to, jakie postawiłby jej warunki, była gotowa je przyjąć. Zależało jej tylko na tym, by jej siostra nigdy się o tym nie dowiedziała i nie cierpiała z tego powodu.

Uśmiechając się, położyła głowę na poduszce. Postanowiła tu poczekać na powrót Harry'ego.

Harry wszedł za Bellowsem do kuchni, gdzie obaj zdjęli ubłocone buty, posługując się zmyślnym wynalazkiem pana Roade'a, który tylko nieznacznie zarysował skórę butów Harry'ego.

- Każę je wyczyścić na rano, milordzie - powiedziała Bellows. - Nikt się nie dowie, że byliśmy nocą w lesie.

- Grób konia. - Harry pokręcił głową. - Muszę przyznać, że mi ulżyło, kiedy się o tym przekonałem.

- To byłoby wstrząsające, gdybyśmy znaleźli młodą kobietę - przyznał Bellows. - Czy pan życzy sobie, żebyśmy szukali dalej?

- Myślę, że jeszcze przez pewien czas musimy - odrzekł Harry. - Nie miałbym spokojnego sumienia, gdy-

byśmy teraz przestali. Może już niczego nie znajdziemy, ale przynajmniej próbujmy. Zrobmy wszystko, co w naszej mocy.

- Poszukamy na cmentarzu. - Bellows kiwnął głową. -- Za dnia zauważymy, czy ostatnio przesunięto jakieś kamienie. Nietrudno przecież niepostrzeżenie dodać do grobu jedno ciało.

- Tylko uważajcie - powiedział Harry. - Nie chcę mieć na sumieniu ani twojej śmierci, ani żadnego z twoich przyjaciół.

- Proszę się o mnie nie martwić. Tam są tylko Krak i lord Sywell, który ostatnio ani na chwilę nie trzeźwieje.

- Tak czy owak, zachowajcie czujność. Sywell ma prawo do was strzelać, jeśli was zauważy. Z pewnością wie, że w jego majątku rozplenili się kłusownicy.

- We wsiach jest dużo głodnych ludzi - powiedział Bellows i zmarszczył czoło. - Nie usprawiedliwiam tego, co robimy, wiem, że to niezgodne z prawem, ale gdyby markiz wywiązywał się ze swoich obowiązków, byłaby praca dla tych, którzy teraz prawie głodują. Zresztą, za przeproszeniem milorda, zwierzyzna po prostu się marnuje.

- Nie zamierzam cię osądzać - powiedział Harry. - Dobrze i wiernie służyysz panu Roade i jego córce, zasługujesz za to na szacunek i pochwałę, ale z kłusowaniem trzeba skończyć.

- Przypuszczam, że w przyszłości nie będzie już potrzebne, milordzie - odrzekł Bellows. - Czy mogę jako pierwszy złożyć panu gratulacje?

- Och, jeszcze się nie oświadczyłem damie, o której mowa. - Harry się roześmiał. - Widzę, przyjacielu, że nic się przed tobą nie ukryje. Idź teraz do łóżka i nie zapomnij podziękować przyjaciołom za to, co robią. Obiecuję, że wszyscy zostaną wynagrodzeni.

- Wiemy, milordzie. Dobranoc.

Harry skinął głową, nalał sobie brandy i sącząc trunek, ruszył ku schodom. Cieszył się, że nocna eskapada nie doprowadziła do tak makabrycznego wyniku, jakiego się obawiał. Może Oliwia jednak była w błędzie. Może słuszne było jego pierwsze wrażenie, że markiza Sywell po prostu uciekła od złego męża. Miał nadzieję, że właśnie ono okaże się prawdziwe, bo alternatywa wydawała się zbyt nieludzka.

Poszukiwania należało prowadzić, póki cały majątek nie zostanie sprawdzony, Harry jednakże nie zamierzał już angażować się w nie osobiście, chyba że okazałoby się to konieczne. Gdyby, na przykład, znaleziono następny grób, powinien być obecny przy jego badaniu, aby wesprzeć pracujących swoim autorytetem. Tymczasem jednak bardziej zależało mu na uporządkowaniu spraw z Oliwią. Obecny stan rzeczy był nie do przyjęcia. Dla dobra wszystkich trzeba go zmienić. Do tej pory Harry miał powody, żeby się nie śpieszyć, ale wkrótce musi wykazać więcej zdecydowania.

Gdy otworzył drzwi sypialni, zobaczył najpierw płonące świece, a potem uśpioną Beatrice. Jak pięknie wyglądała z włosami opadającymi na ramiona i lekko zarumienioną twarzą. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pomylił pokoi, ale nie. Beatrice była całkiem ubrana

i leżała na pościeli. Widocznie przyszła tu na niego poczekać.

Odstawił szklaneczkę brandy na gzyms kominka i cicho podszedł do łóżka. Co ją tutaj sprowadziło? Mógł się tylko domyślać. Widocznie nie mogła zasnąć, chciała być z nimi, lecz wiedziała, że tylko by przeszkadzała. Wstała więc, żeby nie zbudzić siostry, i przyszła tutaj... ale dlaczego tutaj? Dlaczego nie poczekała na niego w kuchni?

Ostrożnie usiadł na krawędzi łóżka, a ponieważ mimo swoich zasad nie umiał oprzeć się pokusie, pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Ocknęła się natychmiast, ale wciąż zdawało jej się, że śni.

- Harry, kochanie - szepnęła. - Jesteś cały i zdrowy... wróciłeś do mnie... dzięki Bogu. - Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować z taką pasją, że Harry zapomniał o wszelkich skrupułach.

Zwarli się w namiętym pocałunku. Przez cienką tkaninę jej szlafroka czuł dotyk jędrnych piersi ze stwardniałymi sutkami. Beatrice pragnęła go tak samo, jak on jej.

Skosztował smaku jej ust, a potem przeniósł pocałunki na szyję. Odchyliła głowę i cicho westchnęła, więc zsunął ramiączka nocnej koszuli i odsłonił piersi. Językiem zaczął igrać z sutkami, by po chwili przytulić twarz do brzucha. Skóra Beatrice była ciepła i pachnąca.

- Pragnę cię, Beatrice - szepnął. - Boże, jaka jesteś piękna.

- Jestem twoja, jeśli mnie pragniesz.

Pokusa stawała się coraz trudniejsza do odparcia. Jeszcze nigdy Harry nie miał takiego dylematu. Chciał posiadać Beatrice, ale mimo że leżała tuż obok i patrzyła na niego oczami zamglonymi namiętnością, wiedział, że nie może tego zrobić. Instynktownie wyczuwał, że jest nie tylko piękna, lecz również niewinna. Nie mógł przyjąć daru, który chciała mu tak szczerze ofiarować. Zaskoczyła ją we śnie, więc nawet nie miała czasu zebrać myśli. Nie wolno mu było wykorzystać tej sytuacji.

- Nie - powiedział, choć przyszło mu to z wielkim trudem. - To nie jest w porządku. Nie mogę tak postąpić. To nie byłoby uczciwe.

Beatrice wbiła w niego strwożony wzrok. Co on mówi? Najwidoczniej źle odczytała jego uczucia. On jej nie chce! Myśli o uczciwości, podczas gdy ona pragnie znaleźć się w jego ramionach. Dałaby wszystko za tę jedną noc miłosnych uniesień, nawet gdyby miała być zarazem ostatnią. Harry był jednak zbyt honorowym człowiekiem. W ostatniej chwili powiedział „nie” i przypomniał jej o dzielącej ich barierze. Ogarnęły ją wstyd i upokorzenie.

- Wybacz mi - szepnęła zduszonym głosem. - Chyba nie całkiem się obudziłam. Nie wiedziałam, co mówię.

Zanim Harry zdążył ją powstrzymać, odsunęła się od niego, zerwała z łóżka i uciekła z pokoju. Biegła, póki nie znalazła azylu w sypialni dzielonej z Oliwią.

Wiedziała, że nie będzie jej gonił. Przed chwilą całkiem się zapomniała, uległa namiętności, ale Harry zachował się jak prawdziwy arystokrata z rodu chlubiące-

go się wiekowymi tradycjami. Była przekonana, że jej nie zdradzi, ale jak miała teraz spojrzeć mu w oczy?

Oparła się o drzwi sypialni. Twarz jej płonęła. Ze wstydu najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Och, czemu była taka nierozsądna? Jak mogła się tak rozwiązać zachować? Co on sobie o niej pomyślał?

Po chwili wsunęła się w pościel i skuliła, wciąż przeżywając chwilę odrzucenia przez Harry'ego.

Jakże naiwnie sądziła, że jest dla niego kimś ważnym. Dlaczego miałaby być? Ze swoimi dwudziestoma trzema latami, u progu staropanieństwa? Oliwia jest młoda, świeża i urodziwa, no i umie się zachować, gdy dżentelmen z nią flirtuje. Każdy mężczyzna wybrałby Oliwię! Pozwoliła się zwieść bezpodstawnej nadziei..

Wiedziała, że nie tylko straciła głowę, lecz również oddała mu serce. Początkowo myśl o zostaniu jego kochanką budziła w niej sprzeciw, lecz tak bardzo pragnęła znaleźć się w jego ramionach i doznawać pieśzcot, że w końcu pragnienie okazało się silniejsze od zasad.

Należała jej się kara za taką niefrasobliwość. Wystawiła się na pośmiewisko i teraz musiała zdobyć się na maksimum godności, żeby jakoś przetrwać najbliższe dni. W każdym razie dla uniknięcia kłopotliwych sytuacji postanowiła trzymać się jak najdalej od lorda Ravensdena.

- Och, jesteś - powiedziała Oliwia, wchodząc do kuchni, gdzie Beatrice ukryła się następnego ranka. - Wiem już na pewno, że krzyżyk zgubiłam w opactwie.

Czy pójdziesz ze mną go poszukać? Proszę, siostrzyczko. On tak wiele dla mnie znaczy.

Beatrice zerknęła ku oknu. Ranek był pogodny, bez śladu mgły lub deszczowych chmur, uznała więc, że spacer dobrze jej zrobi, zwłaszcza że odkąd się zbudziła, męczył ją dotkliwy ból głowy. Poza tym wcześniej obiecała siostrze pomoc w poszukiwaniach.

- Naturalnie - odrzekła i zdjęła fartuch. - Przyniosę sobie okrycie i możemy iść.

- Czy widziałaś dzisiaj Harry'ego? - spytała Oliwia, gdy znalazły się w sieni. Poczekała, aż Beatrice włoży narzutkę i czepek. - Nan powiedziała mi, że wstał z kurami i wybrał się na przejażdżkę, ale chyba musiał już wrócić. Niedługo będzie pora lunchu.

- Jeszcze go nie widziałam - odparła Beatrice. Przez cały ranek na wszelki wypadek nie zbliżała się do salonu i nie zamierzała tego robić teraz. Była przekonana, że znajdzie sobie zajęcie gdzie indziej. Ale przecież Oliwia nie miała w jej nieszczęściu żadnego udziału. Wzięła siostrę za rękę i uśmiechnęła się do niej. - Powiedz mi, jak się czujesz. Czy już trochę ochłonęłaś? Nie jesteś chyba nadal zła na lorda Ravensdena?

- Nie, skądże. To było zwykłe nieporozumienie, rozdmuchane przez odrażającego Peregrine'a. Lubię Harry'ego. Jest życzliwy i troskliwy, a z tym jego poczuciem humoru można mieć całkiem dobrą zabawę.

- To prawda - zgodziła się Beatrice. - Myślę, że on jednak bardzo dobrze nadaje się na męża. Powinnaś głęboko się zastanowić, zanim podejmiesz jakiegokolwiek decyzje w tej sprawie, Oliwio.

- Och, na pewno to zrobię - odrzekła Oliwia, lecz jej ton wydał się Beatrice dość dziwny. - Poważnie się zastanowię przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji.

Beatrice skinęła głową. Tymczasem weszły już na grunt opactwa i szły tą samą wąską ścieżką, co przedtem.

- Ty patrz pilnie po jednej stronie - zaproponowała Beatrice - a ja będę uważać na drugą. Przy odrobinie szczęścia możemy go znaleźć.

- Myślę, że jest w ogródku zielnym, bo dotykałam go, kiedy tam staliśmy i rozmawialiśmy z lordem Dawlishem. - Mimo tego przekonania Oliwia zastosowała się do rady siostry. Szły więc ze wzrokiem wbitym w ziemię, licząc, że któraś z nich dostrzeże błysk złota. - Bardzo nie chciałabym go stracić, Beatrice.

Na ścieżce ani obok niej nie znalazły krzyżyka, cierpliwie szły jednak dalej drogą, którą przedtem pokonała Oliwia z lordem Dawlishem.

Ogródek zielny był zaniedbany, grządki zarosły zielkiem, mur w kilku miejscach runął i miał wyłomy, mimo to wciąż królowała tu atmosfera spokoju, jakiej niewątpliwie kiedyś szukali mnisi. Grządki porozdzielano żywopłotami, które kiedyś wyznaczały granice między częścią przeznaczoną na zioła lecznicze i na przyprawy, teraz jednak trudno już było odgadnąć, jak wyglądał dawny porządek.

- Staliśmy przy tej kamiennej ławce i właśnie tam dotykałam łańcuszka. - Nagle Oliwia wydała okrzyk i pochyliwszy się po przebiegnięciu kilku kroków, podniosła z ziemi zgubę. Potem odwróciła się,

żeby pokazać ją Beatrice, która została z tyłu. - Znalazłam. ...

Widok, jaki ukazał się jej oczom, całkiem ją zaskoczył. Beatrice stała twarzą w twarz z mężczyzną, mającym na sobie poplamiony, wygnieciony ubiór z poodrywany guzikami, który dawniej był zapewne dobrze skrojonym surdudem. Potargane włosy, niemyte i niestrzyżone już od dawna, opadały mu na twarz. Mężczyzna utrzymywał chwiejną równowagę i kłął ochrypłym głosem.

Niewątpliwie był to markiz we własnej osobie! Oliwia, skamieniała z przerażenia, uświadomiła sobie, że nie tylko jest pijany, lecz wygraża jej siostrze bronią. W dłoni trzymał jakieś złowrogo wyglądające narzędzie do strzelania, masywne, z szeroką lufą.

- Przekłęci kłusownicy! - wybełkotał. - Nauczę was, co to znaczy kraść na mojej ziemi. Powieszę was, niech inni wiedzą.

- Nie jesteśmy kłusownikami, sir - powiedziała Beatrice. Zbladła, ale głowę trzymała wysoko uniesioną. - Bądź pan rozsądny. Jesteśmy dwiema kobietami, które wyszły na spacer. Nikomu nie robimy krzywdy.

- Przekłęci kłusownicy. - Sywell obleśnie się do niej uśmiechnął. Był jednak za bardzo pijany, by zrozumieć, co naprawdę się dzieje. - Dość mam tego. Dam wam nauczkę.

Wycelował w Beatrice, niewątpliwie zamierzając pociągnąć za spust. Oliwia głośno krzyknęła. W tej samej chwili rozległ się tętent kopyt.

Beatrice odwróciła się i zobaczyła jeźdźca pędzące-

go prosto na nich. To był Harry! Koń bez trudu przesadził zmurszały mur, wylądował na grządkach i gnał prosto na markiza. Widać było, że Harry nie zawaha się go stratować.

Tym razem krzyk wydała Beatrice. Sywell musiał zdać sobie sprawę z tego, że coś się dzieje, bo odwrócił głowę. Wycelował w jeźdźca, na szczęście Oliwia skoczyła mu na plecy. Broń wystrzeliła w niebo, ale spłoszony wierzchowiec stanął dęba. Harry utrzymał się jeszcze przez chwilę w siodle, w końcu jednak musiał się poddać i przeleciawszy wielkim łukiem kilka jardów, ciężko upadł na ziemię. W tym samym momencie Sywell runął jak długi w pijackim stuporze.

- Harry! - krzyknęła przeraźliwie Beatrice. Podbiegła do miejsca, gdzie lord Ravensden leżał nieruchomo na plecach. Twarz miał białą jak kreda, oczy zamknięte. Uklękła przy nim i zaczęła głaskać go po policzkach, w panice zapominając o wstydzie i przyzwoitości. - Och, Harry, proszę, nie umieraj! Tak bardzo cię kocham. Proszę, nie umieraj. Nie zostawiaj mnie. Nie przeżyję tego, jeśli umrzesz.

Oliwia przyklękła obok niej. Przyjrzała się nieruchomej postaci Harry'ego.

- Musiał stracić przytomność wskutek upadku - powiedziała. - Zostań z nim, Beatrice, a ja pobiegnę po pomoc.

Beatrice ledwie ją usłyszała. Półprzytomna z trwogi, pochyliła się i pocałowała Harry'ego w usta. Jej łzy kapały mu na twarz, a ona wciąż błagała go, by nie umierał.

- Nie zostawiaj mnie - szeptała. - Żyj, żyj dla mnie, kochany...

Oliwia zerknęła na markiza, który leżał tam, gdzie upadł, z twarzą w zielsku. Nie ruszał się i wyglądało na to, że w najbliższym czasie nie będzie do tego zdolny.

- Markiz już jest niegroźny - powiedziała Oliwia.
- Zostań z Harrym, Beatrice. Zaraz wrócę.

Wszystkie myśli Beatrice były jednak w tej chwili z człowiekiem, który leżał przed nią nieruchomo na ziemi.

- Kocham cię - szepnęła, głaszcząc go po policzku.
- Kocham cię, kocham, kocham. Nie zostawiaj mnie, najdroższy, bo wtedy i ja umrę. Powiedz coś do mnie, powiedz, proszę.

Harry zamrugał powiekami. Jęknął cicho, otworzył oczy i spojrzał na nią mętnym wzorkiem.

- Co się stało? - Spróbował usiąść, ale cały świat zawirował mu przed oczami. - Coś ty mi zrobiła, Beatrice? Czuję się tak, jakby przewrócił się na mnie wóz z czwórką koni.

- Spadłeś z konia - wyjaśniła Beatrice, siadając na piętach. - Nie pamiętasz? Markiz groził mi garłaczem, a ty chciałeś go stratować. Próbował do ciebie strzelić, ale Oliwia rzuciła się na niego, więc nie trafił. - Beatrice chlipnęła. - Uratowała ci życie, Harry. Uratowała ci życie.

- Wielkie nieba, chyba masz rację. - Usiadł, ale tym razem powoli i ostrożnie. - Cóż to za dzielna młoda dama. Muszę jej podziękować. - Rozejrzał się i dostrzegł markiza leżącego na ziemi. — Gdzie ona jest? I co

z nim? Mam nadzieję, że Oliwia go nie zabiła. To byłoby dość kłopotliwe.

- Mam wrażenie, że zmógł go alkohol. A Oliwia pobiegła po pomoc - wyjaśniła Beatrice, przygryzając wargi, żeby się nie roześmiać. - Czy nigdy nie spoważniejesz, Harry? Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mogło się stać? Myślałam, że nie żyjesz.

- Naprawdę? - Harry uśmiechnął się do niej. - Na szczęście żyję. - Wyciągnął rękę. - Pomożesz mi wstać, Beatrice? Czuję się dziwnie, bardzo dziwnie.

Podawała mu rękę i pomogła podciągnąć się do pionu. Stał, choć przez chwilę kolana się pod nim ugięły.

- Muszę się na tobie wesprzeć - rzekł. Zauważyła jednak szelmowski błysk w jego oczach. - Bez twojej pomocy nie ujdę ani kroku.

- Oliwia sprowadzi Bellowsa - powiedziała, ponieważ właśnie przypomniał sobie, że zamierzała trzymać się z dala od Harry'ego. - Może poczekaasz, milordzie.

Harry rozejrzył się dookoła. Jego koń niespokojnie przebierał kopytami parę jardów dalej.

- Bellows może przyprowadzić biednego Rufusa. On jeszcze nigdy tak fatalnie się nie zachował, ale to nie była jego wina. Naprawdę sędzę, że musisz mi pomóc, Beatrice.

- Dobrze. Jeśli się pan na mnie oprze, to razem jakoś dopełzniemy do domu.

- Powoli - ostrzegł ją Harry. - Nie mogę iść szybko. Musisz być bardzo cierpliwa.

- Naturalnie - przytaknęła i spojrzała na niego za-

troskana. - Chyba rozciął pan sobie skórę na głowie. Po karku spływa panu krew.

- Mam takie wrażenie, jakbym rozłupał sobie głowę na pół, ale ufam, że i tym razem się mną zaopiekujesz, jeśli zachoruję.

Odniosła dziwne wrażenie, że z niej żartuje i celowo przypomina jej to, co było. Zaczzerwieniła się ze wstydu. Przecież po ostatniej nocy Harry z pewnością wiedział, ile dla niej znaczy.

- Naturalnie zmyję panu głowę.

- A więc znowu jesteście na „pan” - westchnął Harry. - Myślałem, że już mamy to za sobą, Beatrice.

- Proszę mi nie przypominać o moim braku rozsądku. - Najchętniej uciekłyby tak jak poprzedniej nocy, niestety, wiedziała, że nie może. - Na wpół spałam i nie byłam świadoma, co mówię. Powinien się pan zlitować i nie przypominać mi tego, o czym należałoby jak najszybciej zapomnieć.

- Mam nadzieję, że śniłaś o mnie.

Beatrice zwróciła ku niemu głowę, ale Harry przystanął i przymknął powieki tak, jakby bardzo cierpiał.

- Czy bardzo boli pana głowa?

- Prawdę mówiąc, tak - przyznał. - Obawiam się, że Sywell mógłby rzeczywiście cię zabić, gdybym nie zauważył, że wchodzisz na teren opactwa. Jeszcze chwila i byłoby za późno. Po co, u licha, przyszłyście tu same z Oliwią? Czyżbyście znowu szukały tego przekłętą grobu?

- Nie. - Beatrice się zarumieniła. - Szukałyśmy złotego łańcuszka z krzyżykiem, który Oliwia dostała od

matki. Zgubiła go, gdy była tutaj z lordem Dawlishem, i tak bardzo się tym przejęła, że zgodziłam się z nią wrócić i poszukać zguby.

- Czy nie przyszło wam do głowy, że to może być niebezpieczne? Czemu mi nie powiedziałyście, żebym zorganizował poszukiwania? Zastanów się, Beatrice. Gdybyśmy znaleźli ten grób, prawdopodobnie stałabyś oko w oko z mordercą, a nie z opojem, który tak słabo trzyma się na nogach, że kobieta może go przewrócić.

Beatrice przygryzła wargę. Wiedziała, że reprimenda jest zasłużona.

- Rozumiem, że w grobie nie było ciała markizy - powiedziała po chwili.

- Pogrzebano tam konia.

Skinęła głową. Bardzo jej ulżyło, że ich podejrzenia się nie potwierdziły.

- Przypuszczam, że markiz pogrzebał niejednego konia - stwierdziła. - Jest powszechnie znany z tego, że jeździ na złamanie karku. - Zerknęła na Harry'ego. - Zdaje pan sobie sprawę, że po tym, co zaszło dzisiaj, musimy przerwać poszukiwania. Ktoś mógłby niepotrzebnie zginąć.

Harry zmarszczył czoło.

- Tak, myślę, że masz rację. Wprawdzie zamierzałem szukać dalej, ale to stało się zbyt niebezpieczne. Jeśli markiz jest gotów strzelać do bezbronych kobiet, to na pewno nie zawaha się zabić Bellowsa lub któregoś z jego towarzyszy.

- Wcale nie byłam bezbronna, miałam siostrę. - Poczucie humoru bardzo się Beatrice w tej chwili przyda-

ło. Ciepło ciała Harry'ego budziło w niej doznania, o jakich chciała zapomnieć raz na zawsze, ale nie było na to rady.

- Ach, tak, zapomniałem. - Harry uśmiechnął się dziwnie. - Jeszcze jeden powód, dla którego jestem winien Oliwii wdzięczność.

- Nie powinien pan mówić o małżeństwie jak o długu wdzięczności - skarciła go Beatrice, obrona interesów siostry stała się bowiem nagle dla niej ważniejsza niż własne uczucia. - Oliwia jest uroczą, wielkoduszną panną, a pan nieraz wspominał, że ją lubi.

- Wcale temu nie przeczę. Darzę pani siostrę bardzo ciepłym uczuciem.

Beatrice ujrzała w jego oczach żar i szybko odwróciła głowę. Nie było wątpliwości. Harry jej pożądał. Świadczyły o tym jego pocałunki ostatniej nocy, mimo że słowa brzmiały inaczej. Ale jak miała go zagarnąć dla siebie? To byłoby nieuczciwe!

- Niech pan ze mną nie igra. Ostatniej nocy zachowałam się głupio, ale to dlatego... dlatego, że powiedział pan to, co powiedział.

- Wiem. - Harry spoważniał. - Nie masz się czego wstydzić, Beatrice. Wina leży w całości po mojej stronie. Trzeba wreszcie położyć temu kres i wszystko wyjaśnić. To już za długo trwa. Muszę porozmawiać z Oliwią.

- Tak, bo...

Beatrice urwała i raptownie się zatrzymała, widząc lady Susannę, Nan, Bellowsa, Lily i nawet Idę. Szli za Oliwią.

- Zdaje się, że wszyscy domownicy ruszyli mi na pomoc - powiedział Harry i zagadkowo się uśmiechnął. - Doprawdy, Beatrice, nigdy w życiu nie doświadczyłem dowodów takiego oddania, mimo że zatrudniam legiony służby.

- Czy jest pan ciężko ranny? - spytał Bellows, szybko do nich podchodząc. - Proszę pozwolić, że teraz ja pomogę, panno Beatrice.

- Pomogą mi Beatrice i Nan - zdecydował Harry, który wyraźnie odzyskał już zdolność dowodzenia. Jeśli nawet wcześniej był zamroczony, teraz myślał już całkiem jasno. - Ty znajdź, tymczasem mojego konia, który włączy się gdzieś w pobliżu, i pijanego markiza. Wyświadczysz mi przysługę, jeśli powiadomisz pana Burnecka, że jego pan leży nieprzytomny na ziemi. Potem przyprowadź do domu biednego Rufusa...

Harry miał powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej właśnie chwili zatrzęsała się ziemia i rozległ się ogłuszający huk.

- Papa! - krzyknęła Beatrice. - Musiał uruchomić przebudowany piec.

- Kiedy wychodziliśmy, był w kuchni - przyznała przestraszona Nan. - Ostrzegałam go, żeby nie rozpałał zbyt dużego ognia, ale powiedział, że chce sprawdzić wytrzymałość konstrukcji.

- Pomóż Harry'emu - poleciła ciotce i pobiegła w stronę domu. - Och, żeby papie nic się nie stało.

Była ledwie żywa ze strachu. Dlaczego jej ojciec ma taką niebezpieczną pasję? Nie zniosłaby następnej straty. Gdyby coś się stało drogiemu papie...

Kiedy znalazła się bliżej domu, ujrzała człowieka wypełzającego z wyrwy w ścianie kuchni. Twarz miał czarną od sadzy, ubranie nadpalone, ale na jej widok wydał radosny okrzyk.

- Nie martw się, nic mi się nie stało. Dobrze, że wszyscy wyszli z domu. Obawiam się, że tym razem zniszczenia są większe niż poprzednio.

- Och, papo... - jęknęła Beatrice i wybuchnęła płaczem. Szlochała tak, jakby miała wypłakać sobie oczy. - Bałam się, że nie żyjesz... albo jesteś ciężko ranny... nie zniosłabym tego...

- Już dobrze, dobrze. - Pan Roade niezgrabnie poklepał ją po ramieniu. Wydawał się zmieszany takim objawem uczuć. Beatrice zawsze była zrównoważona i rozsądna. - Nie ma potrzeby tak się przejmować, moja droga. To po prostu małe bum, trochę dymu i nic więcej.

Beatrice pokręciła głową. Łzy zaczęły jej płynąć i teraz za nic nie chciały przestać. Wiedziała, że nie płakała tak rozpaczliwie nawet po śmierci matki. Wtedy zaplanowała nad żalem, żeby ojcu było łatwiej, teraz jednak już nie zdołała. Wszystkie smutki i urazy, które tak długo w sobie dusiła, wylewały się z niej wielkim strumieniem. Tyle nie była już w stanie udźwignąć.

Odwróciła się, instynktownie szukając wzrokiem Harry'ego, i rzeczywiście natychmiast znalazł się przy niej, objął ją, a potem wziął na ręce i zaniósł do salonu. Tam położył ją na sofie i ukląkł obok na dywanie.

- Przepraszam - szlochała Beatrice. - Nie mogę przestać...

- Nie dziwię się - powiedział łagodnie Harry. - Za długo musiałaś dźwigać zbyt wiele ciężarów. - Podał jej chustkę do nosa. - Wytrzymaj oczy, najdroższa. Nie musisz już płakać. Jestem tu po to, żeby się tobą zaopiekować. Nigdy więcej nie będziesz się czuła samotna.

Spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Nie mówi pan tego poważnie - odparła. - Jesteś po słowie z Oliwią. Musisz się z nią ożenić. Tego wymaga honor.

- Musiałby, gdybym go chciała - rozległ się z progu głos Oliwii. Oboje raptownie odwrócili głowy w tamtą stronę. Oliwia figlarnie się uśmiechała. - Jak moja rozsądna siostra może być taka niemądra i wyobrażać sobie, że poślubię człowieka, który w ogóle mnie nie kocha. Wiem już od dawna, że Harry jest po uszy zakochany w tobie, Beatrice, ale o twoim uczuciu do niego nie miałam pojęcia, póki dziś rano nie zobaczyłam, jak się zachowujesz, myśląc, że stało mu się coś złego.

- Nie wiedziałaś? - Obok niej stanęła lady Susanna.
- To dziwne. Ja zorientowałam się natychmiast, gdy usłyszałam, w jaki sposób Beatrice wymawia jego imię. No i naturalnie pojęłam, że Harry się w niej zakochał, kiedy kupił jej suknię. - Roześmiała się wesoło.
- Pierwszy raz zobaczyłam, jak mój syn z własnej woli jedzie po zakupy. Musi naprawdę bardzo cię kochać, Beatrice.

- Mamo... - W oczach Harry'ego pojawił się ostrzegawczy błysk. - Doprawdy przesadzasz. Zapominasz o tym szmaragdowym naszyjniku, który dostałaś na urodziny.

- I po który bez wątpienia wysłałeś swojego plenipotentą do najlepszego jubilera w mieście.

- Trafiony, mamó! - zaśmiał się Harry. - Muszę przyznać, że nie lubię odwiedzać miejsc handlu, wyłączając mojego krawca i klub. Chyba że chcę kupić konia, rzecz jasna.

Beatrice oblała się intensywnym rumieńcem.

- Czy naprawdę nie chcesz poślubić Harry'ego, Oliwio? Byłam pewna, że powoli zmieniasz zdanie.

- Nie chcę, Beatrice, mówię całkiem szczerze - odparła Oliwia. - Od dłuższego czasu żyję nadzieją, że Harry nie oświadczy mi się ponownie, ale nawet gdyby to zrobił, odpowiedziałabym mu „nie”.

Harry wstał.

- Czy ktoś chciałby usłyszeć, jakie jest moje zdanie w tej sprawie? A może wszyscy jak tu jesteście, postradaliście zmysły?

- Chyba nie zamierzasz wypierać się miłości do Beatrice - zawołała jego matka. - Doprawdy, Harry, nie wiem, co cię czasem opętuje. Jeśli zlekceważysz ten uśmiech losu, to ja umywam ręce. Proszę cię, a nawet błagam. Nie bądź taki jak twój ojciec. Jego ojciec i mój zaplanowali nasze małżeństwo zaraz po naszym urodzeniu. Twój ojciec oświadczył mi się, zanim jeszcze skończyłam szkołę, bo miał poczucie, że to jest jego obowiązek. Nie kochał mnie i ja jego też nie. Na szczęście z czasem zostaliśmy przyjaciółmi i oboje znaleźliśmy pocieszenie u innych ludzi - urwała nieco zawstydzona. - Raz byłam zakochana.

- Naprawdę, mamó? - Harry wydawał się zbity

z tropu tą rewelacją. - Nie wiedziałem. Kiedy? - Zmarszczył czoło, a potem skinął głową. - Czy w ojcu Lilibet?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Jeśli wydawało ci się, że ona jest dla mnie ważniejsza, było tak z powodu mojego kochanego Roberta. Mieliśmy krótki romans, a potem on, niestety, umarł. Zostawił mi córeczkę jako pożegnalny prezent.

- Nic dziwnego, że tak przeżywałaś jej śmierć. - Harry posmutniał. - To była moja wina, mamó. Gdybym nie bawił się z dziećmi stajennych, nic złego by się nie stało. To ja powinienem był wtedy umrzeć.

- Nie! - Lady Susanna podeszła do niego blisko. Przez chwilę w skupieniu mu się przyglądała, a potem pogładziła go dłonią po policzku. - Pograżyłabym się w żałobie bez względu na to, które z moich dzieci by umarło. Kochałam bardzo was oboje, chociaż obawiam się, że raczej tego nie okazywałam. Nauczyłam się samodyscypliny. Tylko w ten sposób mogłam dalej żyć. Byłam przecież związana z człowiekiem, który mnie nie kochał, choć był moim przyjacielem, a człowiek, którego pokochałam, umarł. Jak mogłam sobie pozwolić na okazywanie uczuć? Kiedy Lilibet umarła, miałam poczucie, że to jest pokuta za moje grzechy. Gdybym okazała ci zbyt wiele miłości, ciebie też mogłabym stracić.

- Mamó. - Harry wpatrywał się w nią intensywnie. To dramatyczne oświadczenie musiało bardzo go poruszyć. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że tak to wszystko odczuwasz.

-A skąd mogłeś wiedzieć? Brałeś ze mnie przykład. Nauczyłeś się ukrywać uczucia, chronić się przed miłością. Błagam cię pokornie, żebyś dłużej tego nie robił. Jeśli nie oświadczysz się Beatrice, to stracisz największą wartość, jaką kiedykolwiek mógłbyś mieć w życiu.

Harry przez chwilę milczał. Zerknął na Beatrice, potem potoczył wzrokiem po twarzach wyrażających oczekiwanie. Za jego matką i Oliwią stali Nan, pan Roade i służba.

- Bellows, miałeś przyprowadzić mojego konia. Zechciej niezwłocznie wykonać to polecenie - powiedział, odnalazszy władczy ton. - Pani Willow, proszę z łaski swojej zrobić herbatę dla Beatrice i wziąć do pomocy Lily z Idą.

- Naturalnie, milordzie. - Nan uśmiechnęła się i odwróciła, by wypłoszyć z pokoju osłupiałe służące.

- Panie Roade, byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciał pan wezwać stangreta lady Susanny i tego, którego nająłem w Northampton. Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej przenieść się do mojego domu w Cambridgeshire, bo tu będzie teraz niezbyt wygodnie. Wprawdzie dom w Camberwell jest dość chłodny, ale jeśli wyślemy przodem służącego, to jeszcze przed zmrokiem spotka nas tam ciepłe przyjęcie. Bellows może tu zostać i zająć się niezbędnymi naprawami, a służba przygotowuje bagaże i wyśle je jutro wozem.

- Tak, tak - powiedział pan Roade i oczy mu pojaśniały. - Czy to jest dom, o którym pan mówił, że jest bardzo stary i hula po nim wiatr?

- Mam kilka starych domów, po których hula wiatr

- odrzekł pogodnie Harry. - Proszę nie przejmować się dzisiejszym niepowodzeniem. Przypuszczam, że jeśli dostatecznie starannie przeanalizujemy kwestię, to znajdziemy miejsce, w którym pańskie obliczenia odbiegły od rzeczywistości, a potem szybko wymyślimy odpowiedni środek zaradczy.

- Tak, jestem przekonany, że już znam odpowiedź.

- Pan Roade uśmiechnął się do Harry'ego. - Powinniśmy doskonale się dogadywać, Ravensden. Widzę, że jest pan wyjątkowo przewidującym człowiekiem. Wiedziałem to od dnia, gdy pojawiłeś się w tym domu. Czy nie wspominałem ci od razu, że Beatrice będzie znakomitą żoną?

- Tak było, sir.

Pan Roade skinął głową, jakby to on wszystko zaaranżował, spojrzął życzliwym okiem na córkę i wyszedł z pokoju.

- Panno Oliwio - Harry uśmiechnął się - już od dłuższego czasu chciałem zaproponować pani nie małżeństwo, a przyjaźń. Zamierzam też założyć na pani nazwisko fundusz w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, na wypadek, gdybym się zapomniał i nagle doszedł do wniosku, że nie interesuje mnie kolor pani sukni. Mam nadzieję, że okaże pani wielkoduszność i zechce przyjąć tę propozycję. Bardzo mi ciąży na sumieniu to, że za moją sprawą przeżyłaś kompromitację, i muszę, do prawdy muszę, zrekompensować to pani dla własnego spokoju ducha.

- Dziękuję za szczodrość, lordzie Ravensden - powiedziała Oliwia, a w policzkach zrobiły jej się urocze

dołki. - Nie odrzucę tej wspaniałej propozycji, bo dzięki niej mogę stać się niezależna, a muszę powiedzieć, że postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż.

- Oliwio - Beatrice wydawała się w najwyższym stopniu zaniepokojona - z pewnością któregoś dnia...

- Postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż, chyba że spotkam mężczyznę, którego będę mogła pokochać tak, jak moja siostra kocha pana, Harry. - Słodko się do nich uśmiechnęła. - Pójdę teraz na górę i spakuję kilka drobiazgów niezbędnych w podróży. Lily może mi pomóc. Spakujemy również twoje rzeczy, Beatrice, a Nan z pewnością chętnie pomoże lady Susannie.

- Dziękuję, panno Oliwio - powiedział Harry. - Och, nie, do diabła z tym! Po co te ceregiele? Skoro wyrobiliśmy już sobie nawyk swobodnego zwracania się do siebie, to czemu mielibyśmy to zmieniać?

- No właśnie, czemu? - poparła go Oliwia. - Zwłaszcza że powinniśmy wkrótce zostać spokrewnieni przez małżeństwo, w każdym razie to spodziewam się usłyszeć.

- Oliwio! - zgromiła ją Beatrice. - On mi się jeszcze nie oświadczył.

- Bo nie miałem okazji - odparł Harry. Zerknął na matkę, a Oliwia tymczasem wyszła. - Jeśli wyobrażasz sobie, mamo, że zamierzam się oświadczyć w twojej obecności, to grubo się mylisz.

- Nie muszę przy tym być - zgodziła się lady Susanna. - Nie chcę jednak żadnej innej synowej, droga Beatrice. - Dźwięcznie się zaśmiała. - A teraz znikam, bo mój syn zaraz straci cierpliwość.

- Harry - szepnęła Beatrice, gdy wreszcie zostali sami. - Nie wzbraniaj się tak przed ich obecnością. Zrozum, oni bardzo się interesują tym, co ma się stać. Nawet biedna Lily i Ida.

- Dom będzie naprawiony, tak jak powiedziałem - obiecał Harry. - Służba ma zapewnione miejsce tutaj, chyba że będziesz chciała kogoś wziąć z sobą. Reszta dostanie taką pracę, jaką wybierze dla nich Bellows. Pani Willow zapewnię tyle pieniędzy, żeby starczało na przyzwoite prowadzenie domu. Twój ojciec naturalnie zamieszka z nami, musi jednak mieć również ten dom, żeby zachować poczucie niezależności i móc tu przyjechać, kiedy będzie chciał. Przypuszczam, że z tym domem wiąże wiele drogich wspomnień.

Beatrice wzięła go za rękę i mocno uściśnęła.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała. - Chyba nie pozwolisz papie prowadzić eksperymentów w swoim domu?

- Mój dom w Camberwell jest stary i nie musi stać wiecznie - odrzekł Harry i szelmowsko się do niej uśmiechnął. - Poczekaj, aż sama się przekonasz, jak tam bywa zimno. W zimie można wytrzymać tylko w Ravensden. Osobiście wolę jednak swój dom w Londynie. Możesz mi wierzyć, kochanie, że twój ojciec tylko wyświadczy nam przysługę, jeśli wysadzi Camberwell w powietrze. Zbudujemy wtedy dużo nowocześniejszy dom, w którym będzie znacznie cieplej.

Beatrice wybuchnęła śmiechem. Ślady łez wyschły już dawno. Wstała, mierząc Harry'ego niepewnym

spojrzeniem. Wydawało jej się, że spełniają się jej najbardziej fantastyczne marzenia, i wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Czy naprawdę chcesz się ze mną ożenić, Harry?

- Jak możesz w to wątpić, kochanie? - Uniósł jej dłoń do warg i pocałował. - Pokochałem cię, jeśli nie w chwili, gdy się spotkaliśmy, to na pewno wtedy, gdy wbiegłaś w panice do mojej sypialni, a włosy opadały ci na twarz. A potem, kiedy opiekowałaś się mną w chorobie, moja miłość rosta.

- Wzywałeś Merry. Myślałam, że to twoja kochanka, ale potem wyjaśniłeś mi, że to żona lorda Dawlisha.

- Naturalnie miewałem kobiety - powiedział Harry, mrużąc oczy. - Ale żadnej z nich nie kochałem. Mama miała rację. Postanowiłem zrezygnować z miłości, bo się jej bałem. Kochałem Lilibet, a ona umarła. Wyobraziłem sobie, że jeśli znów pozwolę sobie obdarzyć kogoś miłością...

- Rozumiem. - Beatrice dotknęła jego warg. - Ja też miałam bardzo przykre przeżycie, kiedy jeszcze byłam bardzo młoda, i sądziłam, że już nigdy nikogo nie pokocham. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że on bardziej zranił moją dumę niż serce. Dopiero ty nauczyłeś mnie, czym jest prawdziwy ból, Harry. Omal nie pękło mi serce, kiedy myślałam o twoim małżeństwie z Oliwią. A gdy spadłeś z konia, naprawdę się przeraziłam.

- Słyszałem, jak mnie błagasz, żebym żył. - Uśmiechnął się do niej czule. - Muszę wyznać, że wcale

nie byłem aż tak bardzo potłuczony, jak można było sądzić.

- Gdybyś nie przeżył, to i ja chyba bym umarła, ale i tak wiedziałam, że twoim obowiązkiem jest oświadczyć się Oliwii, a ja nie mam prawa cię kochać.

- Początkowo sądziłem, że istotnie nie mam innego wyjścia, jak tylko błagać Oliwię, żeby została moją żoną - powiedział Harry. - Przecież dałem słowo twojej siostrze, a potem z powodu mojej nieostrożności lord Burton wyrzucił ją z domu. Stopniowo jednak zacząłem sobie uświadamiać, że nie mogę jej poślubić, skoro moje serce należy do ciebie. Ale było jeszcze za wcześnie na naszą poważną rozmowę. Musiałem poczekać. - Przesłał jej spojrzenie pełne żalu. - Zresztą nawet nie byłem pewien, czy odwzajemniasz moje uczucie. Dopiero kiedy cię pocałowałem i przekonałem się, jak ochoczo w tym współuczestniczysz, doszedłem do wniosku, że trzeba znaleźć sposób na właściwe ułożenie spraw.

- Och, Harry. - Beatrice uśmiechnęła się, choć do oczu znowu napływały jej łzy. - Wczoraj w nocy uciekłam, bo było mi wstyd z powodu tego, co zrobiłam. Tak rozpustnie chciałam ci się oddać.

- A ja bardzo chciałem przyjąć ten wspaniały dar. Bardzo cię pragnąłem, Beatrice, ale było mi wstyd, że chcę pozwolić na tak niestosowny związek. W tych sprawach zawsze kierowałem się własnym kodeksem honorowym. Wiedziałem, że jesteś niewinna, i że taką właśnie muszę cię doprowadzić do ołtarza. Czarującą i nietkniętą.

- Wciąż jeszcze mi się nie oświadczyłeś - przypomniała mu z lęku, że jeśli zaraz się nie roześmieje, to znów popłyną jej z oczu łzy.

Harry zachichotał i ukląkł przed nią.

- W imieniu własnym, mojej matki i wszystkich innych zainteresowanych stron z całego serca błagam się, byś wyświadczyła mi honor zostania moją żoną. Darzę cię wielkim poważaniem, większym już chyba nie można, a gdybyś jednak nie przyjęła tych oświadczeń, z pewnością runąłbym w otchłań rozpacz.

- Czy ty nigdy nie spoważniejesz, Harry? - spytała Beatrice, przesyłając mu wymowne spojrzenie. - Zastanawiam się, czy po takich oświadczeniach jednak ci nie odmówić. Miałbyś za swoje, gdybyś miesiącami musiał czekać w niepewności.

- Ale nie zamierzasz tak postąpić, prawda, najukochańsza? - spytał Harry, wstając. - Dobrze wiesz, że jeśli w tej właśnie chwili nie zgodzisz się zostać moją żoną, to najprawdopodobniej porwę cię siłą na górę i będę cię pieścił, póki nie ustąpisz.

Beatrice wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Kusi mnie pan. Skoro wysuwasz takie groźby, to kto wie? Może poczekam, żeby się przekonać, czy je spełnisz.

Harry objął ją mocno i pocałował tak namiętnie, że zaparło jej dech. Gdy wreszcie ją puścił, spojrzała mu w oczy.

- Czy jesteś pewny, że chcesz mnie poślubić? Czy nie oświadczasz mi się tylko po to, żeby spełnić życzenie swojej matki?

- Beatrice - odparł groźnie Harry - liczę do...
- A co tam - zawołała. - Jeśli nie mogę inaczej ocalić cnoty, to przyjmuję twoje oświadczenia. Przyjmuję cię sercem, umysłem i ciałem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Pięknie wyglądasz - pochwaliła Oliwia, gdy skończyła układać welon na czepku Beatrice - I masz śliczną suknię. Madame Felice nie uszyłaby ci elegant-szej, gdyby znalazła czas, żeby się tobą zająć.

- Lady Susanna była oburzona jej odmową - powiedziała Beatrice i wybuchnęła śmiechem. - Mnie to nie przeszkadza. Madame Coulanges była dla mnie niezwykle uprzejma, więc jestem bardzo zadowolona ze swojej wyprawy. Nigdy nie miałam tylu pięknych rzeczy. A Harry ciągle mi coś kupuje. To jakaś ozdóbkę, to klejnot, to inny drobiazg, który wpadł mu w oko.

- Czemu miałyby tego nie robić? Przecież zasługujesz na te wszystkie prezenty. Przez lata niczego nie miałaś, a teraz możesz mieć właściwie wszystko, co tylko można kupić.

- Nawet więcej - powiedziała Beatrice z entuzjazmem, przekonana, że znalazła prawdziwą miłość. - Czy będziesz nas czasem odwiedzać, Oliwio?

Spojrzała na siostrę z niepokojem. Rozpoczął się remont Roade House i Oliwia postanowiła zamieszkać razem z ojcem w Abbot Giles. Nawet nie chciała towarzyszyć Beatrice i lady Susannie w wyprawie do Londynu po ślubny strój.

- Naturalnie, nawet często.

Beatrice uśmiechnęła się i rozejrzała po swojej starej sypialni. Postanowiła wziąć ślub w Abbot Giles, a uroczystość miała się odbyć właśnie tego ranka. Lady Susanna chciała wydać wielkie przyjęcie na cześć oblubieńców, ale Beatrice ubłagała ją, żeby zgodziła się na cichy ślub na wsi.

- Chciałabym, żeby moi przyjaciele zobaczyli mnie, jak stoję przed ołtarzem - powiedziała nieśmiało Harry'emu. - Może później wydasz dla nas bal w Londynie, żeby ucieszyć mamę i wszystkich twoich przyjaciół.

- To znakomity pomysł - zgodził się natychmiast. Był zdania, że należy uszanować życzenia Beatrice. - Nie mogłabyś odebrać Idzie i Lily przyjemności usługiwania ci w dniu ślubu, prawda, kochanie?

- To oczywiste, że obie będą chciały zobaczyć, jak wychodzę do kościoła - odrzekła Beatrice - i zjeść po kawałku weselnego tortu.

- Czy upieczesz go osobiście, kochanie?

Beatrice zerknęła na niego groźnie.

- Nie będę miała na to czasu.

- Słusznie. Co za pomysł?! - wykrzyknęła lady Susanna, piorunując syna wzrokiem. - I bez tego ledwie zdążymy z przygotowaniami, skoro mój niecierpliwy syn orzekł, że dłużej niż do Bożego Narodzenia czekać na ślub nie będzie. Nie wiem, jak to sobie wyobrażałeś, ale czas nie jest z gumy.

- Udałoby się jeszcze szybciej, gdybym zdołał przekonać Beatrice - powiedział Harry. - Suknie mogą

poczekać. Beatrice ma przed sobą całe życie na odwiedzanie modniarek, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

Beatrice uśmiechnęła się. Wówczas dzień ślubu wydawał jej się bardzo odległy, ale wyjazd do Londynu, choć bardzo przyjemny, okazał się również męczący, i ani się obejrzała, a była z powrotem w Abbot Giles.

A teraz wreszcie nadszedł wyczekiwany dzień ślubu, dwudziestego drugiego grudnia. Beatrice jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Suknię miała z kremowego aksamitu obficie zdobionego nieco jaśniejszymi koronkami. Efektowny czepek również był przybrany koronką, a ponadto granatowymi wstążkami.

Harry wołał ją jednak oglądać w zieleń, toteż kilka jej nowych sukni było w różnych odcieniach tego właśnie koloru. Kremowy wydawał się jednak Beatrice znacznie bardziej stosowny na ślub jako symbol czystości i niewinności.

Noc poślubną i pierwsze kilka dni małżeńskiego życia mieli spędzić w Camberwell, które wbrew zapowiedziom Harry'ego okazało się bardzo przytulnym domem. Zresztą Harry zatrudnił małą armię mistrzów rzemiosła, żeby było tam wygodniej mieszkać.

- Wiosną odwiedzimy wszystkie moje majątki - obiecał - ale przypuszczalnie najczęściej będziemy przebywać w Londynie. Chyba że masz szczególne upodobanie do życia na wsi, kochanie.

- Mogę być szczęśliwa wszędzie, byle z tobą, Harry.

- Może każę wybudować dla nas nowe skrzydło w Ravensden - powiedział i pocałował ją w rękę. -

Mamy całe życie dla siebie, możemy decydować, co z nim robić.

Była to prawda. Beatrice nie mogła się doczekać chwili, gdy ich wspólne życie naprawdę się rozpocznie.

- Czy jesteś gotowa, kochanie?

Pytanie Oliwii wyrwało ją z zamyślenia. Zerknęła na swoje odbicie i dotknęła sznura pereł, który dostała w zaręczynowym prezencie od Harry'ego oprócz wielkiego pierścienia ze szmaragdem i brylantami, godnego przyszłej żony lorda Ravensdena. Beatrice wiedziała, że w londyńskim banku czeka na nią wiele rodzinnych kosztowności Harry'ego, ale ten sznur pereł był podarkiem bardzo osobistym. Nie nosiła go jeszcze żadna panna młoda w rodzinie Ravensdenów.

- Sam je wybrałem - powiedział Harry, zapinając jej sznur na szyi. - Słowo daję, że nie kazałem ich kupić plenipotentowi.

Beatrice uśmiechnęła się na to wspomnienie. Zerknęła na siostrę i skinęła głową.

- Tak, jestem gotowa - powiedziała. - Chodźmy na dół.

W sieni najbliżsi i służba zebrali się przy drzwiach, by być świadkami wyjścia oblubienicy do kościoła.

- Ale pani ślicznie wygląda - pochwaliła Lily.

- Jaka dama! - Ida pociągnęła nosem. - Pani już nigdy nie będzie nasza.

- Musicie tu zostać i opiekować się papą - powiedziała Beatrice, uśmiechając się do nich. - I nie myślcie, że nigdy więcej mnie nie zobaczycie. Będę czasem wracać, by odwiedzić wszystkich przyjaciół. Obiecuję.

- Jesteś piękna - szepnęła Nan i wsunęła jej w dłoń bukiet kwiatów z wstążkami. - Zawsze miałam nadzieję, że znajdziesz sobie dobrego mężczyznę, moja droga, no i go masz.

- Wiem. - Beatrice uśmiechnęła się i ucałowała ciotkę w policzek. - I nie jest ani trochę ociężały umysłowo.

Zwróciła się do ojca.

- Idziemy, papo?

Pan Roade podał jej ramię.

- Bądź szczęśliwa, moja droga - szepnął, gdy wsiedli do powozu, który miał ich zawieźć do kościoła. Był to bardzo elegancki pojazd z herbem Ravensdenów wymalowanym na drzwiczkach. Harry dał go swojej żonie jako jeden z wielu prezentów ślubnych. - Jestem zresztą pewien, że Ravensden będzie o ciebie dbał.

- Będziesz nas często odwiedzał, papo, prawda?

- Z pewnością. Mój pomysł grawitacyjnego ogrzewania jest już prawie doskonały, Beatrice. Obiecałem Ravensdenowi, że zamienię Camberwell w przytulny, doskonale ogrzany dom. Prawdopodobnie będę gotów do rozpoczęcia prac za parę miesięcy, jak tylko nacieszycie się sobą.

Beatrice uśmiechnęła się. Dzielnie zniosła wiadomość o przewidywanym zamachu na Camberwell. Na szczęście Harry obiecał jej objazd wszystkich majątków, gdy tylko nadejdzie wiosna. Na pewno zajmie im to kilka tygodni, a poza tym zawsze mają w rezerwie piękny dom w Londynie.

Harry i lady Susanna zamieszkali w Jaffrey House. Odkąd earl Yardley usłyszał, że Ravensden i Beatrice biorą ślub w kościele w Abbot Giles, nie zgodziłby się na żadne inne rozwiązanie.

- Znałem twojego ojca, Ravensden - powiedział Harry'emu. - Wyświadczycie mi honor wraz z lady Susanna, przyjmując na te dni moją gościnę. Poza tym chętnie udostępnię wam mój dom na weselne przyjęcie.

Harry przyjął tę propozycję w tym samym duchu, w jakim ją złożono. Przywiózł z sobą służących i kucharzy, żeby przygotować odpowiedni posiłek dla gości. Zamierzony cichy ślub stał się znacznie bardziej huczny, niż spodziewała się Beatrice. Ponieważ jednak oprócz przyjaciół Harry'ego większość zaproszonych stanowili mieszkańcy czterech pobliskich wsi, nie miała powodów do narzekań.

- Przygotujemy jedzenia i piwa w bród dla wszystkich, którzy będą chcieli - powiedział Harry, gdy dzielił się z nią swoimi planami. - Na wesele może przyjść każdy mężczyzna, kobieta i dziecko z okolicy. - Uśmiechnął się i pocałował narzeczoną. - Chcę, żeby wszyscy mieli udział w moim szczęściu, Beatrice. Kiedy pierwszy raz jechałem do Abbot Giles, bałem się nudy. Tymczasem odkąd się tu znalazłem, nie nudziłem się ani minuty. I jestem gorąco wdzięczny wszystkim mieszkańcom czterech wsi za to, że dali mi tak uroczą oblubienicę.

Beatrice zaprosiła kilka wiejskich dziewczynek do orszaku ślubnego, a Oliwia miała trzymać je w ryzach, co było nie lada zadaniem! Naturalnie o takim wspania-

łym ślubie we wszystkich czterech wsiach aż huczało. To było wydarzenie, które ludzie mieli jeszcze długo wspominać.

Przed kościołem mimo chłodnego poranka zgromadził się tłum, który czekał na przyjazd panny młodej. Gdy wysiadała z powozu, powitały ją radosne okrzyki i oklaski. W kościele nie było ani jednego wolnego miejsca. Beatrice była znacznie bardziej lubiana, niż sama sądziła, a wszyscy bardzo się cieszyli, że tak jej dopisało szczęście.

Beatrice nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, ilu ludzi przyszło na jej ślub, bo odkąd znalazła się w kościele, widziała już tylko mężczyznę, który czekał na nią przy ołtarzu. Odwrócił się, słysząc, jak zagrzmiały organy, i spojrzał na nią tak czule, że omal nie popłynęły jej łzy.

Szła ku niemu wyprostowana, z głową wysoko uniesioną, wspierając się na ramieniu ojca.

- A więc - Peregrine zwrócił się do Beatrice podczas weselnego przyjęcia - muszę życzyć pani szczęścia. - Było widać, że te słowa przychodzą mu z trudem. - Przynajmniej tym razem Ravensden wybrał rozsądną kobietę. Przypuszczam, że mogę liczyć na dobry obiad, jeśli chciałbym was odwiedzić.

- Naturalnie, sir - uśmiechnęła się Beatrice. Nawet jego jadowite uwagi nie mogły zakłócić jej szczęścia. Zresztą poza sir Peregrine'em wszyscy przyjaciele Harry'ego witali ją z wielką życzliwością, a zwłaszcza Merry Dawlish, która już planowała u nich długą wizytę.

tę na wiosnę. - Wszyscy goście zaproszeni przeze mnie lub Ravensdena mogą liczyć na wszelkie możliwe przywileje w naszym domu.

Nie dodała jednak, że chciałaby go gościć, więc obdarzyła ją urażonym spojrzeniem, zanim odszedł, by porozmawiać z lady Susanną.

Natychmiast zjawił się przy niej Harry.

- Co miał do powiedzenia odrażający Peregrine?

- Nic, z powodu czego musiałybyś tak się chmurzyć, mój drogi. Nie musisz się o mnie bać. Kiedy twój kuzyn odwiedził nas pierwszy raz, byłam trochę niedysponowana, ale teraz znakomicie sobie z nim radzę.

Harry'emu zabłyśły oczy.

- Czy zdołam cię przekonać, żebyśmy nie zapraszali odrażającego Peregrine'a częściej niż raz na pięć lat?

- Harry! - skarciła go ze śmiechem. - Mam nadzieję, że jednak lepiej znam obowiązki wobec twojego kuzyna, nawet jeśli jest odrażający. Przyjedzie wtedy, kiedy będzie Merry, na wiosnę.

- Ale swoje obowiązki wobec mnie też znasz, prawda? - spytał Harry, przyglądając jej się coraz bardziej roznamiętinionym wzrokiem.

- Kochać, szanować i okazywać posłuszeństwo. - Spojrzała mu w oczy. - Postaram się być obowiązkową żoną, milordzie.

- Czy wobec tego sądzisz, że uda ci się wkrótce pożegnać gości i dyskretnie zniknąć, Beatrice? Chciałbym zostać sam na sam z panną młodą.

- Zrobię, jak mi każesz, milordzie.

- Ciekawe. - Harry wybuchnął śmiechem. - To zu-

pełnie nowa Beatrice. Chciałbym wiedzieć, jak długo wytrzymasz w roli potulnej żony?

Nie pozwoliła się sprowokować. Tylko pokręciła głową i poszła zmienić suknię. Lady Ravensden doprawdy nie wypadało przyznać, że marzy o tym sam na sam z mężem tak samo jak on.

Nan i Oliwia już czekały, by pomóc jej w przebieraniu. Potem były liczne uściski, pocałunki i życzenia. Beatrice zbliżyła się do grupki panien ze wsi, czekających, by zobaczyć jej odejście. Uniosła wysoko swój bukiet, roześmiała się i cisnęła go między dziewczęta. Złapała go jednak Oliwia.

Tymczasem Harry rzucał garście monet między miejscowych urwisów, którzy już czyhali na tę chwilę i natychmiast zaczęli chciwie zbierać z ziemi złote i srebrne krążki.

Beatrice przyjrzała się temu rozbawiona, a potem wsiadła do powozu, pomachała gościom na pożegnanie i ruszyli.

- Nareszcie - powiedział Harry, gdy stanęli w zaciśnym saloniku, który kazał dla nich przygotować. Na kominku płonął ogień, co po jeździe w chłodzie miało niemałe znaczenie. Czekał też na nich nakryty stół z winem. Oprócz osobistego służącego Harry'ego i pokojówki Beatrice reszta służby udała się już na spoczynek. - Chodź do mnie, Beatrice. Muszę się przekonać, czy chętnie chcesz służyć swojemu panu.

Roześmiała się, odkrywszy żartobliwą nutę w jego głosie. Była w bardzo eleganckiej, ciężkiej sukni po-

drożnej z ciemnozielonego jedwabiu, a włosy miała ułożone w kunsztowną fryzurę z mnóstwem swobodnie opadających loczków.

- Bardzo chętnie - powiedziała z radosną miną. - Czego sobie życzysz, mężu?

Harry wyciągnął ręce i zaczął jej wyjmować szpilki z włosów. Beztrosko upuszczał je na podłogę, uwalniając pasmo za pasmem. Wreszcie wsunął jej ręce we włosy i nie spoczął, póki ich nie potargał.

- No dobrze. Właśnie coś takiego zobaczyłem, kiedy ocknąłem się zboleły w chorobie, która niechybnie odebrałaby mi życie, gdyby nie twoje poświęcenie.

- Zrobiłam tylko to, co zrobiłaby na moim miejscu każda kobieta.

- Nie! Zrobiłaś o wiele więcej, więcej, niż miałbym prawo oczekiwać - rzekł czule Harry. - Tak wiele mi dałaś, choć byłem prawie obcy. Dlaczego, Beatrice? Przecież wtedy nie miało dla ciebie znaczenia, czy żyję, czy nie.

- Nie pozwoliłabym ci umrzeć w domu papy. Co powiedzieliby ludzie? - Uśmiechnęła się figlarnie, ale przestała żartować, gdy popatrzyła mu w oczy. - Może po prostu pokochałam cię od pierwszej chwili. Odkąd cię zobaczyłam, zanim jeszcze poznałam twoje imię.

- Ale próbowałaś odprawić mnie z domu...

- Skrzywdziłeś moją siostrę, dlatego nie słuchałam głosu serca. Wbiłam sobie do głowy, że musisz być potworem, który bez wahania zniszczył jej życie.

- Kiedy zmieniłaś zdanie? - Harry obrzucił ją skupionym spojrzeniem.

- Kiedy? - Beatrice znów się uśmiechnęła. - Och, milordzie. Chyba wtedy, gdy odchyliłam prześcieradło i zobaczyłam cię... - urwała i spłonęła rumieńcem.

- ..nagiego? - Harry wybuchnął śmiechem, a oczy namiętnie mu zapłonęły.

- Jak cię Pan Bóg stworzył. - Przyglądała mu się zuchwale.

- Zdaje się, że mam rozwiązań żonę.

- To bardzo możliwe - przyznała Beatrice. - Czy jesteś bardzo głodny, milordzie? Bo ja nie mam szczególnej ochoty na kolację.

- Jestem głodny, ale chcę tylko ciebie. - Objął ją i pocałował czule, lecz zarazem namiętnie. Była zawarta w tym pocałunku cała jego tęsknota. - Chyba czas położyć się do łóża, lady Ravensden. - Uśmiechnął się i ją puścił. - Idź na górę, a ja zaraz do ciebie dołączę.

- Tak, milordzie - powiedziała z przykładną skromnością Beatrice. Harry nie dał się jednak nabrać i wiedział, że za chwilę usłyszy pointę. - Ale bardzo proszę, nie ociągaj się zanadto, żeby nie zasnęła.

Nie było obawy, żeby zasnęła. Poczekała, aż służąca pomoże jej przebrać się w miękką, cieniutką szatę, wybraną na noc poślubną, po czym z uśmiechem odprawiła dziewczynę. Usiadła przy toaletce i jak zawsze wyszczotkowała włosy, a potem położyła się do łóżka.

Kiedy Harry wszedł do pokoju, zamknęła oczy. Nie musiała go widzieć, żeby czuć jego bliskość. Usiadł na krawędzi łóża, tak samo jak kiedyś, i zaczął jej się przyglądać. Po chwili poczuła dotyk jego warg.

Otworzywszy oczy, uśmiechnęła się. Bardzo powoli objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Tym razem gdy się całowali, Harry nie musiał się powstrzymywać. Nic dziwnego, że gdy w końcu przerwali pocałunek, oboje drżeli.

- Kocham cię, Beatrice - szepnął schrypniętym głosem. - Kocham cię bardziej, niż umiem opowiedzieć. Czy pozwolisz, że pokażę ci to w jedyny sposób, jaki znam?

Oczy zaszyły jej mgłą pożądania.

- Kocham cię, mój Harry. Pokaż mi, jak mam być dla ciebie dobrą żoną. Naucz mnie wszystkiego, co muszę umieć.

- Nie sądzę, żebyś potrzebowała dużo się uczyć, moja rozwiązała żono - odrzekł i znów ją objął. - Ale zapowiadam, że będę wymagającym mężem.

Zdjął jej koszulę przez głowę, a jednocześnie uwolnił się ze szlafroka, Beatrice mogła więc dotknąć jego gładkiej skóry, którą kiedyś pielęgnowała, gdy leżał w gorączce. Nauki okazały się niepotrzebne. Oboje instynktownie wiedzieli, jakie pieszczoty będą im sprawiać najwięcej radości.

- Jaka jesteś piękna, Beatrice. Zawsze wiedziałem, jaki skarb kryjesz pod sukniami. To kobieta decyduje o pięknie sukni, ale ty masz taką delikatną skórę, że nie może jej dotykać nic innego niż czysty jedwab. Jesteś boginią mojego serca i wszystko, co mam, jest twoje i zawsze będzie - przysiągł Harry, tuląc twarz do jej atłasowej skóry.

Pieścili się i całowali, jakby grali na swoich ciałach

piękną muzykę. Harry wyszukiwał wargami i językiem jej wrażliwe miejsca i obsypywał ją czułymi, żarliwymi pieszczotami, które przyprawiły ją o niewyobrażalną rozkosz. Nawet prawie nie zauważyła chwili bólu po tym, jak Harry wreszcie uczynił ją naprawdę swoją. Była kobietą stworzoną do kochania i bycia kochaną, otworzyła się więc przed nim, dając swoje ciepło, a czuła przy tym tylko radość należenia, radość bycia szczerze kochaną. Stali się jednym sercem, jednym ciałem, jednym umysłem i jedną duszą, co więcej, oboje wiedzieli, że taka absolutna jedność to wielki dar bogów, który nie wszystkim jest dany. Dlatego czuli się szczególnie wyróżnieni.

Po swym pierwszym miłosnym zespoleniu leżeli spleceni i rozmawiali do późnej nocy językiem kochanków, wyznawali sobie wszystkie sekrety, których nie wyjawiliby nigdy, gdyby nie połączyła ich nierozzerwalna więź. Tej nocy Harry miał ją jeszcze wiele razy, to czule i delikatnie, to z szaloną namiętnością, po wybuchu której oboje długo leżeli bez sił. W końcu obudzili się o bardzo późnej godzinie.

Rankiem służba chodziła po domu na palcach i uśmiechała się, wszyscy bowiem wiedzieli, że państwo jeszcze śpią.

Lady Ravensden siedziała na łożu oparta o stertę jedwabnych poduch. Była już miesiąc po ślubie i promieniała szczęściem. Właśnie przyniesiono jej na tacy gorącą czekoladę ze świeżymi bułeczkami, obok zaś leżało kilka listów.

Beatrice stwierdziła, że większość pochodzi z czterech wsi. Jeden z nich napisała Ghislaine, inny - Oliwia, jeszcze inny - jej drogi papa. Czekwała ją prawdziwa uczta, wiedziała bowiem, że listy od Ghislaine i Oliwii będą pełne najświeższych ploteczek. Bardzo chciała dowiedzieć się, co słytać w rodzinnych stronach, a szczególnie, czy wiadomo coś nowego o zniknięciu lady Sywell.

Najpierw otworzyła list Ghislaine. Przyjaciółka pisała zawsze schludnie i precyzyjnie, bardzo żywym stylem. Jeśli cokolwiek stało się w opactwie, z pewnością byłaby o tym wzmianka. Rzeczywiście, wyglądało na to, że coś interesującego się dzieje.

- Jeszcze leżysz w łóżku? - powitał ją Harry, który wszedł do pokoju akurat wtedy, gdy Beatrice zbliżała się do najciekawszego miejsca listu Ghislaine. - Mamy stanowczo zbyt piękny ranek na leniuchowanie. Wstawaj na przejażdżkę z mężem.

- Dobrze, Harry, za chwileczkę - powiedziała Beatrice. - Chciałam tylko doczytać list Ghislaine...

Harry wyjął jej kartkę z dłoni. Próbowwała ją odzyskać, ale trzymał rękę zbyt wysoko, więc usiadła i spokojnie utkwiała wzrok w rozbawionym mężu. Była przekonana, że dostanie list z powrotem.

- Ghislaine pisze, że są nowiny w sprawie opactwa. ..

Harry nie zwracał na nią uwagi. Zaczął składać kartkę i po chwili zrobił z niej całkiem zręczną strzałę. Energicznym ruchem wyrzucił papierową konstrukcję w powietrze. Strzała przeleciała przez pokój i trafiła

prosto w ogień na kominku, gdzie po kilku sekundach zamieniła się w popiół.

- Harry! - oburzyła się Beatrice. - Nie dokończyłam czytania tego listu!

Harry zrobił zdumioną minę.

- Widziałas, Beatrice? Widziałas, jak prosto poleciała?

- Prosto do ognia - odrzekła Beatrice. - Jesteś hultajem.

- Jak cudownie byłoby, gdyby człowiek mógł zbudować maszynę latającą.

- Masz na myśli balon?

- Nie. - Harry trwał w zachwycie. - Balony latają tylko tak, jak niesie je wiatr, w dodatku to bardzo niezgrabne urządzenia. Mam na myśli maszynę poruszaną energią, którą człowiek mógłby sterować i kontrolować. - Zwrócił się ku niej bardzo podekscytowany swoją myślą. - Ostatnio kupiłem część biblioteki z majątku pewnego człowieka, który wiele podróżował. Był bardzo wykształcony, znał dzieła starożytnych. Wśród jego papierów znalazłem fragment pergaminu ze szkicem, który wyglądał jak część projektu takiej maszyny. Nie wiem, skąd pochodził ten pergamin ani kto zrobił na nim kilka adnotacji, ale może to coś byłoby jednak zdolne wzlecieć w powietrze. Muszę niezwłocznie napisać do pana Roade'a i wspomnieć mu o tym pomysle.

- Latająca maszyna, Harry? - Beatrice spojrzała na niego rozbawiona. - Czy to nie będzie niebezpieczne?

- Trochę mniej niż piec, który się przegrzewa i wybija dziury w ścianie kuchni - odrzekł Harry i pochylił

się, by ją pocałować. - Tylko pomyśl, ile zabawy będziemy mieli z twoim ojcem, próbując się przekonać, czy to coś naprawdę może latać.

Beatrice uśmiechnęła się, widząc jego entuzjazm. Nie miała wątpliwości, że jest to pierwszy z długiej serii niedoszłych wynalazków, na które jej mąż i papa stracą mnóstwo czasu w najbliższej przyszłości. Dopóki jednak obaj byli zadowoleni, nie miało to większego znaczenia.

- Co więc zamierzasz? - spytał Harry. - Jeśli o mnie chodzi, napiszę od razu do twojego ojca. Czy długo będziesz wstawać, kochanie?

- Przyjdę do ciebie za pół godziny - obiecała. - Idź teraz na dół i poczekaj, aż skończę czytać listy... te, które jeszcze istnieją.

- Bardzo przepraszam, że wrzuciłem tamten do ognia - powiedział Harry i pocałował ją w rękę. - Czy mi to wybaczysz?

- Już wybaczyłam - odrzekła i uśmiechnęła się, gdy jeszcze raz pocałował ją w rękę, a potem podszedł do drzwi. - Nie będziesz na mnie długo czekał.

Gdy drzwi za mężem się zamknęły, wzięła do ręki pozostałe listy, nie otworzyła jednak ani jednego. Była taka szczęśliwa... List od Ghislaine znów zwrócił jej uwagę na lady Sywell. W swoim czasie nie znaleźli grobu tej młodej kobiety i tajemnica jej zniknięcia wciąż pozostawała niewyjaśniona.

Co się z nią stało? Czy zabił ją jej nikczemny mąż, czy też sama wyjechała z opactwa? Tego Beatrice nie wiedziała. Była przekonana, że jeśli coś nowego wyszło



na jaw, przeczyta o tym w listach, ale ponieważ nie mieszkała już w Abbot Giles, prawdę musiał odkryć kto inny.

Pokręciła głową, odpędzając smutne myśli, a potem zadzwoniła na służącą. Był czas, żeby się ubrać i pojechać dokądś z ukochanym mężem!

koniec